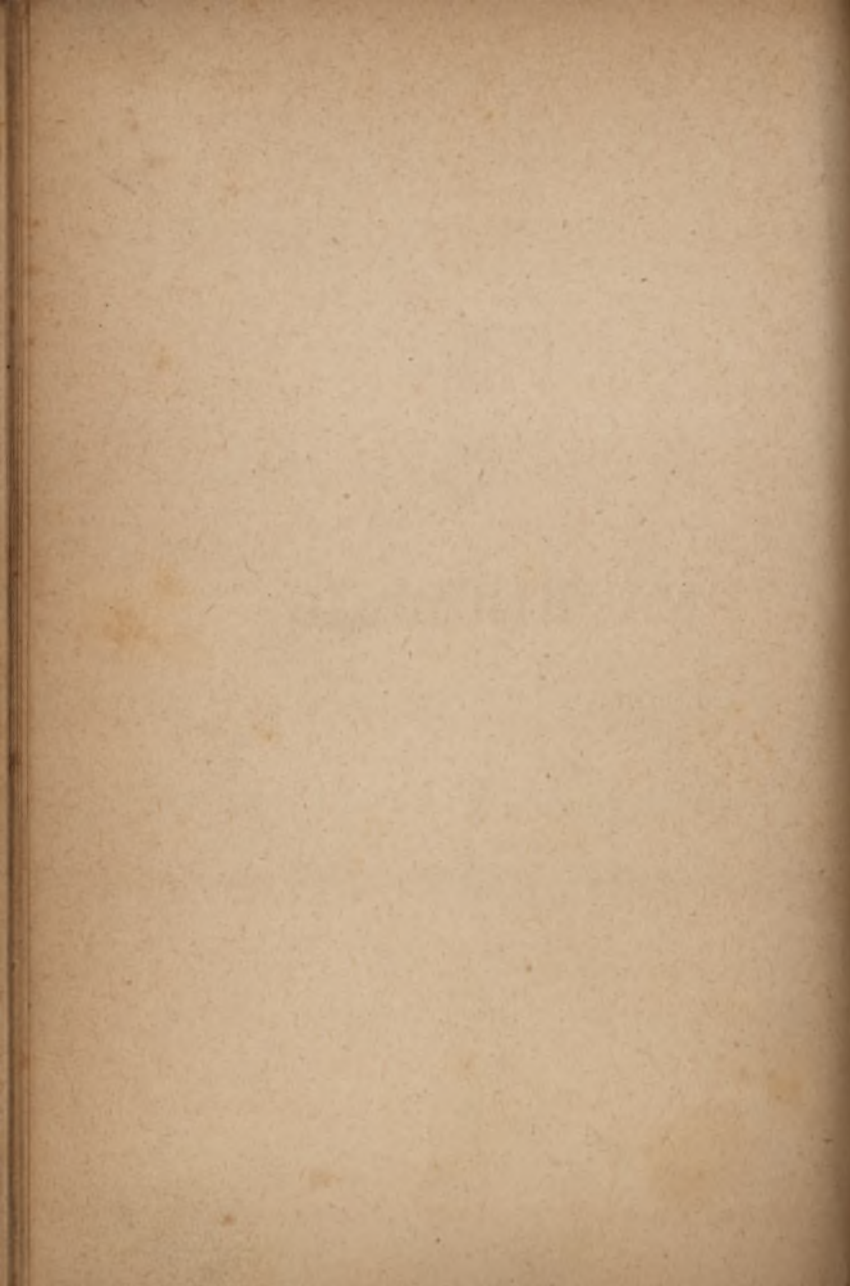
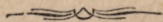






NA KRESACH.

WYBÓR PISM
JANA ZACHARYASIEWICZA.



NA KRESACH.

TOM III.

Wydanie nowe.

WARSZAWA.
NAKŁAD TYGODNIKA ILUSTROWANEGO.
—
1887.

NA KRESACH.



POWIEŚĆ Z NASZYCH CZASÓW

W TRZECH TOMACH.

NAPISAŁ

JAN ZACHARYASIEWICZ.

TOM TRZECI.

Wydanie nowe.

WARSZAWA.

NAKŁAD TYGODNIKA ILUSTROWANEGO.

—
1887.

Дозволено Цензурою.
Варшава, дня 15 Іюля 1887 года

I.

Minęły dni pięknej, majowej pogody, a nad ziemią wielkopolską zawisły szare, jednostajne chmury. Dészcze lały nieustannie, a strapiony rolnik na próżno wzywał „Boga Abrahama“, aby się ludzkiej ulitował niedoli. Zasiewy pogniły, łąki wymokły, smutno odzywały się głodne trzody. Wylały rzeki, stawy rozpuściły wody swoje, a przez kilka tygodni nie widział rolnik pracy swojej.

Wreszcie opadły wody, czarna opona nieba przedarła się na dwoje i odsłoniła jasne gorejące słońce. Z okrzykiem radości powitano pierwszy dzień pogody, obejrzano straty, obliczono i z ufnością w nieprzebrane miłosierdzie Boga wzięto się na powrót do pracy, aby uratować to, czego woda nie zniszczyła.

Nadzieja zagrzewała wszystkich, wesołe śpiewki rozlegały się po polu — ostatnie ziarno, ostatni grosz rzucono w ziemię.

Ale niebo było nieubłagane. Ziemia chwyciła ziarno, otuliła je i ogrzała, wychuchała z niego małą, zielonawą trawkę, gdy nagle zabrakło jój pokarmu. Wyszła i stwardniała jak opoka.

Biédny rolnik załamał ręce, podniósł wzrok do nieba i tą samą modlitwą, którą niegdyś o pogodę prosił, błagał dzisiaj o kroplę deszczu „Boga Abrahama“.

Ale Opatrzność boska patrzyła suchém okiem na nieszczęsną krainę. Zdawało się, że jakiś gniew boży ciąży nad ziemią nieszczęśliwą.

Wreszcie minęły upały, liście poczęły żółknąć na drzewach, jesienne mgły toczyły się po pustej, wypalonej ziemi, a w stodółach było pusto i przestrono. Gdzieś tam w kącie leżało kilka, kilkanaście kóp zboża, na które kilkadziesiąt wysiano. Starzy narzekali na złe czasy, twierdzili, że coraz gorzej na świecie i w głębi duszy tęsknili za grobem, który ich ochroni od nieurodzaju i głodu.

Najbardziej dotknęła ta straszna klęska Czarnowody. Czego nie zalały wody z czarnego stawu, to wypaliła posucha, a na dobitek tego wszystkiego spadł grad i zniszczył wszystko...

Jakaś złowieszcza chmura zawisła nad domem Dębiczów. Nikt nie wiedział, zkąd się to bierze, a jednak każdy czuł, że mu coś jak kamień na sercu leży.

I różne tłómaczono sobie te oznaki nadciągającej burzy. Mietlica widział każdego piątku o północy jasny, czerwony krzyż na niebie od zachodu i był święcie przekonany, że to cud Pański okazuje się nad domkiem biédnego mieszczanina, którego osądzono za kradzież i rabunek. Stara gospodyni wyznała na spowiedzi, że idąc koło familijnego grobowca Dębiczów, słyszała cichą rozmowę nieboszczyków. Byli coś nie radzi dzisiejszym mieszkańcom Czarnowód i groźnie uderzali po rękojęści mieczów swoich. A gdy w skutek jój mowy grobowiec otworzono i jedno uszkodzone

sklepienie naprawić chciano, zdjęto przypadkiem wieko z trumny Sebastjana Dębicza, który towarzysząc Jagielle w bitwie pod Grünwaldem, poległ śmiercią bohaterską, i ujrzano z niemalym przestraczem, że Sebastjan w trumnie się obrócił. Leżał twarzą do dna trumny, ręce miał w tył założone jak niewolnik... A w lamusie słyszał stróż nocny jakieś dziwne, śmiejące się głosy, aż włosy na głowie kołkiem mu stały. Przez wieś po zachodzie słońca biegł co dnia duży, kudłaty pies czarny i był przeraźliwie. Nikt nie śmiał ręki na niego podnieść, bo coś strasznie wyglądał na złego ducha. Niektórzy nawet wyraźnie czuli maź i smołę.

Te i tym podobne rzeczy widziano i opowiadano sobie w Czarnowodach przy rozłożoném wieczorném ognisku w kuchni czeladniej.

W dworku nie mówiono wprawdzie o tych dziwnych zjawiskach, ale każdy czuł, że coś cięży nad nim, że lada chwila błysnie piorun i uderzy w ten cichy, spokojny domek szlachecki. Zkąd jednak uderzy i kiedy? o tém nikt nie wiedział i każdy różnie to sobie tłómaczył.

„Spirytualia“ odbywały się wprawdzie dawnym trybem, ale już nie z tą samą, co niegdyś swobodą. Dawniej była to chwila wytchnienia dla wszystkich, chwila, w której oderwani od trosk codziennych mieszkańcy, podnosili się duchem ponad świat ziemski, a zaczerpnąwszy żywego źródła praw boskich, wracali do swoich obowiązków, bogatsi w siły i cierpliwość, jeżeli ich życie było cierpieniem. Dzisiaj czynili to samo na pozór, ale w istocie był to tylko skutek przyzwyczajenia, a owa myśl bogobojna, która ich tutaj po raz

piérwszy zgromadziła, uleciała już na zawsze z pomiędzy nich.

Staruszek pracował ciągle nad poematem swoim, ale z każdym dniem jakoś trudniej mu było o prawdziwe natchnienie. Zuzia siedziała jak zawsze na taboreciku obok staruszka, a oparta o jego ramię, zdawała się słuchać z uwagą, gdy staruszek mówił, lub czytał. Ale twarz jęj mocno zbladła i posmutniała, jęj oczy były często z płaczu czerwone i nabrzmiałe, a jakaś mgła nieprzejrzysta zasłaniała przed nią czasem świat cały, w któryj na pozór patrzeć się zdawała.

Ksiądz Maciej nie zmienił się wprawdzie ani na duchu, ani na ciele, ale z każdym dniem więcej potrzebował tabaczki, tak mu nieraz jakieś dziwne myśli dokuczały. W ostatnich rozdziałach poematu o Stefanie Batorem już było mnóstwo bogów słowiańskich—ksiądz Maciej ich nie zauważył. Major najwidoczniej nudził się tą pogadanką poobiednią. Siedział jakby na węglach i czekał tylko sposobności, aby się za drzwi wymknąć. Jerzy nie wygoił się był jeszcze ze swojej rany.

Szczupłe grono „spirytualistów“ powiększyło się o jedną osobę. Hrabia Leon polubił także te pogadanki poobiednie i rad na nie przychodził. Stary Dębicz kochał go, przekonawszy się, że obeznany jest dokładnie z pismem ojców kościoła; a pocziwy major wyglądał przyjscia jego jak bożego zbawienia, bo hrabia Leon zazwyczaj przynosił z sobą pęk gazet i najpyszniejsze wyczytywał z nich kombinacye polityczne. W takim razie major dosiadywał aż do ostatniej chwili i ściskając odchodzącego gościa, mawiał zawsze do niego, że go zrestaurował na dni kilka.

Ale ksiądz Maciej z uwagą przypatrywał się wszystkiemu i coraz to częściej zażywał tabaczki. Z każdym dniem stawał się więcej milczącym i podczas powszechniej konwersacyi zakręcał i odkręcał swoją tabakierkę szyldkretową. Patrząc z ukosa na hrabiego Leona, zdawało mu się, że on pobożnej rozmowy wcale nie słuchał, a majorowa tak jakoś dziwnie przy nim wyglądała! Jakieś niedobre przeczucia trapiły poczciwego plebana.

Wreszcie jednego dnia, już nad wieczorem, gdy siedziwy kapłan, odmawiając wieczorne pacierze, przechadzał się po izdebce swojej skromnej plebanii i w głowie rozbierał sobie przedmiot do jutrzejszego kazania, otworzyły się drzwi, a wysoka, pochyła postać starego Mietlicy wsunęła się do izdebki.

Pełne, rumiane policzki poczciwego ekonoma zapadły się, liczne zmarszczki pokrzyżowały mu czoło, a w oczach malowała się widocznie jakaś tajemna zgryzota sumienia. Skłonił się nisko, odgarnął włosy, które w nieładzie spadały mu na czoło i z uszanowaniem zatrzymał się u progu.

Ksiądz Maciej spojrział na niego z jakimś dziwnym niepokojem, a spodziewając się smutnej wieści, którą od dawna przeczuwał, zapytał nie bez trwogi:

— Cóż tam, Jakubie, z czém Bóg cię przysyła?

— Coś nie dobrze, proszę jegomości—ozwał się stary ekonom—sam nie wiem, co za licho w koło nas się kręci!

— Jakto, czy jakie nieszczęście? — poderwał ksiądz Maciej i zatrzymał oddych, czekając odpowiedzi, która wszelkie jego smutne domysły sprawdzić miała.

— A jużci Pan Bóg nie mówi do mnie samego, ale mówi do wszystkich...

— Cóż mówi?

— Że za coś srogo karać nas będzie!

— Zkądże to wiesz, kochany przyjacielu? — zapytał kapłan i drżące palce włożył do szyldkretowej tabakierki.

— Co piątek, to jest w tym dniu, w którym skończył Zbawiciel na krzyżu, okazuje się nad Dąbczynem o północy krzyż czerwony, jakby krwią cały opłynął!...

Ksiądz Maciej odetchnął wolniej i z widocznym ukontentowaniem zażył tabaczki.

Stary wiarus zachmurzył się i mówił dalej:

— Nieboszczyk Sebastyan Dębicz, co to najpierwszy był z Dębiczów, obrócił się w trumnie!...

Ksiądz Maciej począł się dobrotliwie uśmiechać.

Ekonom targnął za wąs, wywrócił czapkę podszewką do góry i rzekł znowu:

— Po zachodzie słońca widzę codziennie czarnego, kudłatego psa, jak biegnie przez wieś i znika koło figury pod Dąbczynem.

Ksiądz Maciej uśmiechnął się znowu i z widoczną radością puknął palcami po tabakierce, jak to zwykł czynić, gdy był w dobrym humorze.

— Ludzie ze wsi mówią, że wyraźnie czuć za nim zapach smoły i siarki — kontynuował dalej ekonom — wywracając czapkę to na tę, to na ową stronę.

Teraz już w głos rozśmiał się ksiądz Maciej, uderzył ekonoma kilka razy po ramieniu i rzekł do niego:

— Przestraszyłeś mnie, pocziwy Jakubię, twoją miną zafrasowaną, jakby ci kto łan pszenicy ukradł lub spalił. A teraz dzięki Bogu; cieszę się, że to tyl-

ko płonna była obawa. Myślałem, że Bóg wie, jakie nieszczęście się stało! Bóg daje czasem znaki, to prawda—mówił ksiądz Maciej z właściwą mu słodyczą—ale najprzód trzeba prawdziwe znaki rozróżnić od fałszywych.

Mietlica spojrział na proboszcza, nie mogąc pojąć, jakim sposobem mogą na niebie okazywać się bez woli Boga znaki fałszywe, albo jakim sposobem może po wsi biegać fałszywy diabeł, który jak najwyraźniej cuchnie siarką i smołą.

Jakoś to wszystko nie kwadowało do jego siwej głowy.

Po chwili milczenia rzekł do proboszcza:

— A wylew wody, posucha, nieurodzaj i głód?

— Masz w tém słuszność, kochany przyjacielu — odparł ksiądz Maciej — że podobne dopuszczenia boskie, jak jest wylew wody, posucha i nieurodzaj, za kary od Boga zesłane powinniśmy uważać! Ale z drugiej strony nie mamy się wcale obawiać, aby za przestępstwa pojedynczych chciał Bóg wszystkich karać.

— A potop świata? — poderwał stary ekonom, ciesząc się, że księdzu Maciejowi klina wbił w głowę.

— Potop świata był karą dla wszystkich, bo wszyscy zli byli, jak o tém świadczy pismo święte— odparł spokojnie ksiądz Maciej.

— Przecież w Sodomie i Gomorze musieli tu i owdzie być porządne ludziska — zarzucił ekonom, ale już nie tak śmiało.

Ksiądz Maciej uśmiechnął się, zażył tabaczkę i rzekł:

— Jak widzę twardo się trzymasz, mój bracie, nie lada z tobą sprawa. Wiész, że Bóg za występki

niszczył i palił całe miasta, ale zapomniałeś, co Bóg odpowiedział pobożnemu patryarsze, gdy prosił, aby całego miasta nie niszczył! Oto rzekł mu Bóg, że dla piętnastu sprawiedliwych uratowałby całe miasta od zguby i kary zasłużonej.

Mietlica poruszał głową to w tę, to w ową stronę, wyrzucił czapkę jeszcze raz podszewką do góry i rzekł:

— Już to ja prosty jestem człowiek i tych rzeczy wiele nie rozumiem. Ale tak myślę sobie czasem, osobliwie gdy w nocy spać nie mogę, że wszystkie te nieszcześcia, te znaki na niebie i na ziemi tyczą się pewnych ludzi i to z pośród nas!

— Pewnych ludzi z pośród nas! — zawołał starszek i stanął z szczyptą tabaczkki przed nosem.

Twarz jego posmutniała, jakieś niedobre przeczucie, które go opuściło śród rozmowy, owładnęło znówu jego sercem.

— Tak jest, to wszystko tyczy się pewnych ludzi pośród nas! — powtórzył Mietlica, kontent, że ksiądz Maciej tym razem nie uśmiechnął się na jego słowa, tylko coś na seryo się zamyślił.

— I którzyż by to byli ci ludzie? — zapytał po chwili proboszcz, ale tak cichym głosem, że go zaledwie ekonom dosłyszał.

Ekonom pokręcił wąsa, odwrócił napowrót czapkę i rzekł:

— Pierwszy jest... burmistrz z Dąbczyna.

Ksiądz Maciej westchnął głęboko, jakby mu ciężar jaki spadł z serca. Potem otworzył usta, w koło których zaigrał uśmiech wewnętrznego uspokojenia i rzekł:

— Bój się Boga, bracie! Znowu mnie przestraszyłeś! Cóż tam znowu z burmistrzem?

Już teraz otwarcie rozgniéwał się stary wiarus. Odkąsiwszy kawał węża, wyprostował się z dumą, jakby czuł się urażonym tak dziwném postępowaniem księdza Macieja, o którym dotąd wysokie miał wyobrażenie, i zachmurzywszy się sromotnie, rzekł z wyrazem największej indygnacji:

— Jegomość za żarty bierze to, co mi w nocy sen odbiera, a we dnie i łyżki strawy zjeść nie daje. Widocznie coś dzieje się w koło nas, a czasami zdaje mi się, że czuję siarkę, którą Pan Bóg zwykł palić miasta bezbożne. A ten czerwony krzyż nad Dąbczynem, to wyrok boski na burmistrza, który najpoczeiwszego człowieka kazał do kozy wsadzić, jako złodzieja i rabusia, aby w niebytności jego wziąć mu domek rodzinny i rozwalić go!

Ksiądz Maciej poczuł łzę pod drgającą powieką i czémprędzej zażył tabaczki.

— A co to jest domek rodzinny!—kontynuował dalej Mietlica z nadzwyczajnym ferworem—ten kącik, w którym się człek urodził, gdzie się wychował, te ściany, w których ubiegło mu tyle życia, wszystko to ma runąć, a biedny zegarmistrz gdy wróci, będzie jak u obcych, nie będzie miał gdzie głowy położyć!... Ha! więc to wszystko nie warto cudu od Boga, jednego mizernego cudu, których tyle ma w swojej wszechmocnej dłoni Bóg sprawiedliwy!

— Bluźnisz, kochany bracie, bluźnisz—przerwał mu ksiądz Maciej, ociérając łzę ukradkiem.—Nie powinniśmy nigdy badać dróg boskich.

— Ja też przez pięć miesięcy nic nie mówiłem

nikomu, odpędzałem grzeczne myśli i połykałem słowa, które gwałtem cisnęły mi się z po za zębów.

— Wojna popadł wprawdzie w nieszczęście niezrozumiałym dla mnie sposobem, ale Bóg nie zatrzyma porządku całego świata dla jednego nieszczęśliwego.

— Jakto! — przerwał stary wachmistrz, któremu nagle głowa się zapaliła — jakto? Nie stoiz napisano, że Bóg wie o każdym wróblu, co z dachu spadnie, a miałaby oczy zamrużyć na widok człowieka, który jest najniewinniejszą ofiarą zdrady i podstępu, na co zaraz dzisiaj przysięgnę!... Już to ja tak sobie w głowie ułożyłem, że dla jednego grzeczniejszego człowieka może Pan Bóg nas wszystkich karać, a i Paliwoda, o którym w Radziejewie mówią, że jest niedowiarek, kubek w kubek tak samo myśli jak ja...

Długi czas spierał się jeszcze uparty wiarus z księdzem Maciejem, któremu w końcu nawet smutno było odbierać mu tę piękną, chociaż nieco egzaltowaną wiarę w opiekę boskiej Opatrzności. Pożegnawszy więc ekonoma słowami pociechy i ukojenia, usiadł sędziwy staruszek w dużym krześle i głęboko się zamyslił.

Słowa pocziwego prostaczka nasunęły mu kilka myśli, które mu już nieraz przychodziły do głowy. Od niejakiego czasu przeczuwał on jakąś ciężką, straszną chmurę, wiszącą nad dworkiem w Czarnowodach. Zdawało mu się, że w tej dusznej, ciężkiej atmosferze coś dojrzało, za co zazwyczaj karze Bóg w dalekie pokolenia. I przyszło mu teraz na myśl: ażaliż te wszystkie złowieszcze chmury, które zdają się zewsząd gromadzić, nie są groźbami bożemi? Nie jestże? to ręka

wszechmocna, trzymająca niewidomie różgę nad nami, która ciąży na głowach naszych?...

I widząc w tém wszystkiém, co mu dzisiaj w prostocie serca swego nagadał stary Mietlica, widoczny palec boży, zebrał się pobożny staruszek, a chociaż już późno było z wieczora, udał się prostą drogą do dworu.

W Czarnowodach było dzisiaj smutno i głucho. W izdebce starego Dębicza świeciła się lampa na stole. Rozłożone przed nią papiery i pióra okazywały, że staruszek chciał dalej kontynuować swój poemat bohater-ski, ale stare, skrzeple ciało nie sprostało myśli gorącej, białym szronem obsypana głowa pochyliła się na poręcz krzesła, a sen znużenia skleił omdlałe powieki.

Z słodkim uśmiałem zasnął staruszek. W ręce trzymał jeszcze ołówek, którym przed chwilą kręślił zwycięztwa króla Stefana, a radość z narodowej sławy malowała się jeszcze na téj pięknej, bladej twarzy.

Po chwili zmienił się nagle wyraz śpiącego. Rozjaśniona jego twarz zasepiła się, jakiś ból wewnętrzny skrzywił mu usta, czoło okryło się zmarszczkami.

Coraz ciemniej było po kątach izdebki, obrazy, pozawieszane na ścianach, jakoś dziwnie spoglądały na śpiącego.

Cicho otworzyły się drzwi. Zuzanna weszła na palcach, niosąc w ręku przygotowaną dla staruszka herbatę.

Postawiwszy ją na stole, spojrzała na twarz śpiącego. A ta twarz była tak piękna i szlachetna, tyle dziejów można było z niej wyczytać! Zdawało się,

że ten starzec, stojący nad grobem, pozbiierał teraz wszystkie kartki swego żywota i w jedną związał je książkę. A tą książką była twarz jego!

Zuzanna stała i z jakimś dziwnym rozczeniem wpatrywała się w staruszkę. Wreszcie pochyliła się przed nim ostrożnie i na jego pięknym, poradlonym czole złożyła gorący pocałunek. Dwie łzy wymknęły się z jej oczu i upadły na twarz śpiącego.

— Kto tu jest? — zawołał nagle przebudzony staruszek, zasłaniając się ręką, jakby jakie widmo odpychał od siebie.

— Ja jestem, kochany dziaduniu — ozwała się Zuzia.

— To ty, Zuzienko, złote dziecię moje? — mówił staruszek, wyężając wzrok swój, jakby na coś w powietrzu patrzył.

— Tak jest... ja jestem... może kochany dziadzio...

— Cyt, cyt — przerwał staruszek — a tam, tam kto taki?

— Tam nie ma nikogo — odpowiedziała Zuzia, patrząc w ciemny kąt pokoju.

— Jakto nie ma? Czy nie widzisz? Tam to... zakonnica...

— Wszak to tylko portret prababki.

— A portret... portret tylko został, a ona już odeszła.

— Dziaduniu miał zapewne sen jaki.

— Jakto sen... wszak jeszcze ot tu, tu na czole, kochana Zuzienko, palą mnie jej łzy, które wylała na demną!...

I zasmucił się staruszek i spojrzał martwym wzrokiem przed siebie.

Zuzia oparła się o poręcz krzesła i łzawemi oczyma patrzyła na twarz jego.

Po chwili podniósł nagle staruszek głowę, a wlepwszy wzrok swój w twarz Zuzi, rzekł:

— Zuzienko moja, czy nie ma w domu naszym jakiego grzechu?

Twarcz Zuzi zbladła, jęj usta zadrżały. Ale wkrótce uspokoiła się i pewnym odpowiedziała głosem!

— Przynajmniej nic o nim nie wiem, kochany dziaduniu!

— A serce twoje, a myśli twoje, drogie dziecko moje?

— Nic mi nie mówią takiego — szepnęła Zuzia, ale jęj głos drżał widocznie.

— Czy stary Paweł dostaje łaskawy chleb?

— Dostaje.

— Czy ojciec kowala ma ten grunt do swego użytku?

— Ma.

— Czy ksiądz proboszcz dostaje należycie co roku za odprawianie mszy świętych?

— Dostaje.

— Może jaki ubogi odszedł z tego domu bez zapomożenia?

— Nie przypominam sobie.

— Więc cóżby to było?

— To sen był, kochany dziaduniu, i nic więcej.

— A sen, prawda sen — odpowiedział staruszek — ale przecież...

I zamilkł nagle, patrząc na portret kobiety w ubraniu zakonném, który wisiał tuż przed nim na ścianie.

Po chwili ozwał się, jakby do własnych myśli mówił:

— Tak jest, to ona była. Ta sama twarz smutna, surowa... Patrz, Zuzienko, jaka pogoda, jaka pobożność w jej twarzy. Nieboszczka starościna była bardzo bogobojną kobietą. Pamiętam ją dobrze, ale była już wtedy starą, bardzo starą. W młodości swojej utraciła męża, ale drugi raz za męża nie poszła. Zaraz po pogrzebie męża przywdziała ten strój, a wychowując swoje dziatki, oddaliła się od świata. Bo musisz wiedzieć kochane dziecię moje, że nasze matrony miały dawniej ten zwyczaj chwalebny, że po śmierci mężów, poświęcając się pobożności i obowiązkom macierzyńskim, brały na siebie strój zakonny, chociaż zakonnicami nie były. Świat już nie miał dla nich żadnego powabu, gdy ich całe kochanie w grobie legło. Dzisiaj nie ma już tych cnót na świecie. Dzisiaj miłość jest jak suknia. Gdy się jedna zedrze i zużyje, to bierzemy inną, nową. Nasze prababki miały tylko jedną, i tę brały do grobu.

Młoda kobieta westchnęła.

— A jacy to mężowie byli!—mówił dalej starszek—piękna kręsa na czole dodawała uroku... a dzisiaj zgrabne maniery, służba galonowa, tytuł nieswojski, wyżebrany w antykamerze obcego potentata, pieniądze, marny pieniądz!...

— Przecież, kochany dziaduniu — wtrąciła Zuzia—z tego wszystkiego, com dotąd o kobietach w dawnych naszych czasach słyszała, okazuje się, że ko-

biętę bardzo nisko stawiano, że nie zawsze miano względy na skłonności jój serca.

— To wszystko prawda — poderwał staruszek — jeszcze więcej ci powiem. Nieraz skojarzono małżeństwo, aby spór graniczny zakończyć, lub wywiązać się z zaciągniętego długu, ale myślisz, moje dziecię, że to złe miało skutki? Gdzie tam! Bo nie mówiono wówczas o potrzebach serca, ale widziano przed sobą obowiązki, zaprzysiężone obowiązki. Więc nie było żadnych chorobliwych zachceń, żadnych innych marzeń, które w końcu zawsze się przejedzą, jak każda wykwintna, nienaturalna strawa. Gdybyś dzisiaj spojrziała na te małżeństwa nasze, zawierane wedle potrzeb serca i sentymentu! Co się z nich dzieje za rok, za lat kilka! Nie dziw. Serce kobięce jest jak ta lokomotywa, co dzisiaj wozi ludzi po świecie. Jeżeli go nie chwycisz w żelazną kolęję, to na oslep polecą i szaleć będzie, póki się na szczyt nie rozbije... Ale gdzież to jest Tadeusz?

— Od południa nie widziałam go — odpowiedziała z westchnieniem Zuzia.

— A tak... zapewne poszedł do Jerzego. Poczciwy Tadeusz! chorego nawiedzać, to uczynek chrześcijański.

Staruszek zamilkł, jego wzrok padł znowu na portret kobięcy w stroju zakonnym. Zuzia odwróciła twarz, w jój oczach zabłysły dwie łzy.

— Tak jest, to ona była — mówił do siebie staruszek. — Ta sama twarz smutna, surowa... Zuzieńko droga, to coś znaczy ten sen... a było, jakby na jawie! Coś nie podobało się u nas nieboszczce.

— Może nasze przewinienia! — szepnęła z cicha Zuzia.

— Nie, nie, drogie dziecię—podchwycił śpiesznie staruszek—wy wszyscy dobrzy, sprawiedliwi, bogobojni... ale ja... to mnie się tyczy.

— Dziaduniu!

— Już daj pokój, moje dziecię, znam ja lepiej siebie... ot zostaw mnie samego, bo chcę z sobą pomóc. Przeczytaj sobie kilka rozdziałów z żywotów Świętych Pańskich... Tadeusz wkrótce powróci. Dobra noc ci, drogie dziecię moje!

Zuzanna pocałowała staruszkę w rękę i właśnie do drzwi się zbliżała, gdy za kotarą zaskrzypiała szyldkretowa tabakierka i dało się słyszeć krzákanie księdza Macieja.

Zuzanna zatrzymała się, aby gościa powitać, ale staruszek rzekł:

— Idź, droga Zuzienko, idź, a księdzu Maciejowi przyslij tutaj herbaty. Mam z nim kilka słów do pomówienia.

Była to niezwykła godzina do odwiedzin staruszkę. W niemałym więc był ambarasie ksiądz Maciej, jakby zaraz na wstępie rzecz zaintryguować. Ale na nieszczęście bardzo mu jakoś trudno było o koncept w tej chwili, bo mówiąc prawdę, sam nie wiedział, dla czego mu tak śpieszno było do starego Dębicza. Lecz będąc już na progu, nie mógł się cofnąć. Zażywszy więc za kotarę tabaczki, która na szybszy bieg myśli wpłynąć miała, wystąpił śmiało, poruczywszy się Duchowi świętemu, który w trudnych

okolicznościach życia oświeca nieraz głowę biednego człowieka.

Ale jakoś inaczej złożyło się wszystko, niż to sobie wyobrażał ksiądz Maciej. Staruszek bowiem, zaledwie go zoczył, aż mało na nogi nie powstał, tak się ucieszył, i zawołał:

— Otóż to mi wielkie wyświadczyłeś dobrodziejstwo, księże Macieju, żeś do mnie przyszedł. Nie wiem, czy ci kto powiedział, czy Duch święty natchnął cię tak wybornym konceptem. Właśnie myślałem o tobie i rzekłem w duchu do siebie: Gdyby to teraz ksiądz Maciej był przy mnie, mógłbym jeszcze z pokojem pójść spać, a tak trzeba niecierpliwie czekać aż do jutra. Otóż Bóg usłyszał, com w duchu mówił do siebie, i ciebie tutaj przysłał.

— Zaprawdę—odparł ksiądz Maciej, uderzając palcami po tabakierce i uśmiechając z widocznem zadowoleniem — zaprawdę, jeżeli w samą rzecz, panie Stanisławie, jesteś tak łaknącym i spragnionym, to ja jestem jak ów Habakuk, którego anioł wraz z przygotowaną dla żeńców strawą pochwycił i zaniósł do głodnego sługi bożego.

— Otóż siadaj teraz, księże Macieju, i nie szczędź mi pokarmu, który z sobą przyniosłeś, bo jestem mocno głodny twojej rady i pociechy.

Ksiądz Maciej usiadł na krześle i odkręcił tabakierkę aż zaskrzypiała. Był to znak, że wywinąwszy się z jednego, w nowy popadł kłopot. Twarz jego posmutniała, ale prędko pokrył swój smutek energicznem zażywaniem tabaki.

— Najprzód muszę ci powiedzieć, kochany Ma-

cieju, że od niejakiego czasu coś mi strasznie ciąży na sercu.

Szyldkretowa tabakierka znowu zaskrzypiała, ale ksiądz Maciej wcale się nie ozwał.

— Jakoś mi duszno, jakbym nie był między swymi.

Ksiądz Maciej odkrząknął, posunął się na krzesło, ale nic nie odpowiedział.

— Myślałem zrazu, że to śmierć zagląda mi w oczy.

— Śmierć nie straszy nigdy człowieka bogobojnego — przemówił wreszcie ksiądz Maciej — przychodzi ona do niego jako posłanka Boga, z uśmiechem na ustach, z kwiatami we włosach, aby go zabrać na ucztę, którą mu Bóg zgotował.

Staruszek zamyślił się. Obraz śmierci bogobojnego człowieka stanął mu żywo przed oczyma. Uśmiechnął się i rzekł:

— Właśnie dzisiaj przyszło mi na myśl, żem nie godzien tej uczty, którą Bóg dla cnotliwych przygotował — i zdaje mi się, że to właśnie ciąży mi na duszy.

Ksiądz Maciej posunął się na krzeselku, zażył tabaczki, a zakręciwszy tabakierkę, rzekł:

— Nie nam tutaj na ziemi wyrokować o zasługach naszych. Ale już to samo wielką jest zasługą, jeżeli się do błędów i grzechów poczuwamy.

— Grzech mój, który mam na myśli, nie jest jednak moją winą.

— I jakież to grzech, jeżeli o niego zapytać można? — ozwał się ksiądz Maciej z wyrazem tajemnej trwogi na twarzy.

Staruszek poprawił się na krześle, podparł ręką zamysłone czoło i zaczął:

— Układając dzisiaj przedostatnią pieśń mego poematu o Stefanie Batorym, musiałem z kolei opisać wzięcie Pleskowa. A właśnie przy téj potrzebie zginął Marcin Dębicz, ot ten w czewonéj delii, z tym wąsem sumiastym — raniony w piersi oszczepem. I dziwna myśl przyszła mi do głowy. Przebiegłem dzieje wszystkich Dębiczów i okazało się, że żaden z nich nie zginął śmiercią naturalną. Co większa, żaden z nich nie zginął w przegranéj, tylko każdy przy odniesioném zwycięztwie. Ztąd téż nawet poszło w przysłowie w naszym rodzie. „Dębicz na marach, ojczyzna w laurach.“

— Jest to piękna tradycja.. niejednen ród pragnąłby podobnéj pamiątki — wtrącił ksiądz Maciej z uspokojoną nieco twarzą.

— Otóż téj tradycyi wierni byli wszyscy moi antenaci. Sebastyan Dębicz zginął pod Grunwaldem w chwili, gdy się już szala zwycięztwa na naszą stronę przechyliła; Mateusz zginął pod Morawą, gdzie Turków na głowę pobito; Wojciech pod wodzą młodego królewicza Olbrychta bije się pod Kopestrzyniem i pada. Pod Wiśniowcem ginie Łukasz... i tak wszyscy kolejają, jak tutaj ich widzisz na ścianie, mają u dołu napis: *occisus ad* — i bądź pewny, że to była nasza wygrana.

Ksiądz Maciej przeszedł okiem długi szereg Dębiczów, wiszących na ścianach izdebki, i w saméj rzeczy słowa staruszka były prawdziwe.

— I cóż ty na to, księżu Macieju? — zapytał stary Dębicz.

— Co ja na to—odparł ksiądz Maciej, odkręcając tabakierkę — co ja na to mam powiedzieć, gdzie sam Bóg tak pięknie przez tych ludzi mówi do nas, którzy Jego i kraj swój kochali.

— Otóż słuchaj, księże Macieju — rzekł z powagą stary Dębicz.— Nie należę ja wprawdzie do tych ludzi dzisiejszych, co to na to wertują księgi stare i pargamina, aby w jakim almanachu dać swój ród szumnie opisać, lub jego herb namalować na karcie, aby się od gawiedzi odróżnić. Ale wierzę w misyą imion dawnych, znakomitych, które czy to *in bello cum hoste*, czy to na krzesłach obrad publicznych, zawsze były górą *in republica*. I tak każdy ród taki ma swoją misyą, a tradycya zakresła mu drogę, jaką iść ma.

— Ba, ale gdy czasy nie są po temu!—wtrącił ksiądz Maciej—bez wojen trudno o zwycięstwo!

— Otóż dla tego karłowacieją podobne rody i wyradzają się. A często sam Bóg uderza gniewną ręką w dom taki i każe wiatrom roznieść szczątki jego na wszystkie części świata, aby ludzie nie mieli zgorzienia.

— Bóg jest największą mądrością, ale oraz i sprawiedliwy i bez grzechu nigdy nie karze — rzekł ksiądz Maciej, naginając nieznacznie rozmowę do swego celu.

— Grzechy, jakież grzechy?—podchwycił szybko staruszek.—Czyż nie lepiej, aby drzewo, które miało być filarem świątyni, runęło pod ciosem piorunu, niż miałoby powoli spróchnieć i służyć plugawemu robotwu za mieszkanie?

Ksiądz Maciej uśmiechnął się, zażył tabaczki i odparł:

— Są to słowa bardzo piękne i mogą brylować w poemacie przy wzięciu Pleskowa. A gdy się w pierś uderzymy i spokojnie na dno serc naszych spojrzemy, cóż tam obaczymy? Oto dumę i pychę, a nie więcej. Zostawmy Bogu kierunek świata, a gdy nam dzisiaj próżne pozostały dłonie i daleko sięgnąć nie możemy, to rozszerzajmy chwałę bożą, pokąd nasze ręce dosięgną.

— Uchowaj Boże! — zawołał staruszek — *apage satanas!* Ja pychy w życiu nie znałem.

— I na cóż narzekać na zrządzenia bożkie...

— Ot, chylę się do grobu — przerwał mu staruszek — i jakoś na myśl mi przyszło, że każdy z moich antenatów umarł *pro republica*, a jego śmierć była dobrą wróżbą dla jego towarzyszków...

— I cóż ztąd? — zapytał zniecierpliwiony nieco ksiądz Maciej.

— A moja śmierć będzie podobną do upadku spróchniałego drzewa, które nie doleciawszy do ziemi, w próchno się rozsypie.

— Nikt me wie, do czego śmierć jego posłużył — zawołał ksiądz Maciej. — Niezbadane są drogi Pana i ciemne są wyroki Jego, odpowiem na to z psalmistą.

Słowa te, wypowiedziane głosem uroczystym, sprawiły na staruszkę silne wrażenie. Zamilkł i oczy w ziemię spuścił. Jakiś dziwny spokój wstąpił mu do duszy, na ustach osiadł słodki uśmiech zadowolenia. Z chrześcijańską ufnością patrzył przed siebie, na bliz-

ki grób swój, i nie szemrał więcéj, że mu zabrakło drogi do lepszych uczynków.

Tymczasem przyniósł służący herbatę, której wielkim amatorem był ksiądz Maciej. Przyznawał on jéj pierwsze miejsce obok tabaczki i był tego zdania, że ten specyał pomaga do konceptu.

Otóż rozgrzawszy się nim należycie i widząc, że dzisiaj nad staruszką nie mała odniósł zwycięztwo, wziął się z wielką otuchą do słowa, z którem właściwie tutaj naumyślnie przyszedł.

— Podejmując jeszcze raz przedmiot naszej rozmowy — zaczął ksiądz Maciej — nie od rzeczy będzie zastanowić się dobrze nad tém, co właściwie nasze serce smutkiem niepojętym obciążać może. Przyczyną tego niepojętego smutku są zawsze nasze przewinienia, albo tych, co nas najbliżéj otaczają.

— Sprawiedliwy siedm razy na dzień upadnie...

— Ale podnosi drugich, gdy ich widzi śpiących nad brzegiem przepaści...

Ksiądz Maciej wymówił to z takim akcentem, że stary Dębicz ze zdziwieniem spojrział na niego. Ksiądz Maciej nie zmieszał się jednak tém spojrzeniem, tylko śmiało znowu się ozwał:

— Bóg błogosławi dom, jeżeli w nim mieszka pokój i zgoda, ale niewidzialna ręka sędziego zacięży nad nim, jeżeli szatan pokusy znalazł w nim chętne ucho...

— W tym domu jest pokój i zgoda — odparł spokojnie staruszek — przyłóż rękę do serc naszych, a przekonasz się; wyteż słuch twój, a usłyszysz w ogrodzie pełzającego robaczka.

— Czy wszyscy mają ten pokój w duszy?

— Inaczéj nie odpowiadałbym słudze bożemu tak spokojnie.

Ksiądz Maciej zakręcił tabakierkę, aż zaskrzypiała i niecierpliwie szukał nowego konceptu. Jakoś nie szła mu w ład rozmowa. Za daleko był jeszcze celu swego. Spojrzawszy więc ukradkiem na zegarek, potarł się po wysokim czole i rzekł:

— Jakże tam pani majorowa?

— Zuzanna? — poderwał ciekawie staruszek.

— A tak, Zuzanna — powtórzył ksiądz Maciej, bawiąc się tabakierką z widoczném nieukontentowaniem, że tak od razu wyjechał.

— Cóż Zuzanna? — zapytał z tém większém zdziwieniem staruszek.

— Chciałem się zapytać, czy Zuzanna szczęśliwa? — wyszepnął bardzo cicho ksiądz Maciej.

— Czy Zuzanna szczęśliwa? Jak to rozumiesz, księżu Macieju?

Ksiądz Maciej był już teraz w sromotnym kłopotcie. Tabakierka jakby na złość otworzyć się nie chciała, krzesło stało nie równo, a stary Dębicz tak dziwnie patrzył na niego, że poczciwy proboszcz poddyktował sobie w duchu karę za to, że całą sprawę tak jakoś źle poprowadził.

— Pytałem się — rzekł po chwili milczenia — czy szczęście Zuzanny jest zupełne.

Jakkolwiek to zapytanie księdza Macieja wcale nie różniło się w niczém od pierwszego, ani żadnego nie dało wyjaśnienia, staruszek poprzestał już na niem i rzekł:

— Szczęście Zuzanny jest tak zupełne, jak je

tylko na ziemi mieć możemy. Kochamy ją wszyscy, a ona wzajem nas kocha.

— Ba! — odparł ksiądz Maciej, posuwając się na krzesło — my możemy cały świat kochać, ale kobieta... kobięce serce...

Tutaj zaskrzypiała znienacka tabakierka, ksiądz Maciej czém prędzej włożył palce po swój specyał, w którym w tak krytycznej sprawie ostateczny widział ratunek, ale uprzedził go stary Dębicz, podejmując ostatnie jego słowo:

— Serce kobięce, chcesz powiedzieć, księżu Macieju, musi mieć kogoś, komu całe się oddaje...

— To właśnie chciałem powiedzieć...

— Wszak Zuzanna ma męża — odparł Dębicz, patrząc dziwnie na proboszcza.

Księdzu Maciejowi zrobiło się gorąco, zaczerwienił się po same uszy. Była to według niego rzecz tak delikatnej natury, że trudno mu było przyjść z nią do końca. Ale zawezwawszy po cichu pomocy bożkiej, odchrząknął silnie i rzekł:

— Otóż to wiedzieć chciałem, czy Zuzanna szczęśliwa jest w pożyciu małżeńskim?

— Dla czegoż to pytanie? — zapytał zdziwiony staruszek.

— Wszak lekarz i na zdrowej ręce może puls badać — odparł ksiądz Maciej, ucieszony, że się jakoś mu klei.

— Masz słuszość, księżu Macieju — rzekł po chwili staruszek — lekarz boży ma prawo wglądania w serca, powierzone jego opiece.

Ksiądz Maciej zatarł ręce, posunął krzesło i kon-

tent z siebie, czekał dalszej odpowiedzi. Jakoż po krótkim namyśle ozwał się staruszek:

— Zuzanna jest szczęśliwą w pożyciu swoim, szczęśliwszą od wielu innych kobiet.

— Jednak jej smutek w ostatnich czasach...

— Jest oznaką pięknej, szlachetnej duszy, która czuje, że nad to życie na ziemi jest jeszcze inne, szczęśliwsze życie...

— Ale kobieta jest podobna do dziecięcia, które idąc po łące, chętnie zrywa na niej kwiaty...

— I cóż ztąd?

— A smuci się, jeżeli na tej łące żadnych kwiatów nie ma! Dajmy na to, że ta łąka jest życiem naszym...

Staruszek rzucił się niecierpliwie na krzesło.

— Sądzisz, księże Macieju—poderwał szybko— że w życiu Zuzanny brak tych kwiatów...

— Nie sądzę wcale, lecz...

— Ona wie o każdym chorém dziecku na wsi, o każdym bydłociu, co padnie; a gdy przyjdzie sobota, to widząc ją wtedy na ganku pośród biednych, którzy jak rój pszczół cisną się do jej rąk, tak sobie wyobrażam owę chrześciańską *charitas*, o której tak pięknie pisze ś. Augustyn... Księżę Macieju, to najpiękniejsze chwile w naszym życiu, to prawdziwe kwiaty, nieśmiertelniki, które i za grobem nie zwiędną w rękach naszych.

Ksiądz Maciej poprawił się na krzeselku, zaczął być ze siebie niekontent. Tabakierka nie chciała się otworzyć, a w głowie urwał się concept i nie można było dojść do końca.

— O tém nie mówię wcale — ozwał się po dłu-

gięj chwili milczenia—są to zaprawdę piękne kwiaty, ale to kwiaty duszy; a ja mówiłem o sercu, czy raczej o téj połowie serca ludzkiego, której potrzeba tutaj szczęścia na ziemi, aby je miało jak dziecię kwiaty...

— Ale kto wyrósł nad wiek dziecięcy...

— I cóż ztąd?

— Ztąd to, że stosowny dla swego serca musi mieć pokarm... i kwiaty, które mu się podobają... Czyli mówiąc krótko a węzłowato — dodał ksiądz Maciej, ociérając pot z czoła — kobieta musi kochać coś, do czego jéj serce przylgnąć może.

— Jéj serce przylgnęło całą siłą do męża, do...

— Otóż o to zapytać się chciałem—rzekł z wielką rezygnacją ksiądz Maciej, mając tylko to wewnętrzne zadowolenie, że już raz rzecz na czysto wytoczył.

— Dla czegoż o to się pytasz? — zawołał starszek—czy masz jakie powody?

— Uchowaj Boże! Ale tak mi się coś zdawało?

— Cóż ci się zdawało?

— Zuzanna ma lat dwadzieścia cztery, jest młoda i ładna kobieta...

— Cóż to znaczy?

— Serce kobiety najbardziej w tym czasie pragnie odpowiednich sobie uczuć.

— Tadeusz ją kocha.

— Pan major ma lat sześćdziesiąt i kilka, jego miłość dla żony jest piękna, czysta, spokojna—ale czy zrozumieć takie młode serce...

Starszek uśmiechnął się, wziął pocziwego proboszcza za rękę i rzekł do niego z łagodnym wyrzutem:

— Straszysz mnie niepotrzebnie, księżo Macieju,

a ja potrzebuję pociechy i ukojenia. Zapewnie przeczytałeś na starość jaki romans francuzki i chcesz go zaaplikować do mieszkańców pocziwego domku. To się nie godzi, księże Macieju!

Ksiądz Maciej odsunął z widocznym gniewem krzeselko od starego Dębicza, a zakręciwszy tabakierkę, aż przeraźliwie skrzypnęła, rzekł:

— Francuzkich romansów. nigdy nie czytałem i na starość czytać ich nie będę. Nie z książki moje doświadczenie. Siedząc przez lat pięćdziesiąt w konfesyonale, miałem czas zbadać serca ludzkie i poznać najskrytsze ich choroby.

Twarz staruszka posmutniała, ciekawie patrzył na mówiącego.

— I wielu już miałem pacjentów na chorobę serca—mówił dalej z ferworem ksiądz Maciej,—ale czy wszystkich uzdrowiłem, to tylko Bogu wiadomo! Bo też to straszna jest choroba, ta choroba serca. Słysząc tych pacjentów mówiących, to aż się dobrze spocić potrzeba, szukając argumentów, aby zbić to, czém oni się bronią. Już to często przychodzi mi do głowy, czyby nie lepiej było, aby człowiek serca nie miał. Ale znowu mówię sobie: Bóg sercem świat zbawił, miłością cały świat stoi. I tak jest to serce, jak ów dwulicowy bożek pogański, nazwany Janus, który na jednej stronie miał pokój, a wojnę po drugiej.

— I cóż ztąd wnosisz, księże Macieju?—zapytał cicho zamyślony staruszek.

— Że z sercem trzeba jak najostrożniej sobie postępować — odpowiedział ksiądz Maciej, który miał już węgę do gadania—nie trzeba mu nic narzucać, ale powoli śledzić jego przyrodzone skłonności i sakra-

mentem wzmacniać tylko jego powzięte postanowienia. A gdzie sakrament ściąga dopiero dwa serca jak wić łożyny, lub jest prawną pieczęcią, spisane go przez notariusza kontraktu, tam szczęścia nigdy nie będzie, a biedny spowiednik traci głowę w konfesyjonał, gdy mu przychodzi bronić świętości sakramentu, od którego nie ma żadnej apelacji.

Staruszek słuchał zamyślony, jego czoło okryło się zmarszczkami. Nastąpiła długa chwila milczenia. Późem wypogodziła się twarz staruszka, jego ciemne brwi rozsunały się daleko od siebie. Z nieznacznym uśmiechem na twarzy rzekł do proboszcza, który ciekawie patrzył na niego:

— Myślisz, księże Macieju, żem źle uczynił, wybrawszy Zuzannie majora za męża?

— Tego nie myślę, ale gdyby... dajmy na to... serce Zuzanny...

— Serce Zuzanny utonęło całe w sercu pocziwego majora.

— Daj Boże, ale gdyby... tak z czasem...

— Więc to chciałeś mi za grzech poczytać — przerwał mówiącemu staruszek — żem Zuzię wydał za najpocziwszego człowieka w świecie? Wszak ja to za zasługę sobie przed Bogiem biorę! Zuzię wychowałem na własnych rękach, tu ot w tej izdebce, w obliczu tych oto Dębiczów! Zuzia z krwi Dębiczów; ona pokochała to, co wzniosłe i szlachetne, nie przywiązując się wcale do marności światowych. Ona w swoim mężu pokochała tę piękną, wzniosłą przeszłość naszą, która jęj całe serce zapełnia. A ty myślisz, księże Macieju, że moja Zuzia to jak zwykła, wielkomiejska

kobięta, której podoba się frak kusy i halsztuk zgrabnie zawiązany u łada jakiego młokosa?

— Tego wcale nie myślę, ale wiem, że czasem serce kobiety...

— Słuchaj, księżu Macieju!—przerwał staruszek, podnosząc się w krzesło i kładąc rękę na ramieniu proboszcza.—Zuzanna tak kocha swego męża, że miłość jej często przechodzi granicę i staje się bałwochwalstwem. Ja na to wszystko patrzę, i to mnie jeszcze przy siłach i życiu utrzymuje.

Starzec mówił to z takiem przekonaniem, jego ręka tak drżała na ramieniu księdza Macieja, że pocciwy proboszcz strasznie się zakłopotał, wlaższy w matnię, z której w żaden przyzwoity sposób wywinąć się nie mógł. Gniwał się na siebie, że się dał uwieść jakimś przywidzeniom i w ferworze dobrego uczynku zrobił ogromne głupstwo. Dębicz był widocznie rozdrażniony jego gadaniną, a gdy jeszcze Zuzanna i major o tém się dowiedzą, wysmieją pocciwego starowinę, którego dręczyły jakieś mary złowieszcze.

Ksiądz Maciej odkręcał tabakierkę i zakręcał, szukając conceptu, który mógłby go z honorem i *salva conscientia* z téj głupiej sprawy wyprowadzić, gdy nagle otworzyły się drzwi, a do pokoju wszedł pocciwy major. Za nim, usłyszawszy rozmowę, weszła i Zuzanna z robótką w ręku. Ksiądz Maciej błagającym wzrokiem popatrzył na starego Dębicza, aby na miłość Boga nic o jego głupich przywidzeniach nie wspominał, i uspokoił się, widząc pobłażający uśmiech na twarzy staruszka.

— Muszę się oskarżyć dziaduniowi i księdzu Maciejowi—rzekła Zuzanna z uśmiechem pełnym słodyczy — że Tadeusz już mnie kochać przestaje. Minał moje drzwi i wszedł tutaj, aby się ze mną nie przywitać.

— To na to, kochana Zuzieńko — odparł major z figlarnym uśmiechem—aby dziadunio i ksiądz Maciej byli świadkami naszego przywitania i... i mojego szczęścia — dodał, całując żonę naprzód w rękę, a potem w czoło.

Zuzia objęła białemi ramionami siwą głowę i przycisnęła do piersi.

— Niedobry jesteś — rzekła, całując go — coraz więcej się rozpuszczasz; uwiążę cię na sznureczku u siebie.

Ksiądz Maciej z największą trwogą patrzył w oczy starego Dębicza, bo zdawało się mu, że major i Zuzanna o wszystkiém już wiedzą. Pot wystąpił na jego czoło, nie mógł sobie darować swojej nierozsądnej popędliwości. Do tego stary Dębicz tak dziwnym na niego patrzył wzrokiem, tak jakoś dziwnie się uśmiechał i tak widocznie szydził z jego przywidzeń nie-szczęsnych, że biedny ksiądz Maciej pokornie głowę schylił, w piersi się nieznacznie uderzył i szepnął:

— *Peccavi!*

Ani major, ani Zuzanna nie widzieli téj szczególnej skruchy księdza Macieja, bo byli zbyt zajęci wzajemnymi pieszczotami. Poczciwy major nie mógł się napatrzeć na swoją młodą żonę. Ścisnął jej ręce i całował, przykładając je do piersi, gdzie mu serce tak gło-

śno biło! A Zuzanna patrzyła z anielską słodyczą w twarz męża i całowała z dziecięcą pieśczołą jego siwe włosy. Stary Dębicz wyglądał z rozjaśnionem obliczem jak tryumfator rzymski; a biedny ksiądz Maciej z pokorą błędzącego człowieka pochylał głowę, widząc w tém wszystkiem zasłużoną karę swoją.

Gdyby ksiądz Maciej uważnie na kochające się małżeństwo był patrzył; gdyby przyćmiony wiekiem wzrok jego dozwolił mu być śledzić na ich twarzach odcienia uczuć, które w téj chwili w ich sercach się paliły: ujrzałby może coś, coby na poparcie jego przywidzeń złowieszczych mówić mogło. W pieśczołach kobiety było coś gorączkowego, co nienaturalny stan jéj duszy malowało. Chwytała męża tak nagle za ręce, z takim niepokojem cisnęła głowę jego do piersi, jakby się czegoś lękała, jakby go od niej jakaś niewidoma odrywała siła. I taki pośpiech, taka dziwna gwałtowność była w jéj pieśczołach, jakoby te chwile były policzone, a wkrótce miała nastąpić godzina, w której ze wstrętem tę głowę od siebie odepchnie... A nawet major był dzisiaj w stanie nienaturalnym. Jego oczy biegały szybko i niepewnie; kilka razy zamiast czoła Zuzanny pocałował klapę swego surduta i tak silnie trzymał żonę za ręce, jakby jakiś ciężar niewidomy ciągnął go w przepaść, nad którą właśnie oboje stali.

Ale ksiądz Maciej nic z tego wszystkiego nie widział. W sercu czuł gorzkie wyrzuty, że myślą bezbożną grzeszył, i ze skruchą winowajcy patrzył na starego Dębicza, który coraz więcej tryumfować się zdawał nad pocziwym proboszczem.

Wreszcie usiadł major na krzesło, a Zuzanna obok staruszka na swoim taboreciku. Major począł coś opowiadać, a żona jego ułożywszy włóczkę w różne stopnie barw na kolanach, podniosła oczy i z takim zajęciem patrzyła w twarz opowiadającego, jakby po długim czasie upragnionego oglądała kochanka.

Major opowiadał, że był w Dąbczynie u Jerzego, który już się miał lepić; że tam przyszedł także i hrabia Leon i tyle nowych gazet przyniósł z sobą, że aż serce się radowało. Nie mógł pocziwy żołnierz księcia Józefa przenieść na sercu, aby z wyczytanych w gazetach wiadomości nie udzielił czegoś szanownemu zgromadzeniu. Mówił więc szeroko i z nadzwyczajnym zapalem o nieporozumieniach w Chinach i buntach na wyspie Korsyce, o powstaniu jednego plemienia Kabyłów przeciw załodze francuzkiej, o niebezpiecznej chorobie cesarza Soulouque i królowej wysp maryańskich, a dołączwszy do tego mimochodem krótki rys ostatnich zajęć parlamentarnych w Anglii i nieporozumień ministra z królową hiszpańską, tak hazardowne począł ztąd czynić wnioski, i tak oczywistą wyprowadził z tego wojnę całego świata, że każdy inny słuchacz byłby w jego słowach dostrzegł coś gorączkowego, co go tam gdzieś na dnie serca paliło. Ale ksiądz Maciej tylko jednem słuchał uchem, a stary Dębicz nacieszywszy się tryumfem, patrzył ukradkiem na portret swojej babki, której twarz smutna i surowa zdawała się marszczyć brwi i zaciskać usta. Major miał więc wyborną sposobność pływania po pełnem morzu najhazardowniejszych kombinacyj politycznych; nikt bowiem nie dostrzegł owój tajnej myśli, która go na to morze pę-

dziła, porywając go coraz dalej w olbrzymie swoje objęcia.

Wreszcie począł się wyczerpywać przedmiot rozmowy, bo chociaż major na wszystkich czterech częściach świata pożogę wojny powszechnej rozniecił, gdy mu jednak żaden sukurs ani ze strony starego Dębicza, ani księdza Macieja w pomoc nie przyszedł, ucichła jakoś wrzawa wojenna, a w izdebce staruszka zaczęło się już robić cicho. I ksiądz Maciej z wielką ostentacją na zegarek popatrzył i na drogę należycie tabakierkę zakręcił, gdy nagle od dziedzińca zaszedł ich jakiś szmer głuchy, podobny do licznych głosów ludzkich.

Major pośpieszył na dziedziniec, aby się czegoś dowiedzieć i pozostałych w izdebce staruszka uspokoić. Ale to właśnie niemałe było zadanie. Na dziedzińcu stało bowiem kilkunastu ludzi i z takim zapalem podawano sobie jakieś dziwne wieści do ucha, że trudno było majorowi dla siebie coś z tych wieści zachwycić.

W samym środku stał Mietlica i z wielkim zajęciem opowiadał coś staremu kucharzowi. Klucznica zaś przysięgała się na swoją uczciwość, że przed chwilą wcale inaczej opowiadał jej całe zdarzenie stary ekonom, i że ani słówka nie opuściła, powtórzywszy to wszystko staremu Jędrzejowi, do którego miała szczególne zaufanie. Jędrzej znowu połączył dwa opowiadania w jedno i tak je zagmatwał, że ani klucznica, ani stary ekonom nie przyznali się do tego, aby mu coś opowiadać mieli. Słowem, rozgardyaszył był tak wielki między dworską służbą i czeladzią, że wiele upłynęło

czasu, nim major mógł dostać języka o zaszłym wydarzeniu.

Okazało się, że Mietlica wpadł pierwszy z dziwną wieścią na dziedziniec. Uchwyciwszy zaraz przy furtce starą klucznicę, opowiedział jej na prędce, że przed chwilą widział jakiegoś jeźdźca na czarnym koniu, który przesadziwszy płot ogrodu, wpadł między klomby i znikł jak kamfora. Trafiwszy kilka kroków dalej na Wojciecha, stangreta, powtórzył mu to opowiadanie z tym dodatkiem, że nie tylko koń, ale i jeździec był czarny jak węgiel i coś za nim cuchnęło jak smoła. Zeszedłszy się dalej z Mateuszem, starym lokajem, dodał do tego, co mówił Wojciechowi, jeszcze tę drobnostkę, że jeździec miał nogi podobne do capa, zakończone długimi pazurami, których zamiast ostrogi używał. Kucharz, który najpóźniej przyszedł, usłyszał jeszcze do tego wszystkiego, że jeździec z gęby wyrzucał palące się węgle i kwiczał jak wieprz. A w końcu, gdy jeszcze kilku parobków z piekarni wyszło i wszyscy w koło opowiadacza uszykowali się, wpadł stary wiarus w taki ferwor opowiadania, że swój i tak już gorącej wyobraźni zupełnie wodze popuścił i niestworzone opowiadał im rzeczy. Według ostatniego wariantu jego powieści, miał ten czarny jeździec przez klomby jak ptak przelecieć, a wpadłszy na wody stawu, suchą nogą na drugą stronę przejechał. Tylko pod ognistemi kopytami konia woda nieco syczała. Potem nie zapomniał dodać, że to wszystko dzieje się z rozkazu Boga, który mści się za biednego mieszczanina, i że ten czarny jeździec zapewne burmistrza z Dąbczyna z sobą do piekła weźmie. A wszystko to mówił Mietlica w najświętszem przekonaniu, że

mówi prawdę, bo w zapale opowiadania sam w końcu w swoje powieść uwierzył.

Zebrawszy więc tę powieść z różnemi waryantami, wrócił major do izdebki, gdzie nań niecierpliwie czekano, a gdy o czarnym jeźdźcu na czarnym koniu mówić zaczął, nachyliła się szybko Zuzanna do swojej robótki i ułożoną według barwy włóczkę przez niezręczność pomieszała. Ręce jej zdrząły, na twarzy znacznie zbladła. Ale wkrótce uspokoiła się, a układając napowrót włóczkę w różne odcienia barw, rzekła z pogodą na twarzy:

— Stary Jakób ciągle miéwa teraz przywidzenia. Od czasu jak zégarmistrza, Wojnę, z którym był w ścisłej przyjaźni, do więzienia wsadzono, stracił biedny rozum i widzi rzeczy, o których innym ani się śni. Dobrze byś zrobił, kochany Tadeuszu, abyś mu zakazał pleść czeladzi podobne androny, bo ztąd powstają tylko baśnie i zabobony.

Majorowa mówiła to z nadzwyczajnym spokojem, układając z największą skrupulatnością odcienia włóczki. Stary Dębicz był tego samego zdania, co i Zuzanna, a ksiądz Maciej obiecał w następującą niedzielę powiedzieć kazanie w téj materyi i staremu gadule dobrze za to rogów przytrzyć. Major zaś prosił za Mietlicą, który nie czynił tego w złej chęci, tylko snąc mu się coś przywidziało.

I tak zakończono dzisiaj pogadankę serdeczném uściśnieniem, a ksiądz Maciej z taką pokorą się żegnał, jakby największym był winowajcą. Idąc do plebanii wzdłuż grobli ponad stawem, łajał siebie głośno za swoje głupstwo, które był popełnił, poszedłszy za jakiéms fałszywem natchnieniem. A mając jeszcze

przed oczyma obraz szczęścia, który przed chwilą widział w domku Dębicza, nie spostrzegł wcale, że ten sam czarny jeździec, o którym opowiadał Mietlica, tuż przed nim groblę i fosę jednym skokiem przesadził i gdzieś w stawie jak kamień utonął.

II.

Następnéj niedzieli miał ksiądz Maciej długie kazanie o fałszywych przywidzeniach. Wyliczał wszystkie złe skutki, które ztąd na lud boży i jego wiarę spadają, i zbyt często wskazywał ręką na obraz Przemienienia Pańskiego, pod którym stał ekonom.

Mimo wszelkiéj eruducyi, którą w to kazanie był włożył, jakoś nie szły mu w ład cytaty rozdziałów i wierszów pisma świętego, imiona ewangelistów często mu się mieszały, nie mówiąc już o listach ś. Pawła, pisanych do różnych nacyj i kościołów.

Ksiądz Maciej bowiem mówił dzisiaj więcej z obowiązku, jak z wewnętrznego swego przekonania. Mimo odbytej pokuty, jaką sobie był wyznaczył za nieszczęsną popędlivość swoją, słyszał jednak ustawicznie, że mu coś szepcze do ucha; widział rzeczy, które z każdym dniem więcej utwierdzały go w jego przeczuciach złowrogich. A nie mogąc wreszcie ani modlitwą, ani jałmużną odpędzić od siebie tych mar natrętnych, które mu dniem i nocą przed oczyma stawia-

ły, uwierzył był znowu w swoje dziwne natchnienie, które mu czuwać kazało nad duszami, jego opiece powierzonemi.

I tak znowu powoli rosła w jego sercu trwoga o pokój i szczęście białego dworku, w którym tyle przyjemnych chwil życia z mieszkańcami przepędził. Ale nie chcąc tym razem grzeszyć popędlivością, jak to przed kilkoma dniami był uczynił, rozebrał sobie dobrze w głowie, jak w tej mierze postąpić trzeba.

Chodził więc co dnia na poobiednie „spiritualia“ i pilnie wszystkich obserwował. Stary Dębicz był tak spokojny co do szczęścia Zuzi, że nawet nigdy nie przypomniął księdzu Maciejowi jego nieszczęsnego powątpiewania. I ksiądz Maciej był z tego bardzo kontent, bo zawsze ów wieczór był dla niego nieprzyjemnym wspomnieniem.

Tymczasem w zgromadzeniu „spiritualistów“ zachodziła z każdym dniem widoczniejsza zmiana. Dębicz mówił wiele o grobie; kazał nawet w grobowcu wybić nową framugę między pierwszym i ostatnim Dębiczem, i dla siebie ją przygotować.

Major z każdym dniem stawał się młodszym i ruchliwszym. Ani chwili nie mógł wysiedzieć na jednym miejscu — jakaś gorączka paliła go wewnątrz. Marzył jak młodzieniec o dniu jutrzejszym, a gdy ten minął, nie spełniwszy jego nadziei, major odkładał swoje ekspektoracye na dzień następny. Gazety już z ręki nie wypuścił, a gdy jaki celnik w Sycylii do przemytnika wystrzelił i do tego jeszcze spudłował, major widział w tém iskrę pożogi, która lada dzień zajmie świat cały z końca do końca! Wreszcie tak mu jakoś obmierzył powolny i prozaiczny bieg świata, de-

baty parlamentarne tak go już nudziły, a konjunktury polityczne tak długiego do sprawdzenia wymagały czasu, że począł wierzyć w jakieś nadzwyczajne, nieprzewidziane wypadki, w siły nadnaturalne, których człowiek do swoich celów użyć może, i w ukrytych demonów, którzy w ostatecznym razie mogą ludziom pomóc. I tak bogobojny, stary żołnierz, nasłuchawszy się na tych „spiritualiach“ najrozmaitszych pism ojców kościoła, zaszedł najprostszą drogą do jakiejś wiary pogańskiej, która go od dzienniej oderwała pracy i nadzwyczajnym zdarzeniom kazała mu poruczać wszelkie swoje nadzieje. Ta nowa wiara pocziwego majora doszła wkrótce do tego, że pewnej nocy samowtór z Mietlicą, który z tęsknoty za biednym zégarmistrzem już na piękne bzika dostał, rozkopał w ogrodzie gruzы pałacyska, szukając tam ukrytego skarbu!

Ksiądz Maciej widział to gorączkowe usposobienie majora i przypisywał je niepewności, która szarpie jego pocziwe serce na widok żony, oddalającej się z każdym dniem sercem od niego. Ta zmiana majora utwierdziła go w jego przeczuciach fatalnych.

Zuzanna zaś była na pozór spokojną. Rzadko kiedy się roześmiała, a prawie zawsze miała oczy od łez czerwone. Twarz jój pobiadła, usta zbiełały i jasno było, że jakiś robak toczy jój młode serce. Nawet domowe zatrudnienia, które niegdyś jedyną były dla niój rozrywką, nudziły ją teraz widocznie i coraz więcej od nich się uchylała. Przy „spirytualiach“ siedziała smutna i zamyślona, i widać było po jój twarzy, że wiele cierpi.

Wszystko to widział ksiądz Maciej, ale bynajmniej się tém jeszcze nie trwożył. Dziwne miał on

jakieś doświadczenia serca ludzkiego z pięćdziesięcioletniej swojej praktyki w konfesyonale. Coraz głębiej rysujący się na twarzy smutek Zuzanny, który ją z każdym dniem więcej pożerał, cieszył go widocznie, a gdy ją ujrzał z zapłakanymi oczyma, uderzył z akcentem palcami po tabakierce i uśmiechał się nieznacznie.

Razu jednego nawet, gdy mu zasmucony major na ganku powiedział, że jego Zuzienka dzisiaj nagle zasłabła, ksiądz Maciej puknął w tabakierkę z widoczną uciechą i rzekł bez wszelkiej ogródki 'zdziwionemu mężowi.

— I owszém, niech będzie chorą!

Za kilka dni przyszedł ksiądz Maciej jak zwykle na poobiedne „spiritualia“. Zaraz w ganku przywitał go major serdecznym uściskiem i szepnął mu do ucha, że dzisiaj jest szczęśliwszym, niżeli kiedykolwiek. Zuzanna bowiem jest dzisiaj weselszą, a nawet wesołe melodye grała na klawikorcie.

Ksiądz Maciej na to nic nie odpowiedział, tylko zakręcił tabakierkę aż zaskrzypiała. Skwapliwie wszedł do izdebki starego Dębicza. Na jego twarzy malował się jakiś przestach.

— Otóż i w mglistych dniach smutku daje nam Bóg dnie pogodne — rzekł do niego zaraz na wstępie stary Dębicz, którego twarz jaśniała dzisiaj nadzwyczajną pogodą.

Ksiądz Maciej zaczął coś mówić o miłosierdziu bożém, ale jakoś wnet język mu się poplątał i zamilkł.

— A wiesz, księżu Macieju mówił dalej starszek — przez kogo nam Bóg ten piękny dzień dzisiaj daje? Oto przez naszego anioła stróża, jak niegdyś na-

zwałaś Zuzię. Od kilku tygodni cierpiała jakąś niemoc duszy; dzisiaj przyszła do siebie i jest znowu wesolą i świeci nam w domu pogodą duszy swojej, aż nam wszystkim i jaśniej i cieplej.

Ksiądz Maciej w widocznym był kłopotcie, posuwał się na krześle, któremu dzisiaj nie mógł znaleźć równowagi.

W tém gdzieś z ogrodu ozwał się piękny, wesół głos Zuzanny. Kończyła zwrotkę jakiejś wesółej piosenki.

Niemile wrażenie sprawił ten głos na księdzu Macieju.

Major wszedł z cicha do pokoju. Położywszy palce na ustach na znak milczenia, wskazał drugą ręką do ogrodu, z kąd było słyhać nucącą Zuzannę. Szczęście malowało się na jego twarzy.

— Zuzienka nuci dzisiaj dzień cały — rzekł po chwili — i jest tak przy dobrej fantazyi, jak ją już dawno nie widziałem. Jest to dla mnie rozkosz prawdziwa przy wszelkich moich utrapieniach.

— Nie obrażaj Boga, Tadeuszu! — twoje utrapienia są urojone, a szczęście twoje jest rzeczywiste. Zuzia kocha cię i jest szczęśliwą, czegoż ci więcej potrzeba?

Mówiąc to, spojrzał staruszek na księdza Macieja, przypominając mu tym wzrokiem jego dziwne przywidzenia. Ale ksiądz Maciej był dzisiaj jakoś w tak kwaśnym humorze, że na to spojrzenie ani zważał, ani nawet nie widział, jak smutno spojrzał major na starego Dębicza, gdy mu ten o jego utrapieniach wspominał.

W tém weszła Zuzanna. We włosach miała

prześliczną kamelię, czego pierwój nigdy prawie u niej nie widziano. Nawet staranniej była ubrana. Twarz jój zarumieniła się, wyraz szczęścia i zadowolenia malował się w jój oczach.

I z taką dziecięcą pustotą weszła do pokoju, tak serdecznie witała się z wszystkimi, księdzu Maciejowi tyle dowcipnych powiedziała żarcików, że stary Dębicz i major z zachwyceniem wpatrywali się w jój piękną twarzyczkę, na której dzisiaj najjaśniejsze igrały kolory. Widać było, że serce młodej kobiety przepełniło się jakąś nadzwyczajną rozkoszą, jój ramiona otwierały się do objęcia całego świata; czuła jakiś nadmiar szczęścia, którem chciała się podzielić z całym światem.

Ksiądz Maciej tylko strasznie posmutniał. Przewracał tabakierkę to na tę, to na owę stronę i milczał.

— Kochana Zuzienko—ozwał się stary Dębicz—patrzno drogie dziecię na księdza Macieja! Zazdrości nam téj pogodnej chwili, której właśnie używamy i zachmurzył się, gotując pewnie dla nas jakąś perorę. Rozweselasz nas wszystkich swoim humorem, spróbujże téj sztuki i na księdzu Macieju!

— Jakto, księżu Macieju — przemówiła dziwnie brzmiącym głosem Zuzanna—to dla drugich są recepty, a dla siebie nie ma? Kilka dni temu, gdy była smutną, mówił ksiądz Maciej, że wesołości nie wzbrania pismo święte, że i przenajświętsza rodzina cieszyła się na godach w Chanaan...

— Zaproszeni na gody powinni mieć szaty świąteczne—odparł sentencyjonalnie ksiądz Maciej—a jam może nie godzien—dodał prędko, aby téj aluzji wszyscy nie zrozumieli.

I tak mimo wszelkich usiłowań Zuzanny nie mógł się rozweselić ksiądz Maciej, a gdy mu już dłużej nie podobna było wytrzymać, zmyślił ból głowy i przed czasem towarzystwo opuścił.

Spory kawał drogi już uszedł, gdy nagle spostrzegł, że miał głowę odkrytą, a kapelusz niósł w ręku. Jakaś bolesna myśl owładnęła całe jego serce. Wyszedłszy na groblę stawu, obrócił się do białego dworku, który jak młody psotnik skrył się przed nim między lipy i kasztany, a tylko przez gałęzie i liście mrugał do niego. A taka cisza, taki spokój był nad tym białym dworkiem! Mógłbyś słyszeć aniołów w niebie, biorących błogosławieństwo z rąk Boga dla ludzi i śpieszących z niem na ziemię...

I ksiądz Maciej wyciągnął rękę i pobłogosławił mieszkańcom tego dworku — nie, on był w tej chwili egzorcystą, zażegnywał burzę nad nim wiszącą...

I szybko zwrócił się na drogę do plebanii, do swojej samotnej izdebki.

Pierwszą myślą, gdy się ujrzał w swojej izdebce, był brewiarz i modlitwa. Jego zasmucona dusza pragnęła rozmowy z Bogiem. Wziął więc do ręki dobrze znajomą jego książkę, towarzyszkę swego życia, z którą mógłby już złote obchodzić wesele, i począł stosownej szukać modlitwy. Ale tym razem zawiodła go jedyna towarzyszka życia. Przewracał i przewracał kartki, ale znajomiej mu dobrze modlitwy nie mógł znaleźć. Wreszcie poprzestał na inną, podobną, a założywszy okulary, począł ją czytać z uwagą i nabożeństwem. I tu mu się jakoś nie kleiło. Przeczytawszy całą stronę, nie wiedział w końcu sam, co przeczytał. Widział przed sobą wprawdzie czarne litery i czerw-

ne inicyały, ale sensu nie mógł złożyć. Coś mu latało między książką a oczyma i zasłaniało ustawicznie modlitwę. Odłożył brewiarz, wziął Tomasza à Kempis, ale i tu ten sam nieład w literach i sensie.

I pomyślał sobie pocziwy kapłan:

— Snać nie miłą jest Bogu modlitwa moja w tej chwili. On nie chce, żebym się modlił, gdy potrzeba myśleć nad ratunkiem.

I odłożywszy wszystkie książki na bok, usiadł w dużem krześle, aby swobodnie wszystko obmyśleć, co w takim razie czynić wypada, aby znowu przez popędlivość jakiego głupstwa nie zrobić. Ale nie lada było to zadanie. Ksiądz Maciej myślał i myślał, a jakoś do żadnego nie mógł przyjść rezultatu.

Wreszcie począł jego myślom przeszkadzać pajak, który sobie spokojnie siatkę naprawiał. Ksiądz Maciej obrócił się, a tu wpadło mu okno w same oczy. Podniósł głowę do góry i patrzył na powalę. Jedna sztukowana belka gniewała go i drażniła ustawicznie. Wstał i począł się przechadzać. Ale tu wszystko jakby się sprzysięgło na niego: krzesła stały na samej drodze, na stole brzęczała butelka z wodą, a podłoga tak nieznośnie była nierówną, że ksiądz Maciej nie mógł na żaden sposób swoich myśli w kupie utrzymać.

Wziął kapelusz i wyszedł do ogródka.

Ogródek plebana ciągnął się długim, wązkim wygonem ponad brzegiem stawu. Zasadzony był wprawdzie drzewami owocowymi, ale mimo to można było z niego daleki mieć widok. Drzewa bowiem sadił sam ksiądz Maciej w tak symetrycznych liniach, że na cztery części świata można było pomiędzy niemi daleko widzieć. Na samym końcu ogrodu była mała gloryetka,

z kądem był daleki widok na staw i wysepkę z ruinami klasztoru bożogrobców. Na dębowej ławeczce lubił tutaj często ksiądz Maciej siadywać i utrzymywał, że najlepsze kazania, które kiedy powiedział, układał sobie na tej ławeczce, patrząc daleko przed siebie po nad sine wody stawu i błękitną gazą obleczone ruiny klasztoru.

Wyszedłszy więc z izdebki i rozmyślając nad tak ważną rzeczą, zbliżał się już z nałogu ksiądz Maciej do ulubionej swojej ławeczki, a doszedłszy do niej, usiadł śpiesznie, nie zdmuchnąwszy wprzód prochu, jak to zawsze zwykł był czynić.

Słońce zbliżało się już dobrze ku zachodowi. Dzień był jesienny, lekki wietrzyk szeleścił po żółtych, uschłych liściach, ale słońce grzało jeszcze przyjemnie. Tam daleko snuli się pilni robotnicy po zagonach; jedni zbierali ostatnie snopy bożych darów, a inni rzucali już nasienie na rok przyszły. Ochocze pieśni rozlegały się do koła, a dźwięk dzwonów pasącej się się trzody wtórował im z daleka. Jakaś piękna melodia była w całej naturze. Tylko jeden ciemniejszy punkt malował się czarno na błękitnem niebie — były to lipy i kasztany przy białym dworku.

Ksiądz Maciej myślał właśnie o tym białym dworku, myślał o jego mieszkańcach, którzy dzisiaj byli tak weseli, tak szczęśliwi! A on właśnie w tej wesołości, w tém szczęściu słyszał złowrogi śmiech szatana, który po długiej walce zwyciężył. Ale z drugiej strony trapiła go znowu ta myśl, której rad udzielał ucha, że to wszystko może być tylko przywidzenie, złudzenie!

I gdy tak walcząc ze swemi myślami, coraz wię-

cej przychyłał się do tego przekonania, że jest za stary dla świata dzisiejszego, nie pojmuje go i napróżno fałszywem trapi się przywidzeniem — nagle tentent konia wyrwał go z zamyślenia.

Spojrzał na drugi brzeg stawu, któredy polna prowadziła droga, i zadziwił się nie mało, widząc pomykającego szybko czarnego konia z jeźdźcem, o którym tyle hałasu narobił owego wieczoru stary ekonom.

Ksiądz Maciej wyteżył wzrok, przyłożył rękę do czoła, a widząc szalone, nienaturalne skoki czarnego rumaka, począł już był na seryo wierzyć, że zły duch mu się przywidział; gdy jeździec zwrócił się nagle twarzą na drugi brzeg stawu, jakby kogoś tam szukał oczyma, a ksiądz Maciej z niemalym przestrawem poznał w nim—hrabiego Leona.

Przestraw opanował starego kapłana, pot wystąpił mu na czoło. Széroko otwartymi oczyma prowadził jeźdźca po zakrętach drogi, póki mu tenże nie znikł zupełnie za drzewami, otaczającymi ruiny klasztoru bożogrobców.

Ruiny te, jak już powiedzieliśmy, były na małej wysepce, do której z tamtej strony był przystęp.

Ksiądz Maciej utopił wzrok w tej ciemnej grupie drzew, czerniącej się nad błękitném zwierciadłem stawu, i sam nie wiedział, o czém właściwie w tej chwili myślał, gdy na jasném tle fali przezroczystej pojawiło się przed jego oczyma jakieś nowe widmo. Z ciemnych zarośli ogrodu, który od białego dworku ciągnął się aż po brzeg stawu, wymknęła się mała łódka, na której siedziała jakaś postać kobiéca.

Po jasnym kolorze sukni poznał ksiądz Maciej Zuzannę.

Słońce zniżyło się już do ziemi. Biała mgła wieczorna spuszczała się na wody jeziora, a mała wysepka brała powoli na siebie błękitną, nieprzejrzystą szatę, aby się przed ludzkim zasłonić okiem. Tylko jedyna gwiazdka wymknęła się śmiało naprzód i ciekawie patrzyła między drzewa, otaczające ruiny klasztoru.

Ksiądz Maciej nic już przed sobą nie widział. Mgły, osiadające na wodach jeziora, kłębiły się przed nim w jakieś dziwne, straszne kształty: widział olbrzymów, idących po fali suchą stopą, słyszał ich dziwne, piekielne głosy. A tam za drzewa ogrodu, z gorejącą twarzą zapada słońce, świadek boży, i niesie Stwórcy dzienny rachunek dobrych i złych spraw ludzkich.

W tém ozwał się dzwonek na „Ave Maria“. Ksiądz Maciej ocknął się jakby z jakiego snu straszniejszego, padł na kolana i z niepraktykowaną dotąd gorącością pozdrowił przeczystą Bogarodnicę, opiekunkę serc młodych, pragnieniem miłości gorejących.

A gdy powstał, była już noc ciemna. Tylko tam w dali, w oknach białego dworku błyszczały światła i tak spokojnie mrugały do niego, jakby najszcześliwszym przyświecały mieszkańcom. Ksiądz Maciej spojrział jeszcze raz w okna tego dworku, którego mieszkańcy tak byli spokojni i szczęśliwi, gdzie przed chwilą tak cieszone się wesołością młodej kobiety i jej uśmiechem, w którym on przeczuwał śmiech straconego anioła!

Smutny i zgarbiony, jakby jaki ogromny ciężar spoczął na barkach jego, wrócił ksiądz Maciej do samotnej swojej izdebki.

Przez całą noc nie mógł oczu zamknąć sędziwy kapłan. Tyle różnych myśli, jakto teraz sobie postąpić należy, przychodziło mu do głowy, a wszystkie te myśli tak jakoś nieestosowne wydawały się mu po bliższem rozpatrzeniu, że zdawszy wszystko na wolę bożą, przedsięwziął przespać noc bez żadnego powziętego postanowienia, a nazajutrz rano spodziewał się, że w świeżej głowie łatwiej mu będzie wynaleźć sposób przyzwoity postąpienia sobie w tak trudnej sprawie.

Ale sen uciekał od niego jak ptak spłoszony. A gdy nad ranem zasypiać począł, jakieś straszne widmo przstraszyło go. Równemi nogami stanął na ziemi, a zapaliwszy świecę, wziął się do brewiarza.

Widział we śnie ten biały, spokojny dworek. Lipy i kasztany tuliły go między sobą, boża gwiazda świeciła nad nim. W tém nadciągnęła chmura czarna, z jej piersi wyleciał grot piorunu i roztrzaskał ten biały domek i powalił chroniące go lipy i kasztany. Z grobowca Dębiczów wyszły jakieś olbrzymie, w śmiertelne całuny zawinięte postacie i wzięły staruszka ze sobą do swoich ciemnych, spróchniałych trumien! Major stał pode drzwiami grobowca i płakał, ale go tam nie wpuszczono. W ziemi nieświęconej, jak poganin lub samobójca, wykopał sobie grób i leżał... A Zuzanna ubrana w kwiaty, śpiewała jakieś dziwne pieśni...

Odczytawszy modlitwę, uspokoił się po tym śnie strasznym ksiądz Maciej, a że już świtać zaczęło, począł na seryo myśleć o tém, co mu jako kapłanowi i przyjacielowi teraz czynić wypada.

Najprzód wertując wszystkie swoje doświadczenia, zgodził się na to, że błędzącego człowieka przedewszystkiem nie trzeba poniżać we własnych oczach je-

go. Trzeba przed nim skrzętnie naprawić ściężkę żywota, aby sam nią na bity gościmec wyszedł; ale nie trzeba go zawracać w chwili najciemniejszej jego ślepoty. Zawrót tak nagły byłby tylko nową do błędu podniętą. Samój więc Zuzannie nie chciał nic mówić.

Ale teraz nowe przychodziły trudności.

Stary Dębicz, stojący nad grobem staruszek, nie mógł także wchodzić w rachubę księdza Macieja. Sama wieść mogłaby go zabić. On tak wierzył w szczęście Zuzanny, wierzył, że to szczęście jedynie jego zasługą! a ta wiara utrzymywała go tylko przy życiu. Bez téj wiary rozpadłyby się stare kości jego, jak kości szkieletu, gdy im wiążący je drut odbierzesz. Stary Dębicz nie mógł o niczem wiedzieć.

Miałże więc wprost udać się do męża Zuzanny? Miałże przyjść do tego szczęśliwego i pocziwego człowieka i rzeknąć:

— Oto szczęście twoje jest marną uludą! Żona nie kocha cię, stary człowieku, jój serce przylgnęło do innego! Oto w téj chwili, gdy się nią zachwycasz, oni tam sami... tam złorzeczą tobie, liczą dni twoje, jak długo będziesz im jeszcze zawadzał na tym świecie!...

Miałże to wszystko powiedzieć człowiekowi, którego kochał jak brata, któremu radby nieba przychylił za dobre, pocziwe serce jego i za żywot pełen cnót obywatelskich!

A przecież rozmyśliwszy tę rzecz dokładnie, był to jedyny środek, którym mógł odwrócić daleko większe nieszczęście. Najprzód zdawało mu się, że lepiej będzie przygotować człowieka na cios niechybny, niżeli miałby go trafić w chwili, gdy tenże ani się go spodziewał. Powtóre, ksiądz Maciej sądził, że może ape-

lować do wyrozumiałości majora, który powinien był naprzód przewidzieć możliwą tę katastrofę, gdy z Zuzanną, młodszą o trzy części swego wieku, przystępował do ołtarza. Apelacya ta nie gruntowała się wprawdzie ani na bozkich, ani na ludzkich przepisach, mogła jednak posłużyć do podparcia upadającego pod nieszczęściem człowieka i skłonić go do pobłażania i ratowania z pobłażaniem upadającą.

I ta myśl tak się podobała księdzu Maciejowi, że licząc jeszcze na swoją elokwencyą, był pewny, iż całą sprawę jak najlepiej poprowadzi. A zacierając ręce, słyszał już w duchu radujących się w niebie aniołów, o których napisano, że się cieszą z poprawy grzesznych ludzi.

Nie chciał jednak tak nagle do tego ważnego przystąpić dzieła, jak to był przed tygodniem uczynił. Nie zawadzi jeszcze kilka godzin pomyśleć nad tém, aby mieć potem wszystko pod ręką. Więc przeszedł jeszcze raz w głowie cały możliwy dyalog z nieszczęśliwym mężem i na prędce zanotował sobie cytaty z pisma świętego, jeżeli tego okaże się potrzeba. I żeby już wszystko mieć w porządku, ułożył sobie, o której godzinie wyjdzie z plebanii, któremi drzwiami wejdzie do izdebki majora i na którym krześle usiedzie, aby rozmowy jego nie słyszano w sąsiednim pokoju.

Zreasumowawszy to wszystko jeszcze pokrótce, wyszedł do kościołka, aby na intencyą swego powodzenia w tak trudnej sprawie mszą świętą odprawić.

I tak jakoś pokrzepiony na duchu, powrócił do swojej izdebki, że w dobry skutek ułożonych kroków swoich święcie uwierzył.

Do tego ważnego aktu naznaczył sobie ksiądz

Maciej godzinę poobiednią, między drugą a trzecią. Ale już o pierwszej zaczął się przygotowywać. Wziął nową sutannę i pozapinał ją na wszystkie guziki aż do dołu, bo zdawało mu się, że dla lepszej impresyi powinien wystąpić z pewną uroczystością. Nawet nowy kapelusz zdjął z kołka, a wygładziwszy włos na nim, włożył go dla spróbowania na głowę. Do tabakierki nasypał świeżej tabaczki, i tak już cały ubrany, stanął na środku izdebki, aby jeszcze tę godzinkę przeczekać, a tymczasem jeszcze raz wszystko z góry przemyśleć, gdy się nagle drzwi otworzyły i do pokoju wszedł major.

Nie mógł większego zmartwienia zrobić księdzu Maciejowi pocziwy major, jak to, że w tej chwili przyszedł i cały jego plan do góry nogami wywrócił. Ksiądz Maciej osłupiał, chciał zażyć tabaczki, ale tabakierka wypadła mu z ręki, a wysoko ceniony specyał zmieszał się z prochem. Wszystko się popsło. Najprzód, była to dopiero pierwsza godzina, a potem nie działało się to w białym dworku, w izdebce majora, w szerokiém, zielonym safianem wybitém krześle, jak sobie ułożył ksiądz Maciej.

Ale bądź co bądź, żołnierz na każdym miejscu i o każdym czasie powinien walczyć, gdy tego jest potrzeba, pomyślał sobie ksiądz Maciej, a wezwawszy Boga na pomoc, zdjął z głowy kapelusz, przywitał gościa i usiadł tuż obok niego.

Major był dzisiaj strasznie zmieniony. Twarz miał bladą, licznemi okrytą zmarszczkami, oczy czerwone, nabrzmiałe, jakby płakał; usta zaciśnięte kurczowo, jakby go wewnątrz szarpał jakiś ból utajony. Ubiór jego był zaniedbany; na czarnej, pomiętej cza-

marce były ślady, jakby jęj od wczoraj nie zdjął z siebie. Resztki siwych włosów spadały w nieładzie na kołnierz i żyły się za każdym jego oddechem.

Ksiądz Maciej westchnął i spuścił oczy w ziemię, Widok nieszczęśliwego przyjaciela odbierał mu odwagę i mieszał do reszty i tak bezładne już myśli jego. Czekał na pierwsze słowo majora. Ale gdy major, zamiast coś mówić, wyjął chustkę i do oczu ją przyłożył, jakby łyzi nią ocięrał, ksiądz Maciej poczuł z niemałym przestachem, że i jemu łyzi się puściły i jak groch padały na sutannę. Czém prędzej więc zażył tabaki i otarł oczy, aby ułożonego sobie planu do szcęgę nie popsuć.

Jakoż w tęg chwili podniósł major oczy, a patrząc w twarz księdz Macieja, rzekł do niego:

— Niech cię to nie dziwi, księże Macieju, że stary żołnierz musi dzisiaj łyzi ocięrać. Wielkie bowiem nieszczęście zawisło nad głową moją.

Ksiądz Maciej szybko rozkręcił tabakierkę, wymiół resztki pozostałej tabaczki, a ocięrając oczy,— odparł:

— Bóg Joba zasmucił i Bóg go pocieszył.

Major spojrział zdziwiony na proboszcza.

— To wiesz o wszystkiém, księże Macieju?—zapytał smutno.

Ksiądz kiwnął głową i westchnął.

Długi czas patrzyli obaj na siebie w milczeniu. Ich serca rozmawiały z sobą, jak serca kochanków. Poczém rzekł major:

— Straszne jest to nieszczęście, a dla mnie tęg straszniejsze, że je tak długo znośięm w milczeniu.

— Więc to już dawno!—podchwycił ksiądz Maciej z przestraczem na twarzy.

— Dawno, dawno!—westchnął major — a dzisiaj już nie ma ratunku!

— Nie ma ratunku! bluźnisz człowiecze! Nie rozpaczaj o boskiem miłosierdziu! — krzyknął ksiądz Maciej.

Major potrząsł głową i rzekł smutno:

— Nie, księże Macieju, byłoby to grzeszyć zbyt-
niem zaufaniem w miłosierdzie Boga.

Znowu nastąpiło milczenie; ksiądz Maciej napróz-
no szukał pociechy dla nieszczęśliwego przyjaciela.
Tymczasem przysunął major krzesło swoje bliżej, wziął
go za rękę i zaczął:

— Co się stało, już się odstać nie może. Nie
idzie mi w tej chwili o siebie, bom ja na to zasłużył,
aby mnie Bóg ukarał, ale trzeba od tego ciosu zasłonić
drugich, którzy go bynajmniej nie przewidują, albo
przynajmniej przygotować ich, aby niespodzianie ich
nie zabił!... O, poczeiwy przyjacielu! Gdybyś w tej
chwili widział moje serce, ile tam kolców w nie się
wpiło!...

— Nie, nie, broń Boże! — przerwał z przestra-
chem ksiądz Maciej — Dębicz nie może na teraz nic
o tém wiedzieć...

— I Zuzanna!—dodał major, ocierając łzy z oczu.

— I Zuzanna?—powtórzył z zadziwieniem ksiądz
Maciej.

— Tak jest, i Zuzanna—odparł z determinacją
major.—Ta słaba, anielska istota nie zniosłaby tego
ciosu.

Ksiądz Maciej włożył palce do próżnej tabakier-

ki i koniecznie szukał w niej tabaki. Posunął krzesło w tył i wprzód, odkrząknął kilka razy i w rozpaczliwem jakimś uczuciu wlepił swój wzrok w sztukowaną belkę na powale.

Tymczasem major mówił dalej:

— Otóż przychodzę do ciebie po radę i pociechę. drogi przyjacielu...

— Jaką radę, w czém?—zapytał dosyć obojętnie ksiądz Maciej, patrząc ciągle na sztukowaną belkę w powale.

— Najprzód, abys jako kapłan i przyjaciel przygotował ich do tego ciosu... bo ja nie mam odwagi.

— Do jakiego ciosu?—zapytał znowu ksiądz Maciej z tą samą obojętnością.

— Dziś... jutro... pojutrze tracimy Czarnowody i Radziejewo! — krzyknął major, miotany rozpaczą i niecierpliwością.

Ksiądz Maciej skoczył do góry, jakby go coś ukąsiło, i rzucił się aż pod okno, jakby sztukowana belka nagle upadła na niego.

— Co mówisz, majorze! — zawołał przestraszony — straciłeś głowę i bredzisz!

— Tak jest w samej rzeczy! — odparł smutno major.

Biédny proboszcz zapomniał o swoich siedmdziesięciu latach, a załamawszy ręce, począł biegać po izdebce. W głowie mu szumiało, przed oczyma latało wszystko i kręciło się jak w młynie. Wszystko, co sobie ułożył, pomieszało się, a co się zostało, nie było już do zaaplikowania. Jakiś zły duch popsuł mu szyki, a on był dzisiaj tak pewny zwycięstwa!

— Usiądźże, księże Macieju i wysłuchaj mnie — rzekł major — bo niewiele pozostaje nam czasu.

Ksiądz Maciej postrącał książki z krzesła i usiadł po drugiej stronie majora. Widząc jak pocziwy proboszcz na samą wiadomość głowę stracił i języka w gębie zapomniał, wyciągnął major rękę do niego i ozwał się ze łzami w oczach:

— Moje nieszczęście przygniata cię, kochany bracie... a jam chciał od ciebie rady i pociechy! Jeżeli ty upadasz, któż się z nas ostoi? Cóż się stanie z biednym, wątłym sercem Zuzanny? Ach! ono pęknie z bólu, to serce anielskie, które nas tak kocha!...

— Mów, mów, opowiadaj! — zawołał szybko ksiądz Maciej z rozpaczliwem wejrzeniem na sztukowaną belkę.

Major otarł oczy, spojrzał w koło siebie, czy ich nikt z obcych nie słucha, i zaczął:

— Abyś całe moje nieszczęście zgłębił, kochany bracie, muszę się w opowiadaniu cofnąć o lat kilkanaście. Urodziłem się w szlacheckim, ale ubogim dworcu. Zaledwie pierwszy włos wysypał mi się na twarzy, poszedłem za odgłosem trąby wojennej, która wówczas po całej rozlegała się Europie. Pokochałem ten zawód życia i pokochałem marzenia, które ono w nas budziło. Wiiesz, jak się to wszystko skończyło. Zostałem nagle jak bankrut, któremu firmę z nad progę zdjęto. Ale do mego konia i do mojej baterji już przyrosłem duszą, z niemi nie mogłem się rozstać... Ej! gdybyś ty wiedział, drogi bracie, co to u żołnierza znaczy koń jego, a u artylerzysty jego wypróbowana bateria, która go nigdy nie zawiodła!

Ksiądz Maciej posunął się niecierpliwie na krze-

śle, widząc że żołnierskie wspomnienia majora poczynają go odwozić od właściwej materii. Co spostrzegłszy major, uciał nagle, a po chwili mówił dalej:

— Nie będę cię długo trapił marami mojej przeszłości. Upłynęło wiele czasu, a jam nie rozstał się z moim koniem i z moją baterią. Służyło się wraz z swymi i jakoś to nie źle było człowiekowi. Wreszcie potrzeba było rozstać się z swą baterią, a nawet mundur złożyć. Zapłakałem, pożegnałem się i odszedłem.

Major zamilkł. Snać cisnęła mu się do oka łza, którą jednakże zmusił do odwrotu.

— Na karku było już sporo lat — mówił dalej — w kalécie nie było ani grosza, a żadnego nie umiało się rzemiosła. Poszło się do jednego, drugiego kolegi, przesiedziało się jedną, dwie zimy, ale w końcu jakoś niesmaczne było mi takie życie. Starzy ludzie, co to jaką taką zasługę szanować umieli, pokładli się powoli do grobu, a młode pokolenie zapomniało o trudach starego żołnierza, popychało go łokciami i trącało, jak zwykłego jakiego pieczeniara. Figury, podobnego co i ja kalibru, zeszyły w końcu do tego, że im po dworach szlacheckich kazano marszałkować, w pałacach błaznować i szambelanować, a na każdym kęsie chlęba było napisane: *gratis!* „Ej, mój Boże! — pomyślałem sobie nieraz, patrząc na młokosa, który śpiesząc do swojej, herbami z trzech stron pomalowanej karęty, potracił starego żołnierza, — gdybyś to ty był ze mną pod Berezyną, albo pod Lipskiem, gdzie sam książę Józef przybiegł do mnie...”

Ksiądz Maciej ruszył się znowu na krzesło, a chociaż tego bynajmniej nie uczynił z braku cierpli-

wości, major jednak nie dokończywszy ostatniego zdania, mówił dalej:

— Otóż wtedy pomyślałem sobie: „Nie będę nikomu siedział na karku, chcę sam na chleb pracować“. Ale co to jest brać się do czegoś człowiekowi, który miał już na karku lat czterdzieści i kilka, a do tego przez te wszystkie lata Ignął tylko do jednej myśli i cały w niej się strawił! Ale bądź co bądź, jakkolwiek to trudno mi przychodziło, postanowiłem jednak wytrwać w raz powziętym zamiśle. W Poznańskim zaczęto wtedy więcej myśleć o powiększeniu dochodów z gospodarstwa, bo podatki były wysokie, zastosowane do produkcyi innych ziem pruskich, z którymi nie mogła wytrzymać konkurencyi szlachta polska. Otóż wtedy postawiono mnóstwo gorzelni w Poznańskim; lada szlachcic sprowadzał maszynę i kotły. I pomyślałem sobie: „Schowam krzyż do kieszeni i będę wódkę pędził.“

Ksiądz Maciej westchnął, ale się nie ruszył na krześle.

— Z tą myślą i z wszystkimi memi uczuciami, które jej towarzyszyły, zwierzyłem się staremu Dębiczowi, który siedząc w Czarnowodach jak zakonnik, z całym światem i tylko ze mną rad rozmawiał. Na to obruszył się stary Dębicz i rzekł do mnie: „Grzeszna myśl, majorze, przyszła ci do głowy; uderz się w usta, które potwarz rzuciły na naród. Włosy zbierały ci na usługach obywatelskich, masz krzyż waleczności, a teraz chcesz z tém wszystkiem iść do kotła i warzyć wódkę, która lud nasz w takiej trzyma ciemnocie! Zgrzeszyłeś, majorze, zgrzeszyłeś, za co w wielki tydzień musisz się zapisać do kapników i sro-

dze się biczować! — A ja mu na to: „Wszak lepiej przy kotle stać i coś robić, niżeli cudze kąty wycierać i krzyż hańbić insynuacją, że się jest prostym pieczeniarniem!“ — „Jako, — odparł na to, — czy kraj już nie ma ludzi, którzyby cenili dawne zasługi?“ — A gdy na to ani tak, ani owak odpowiedzieć nie chciałem, patrzył na mnie przez czas niejaki Dębicz, a potem rzekł nagle: „Ożeń się, majorze!“

Ksiądz Maciej skręcił się na krzesło, zawiesił znowu wzrok swój na belce sztukowanej i westchnął.

— „Bój się Boga bracie, — odpowiedziałem pocziwemu Dębiczowi, — a gdzież mnie, stéranemu żołnierzowi i człowiekowi bez fortuny do żeniaczki! A przecież staréj baby, co to blizką już jest metamorfozy w dyabła, jak mówi Mietlica, stary wachmistrz, a dzisiaj mój sługus, nie wezmę dobrowolnie sobie na kark jak psa wściekłego. Nie pragnę bowiem za życia zostać świętym“. — Dębicz rozśmiał się i rzekł: „No, no, jakoś to będzie. Wyszukam ja młodéj żonki dla ciebie, jeżeli ci się koniecznie taka po głowie roi. Mam ja blizką krewnę, gdy podrośnie, zwiążę wam ręce i kwita. Tymczasem zostań u mnie“.

Zdawało się księdzu Maciejowi, że sztukowana belka rozchodzi się i grozi upadkiem. Z taką trwogą patrzył na niego.

— Zrazu myślałem, że stary Dębicz stroi żarty — ciągnął dalej major — a żem sercem do niego przylgnął, więc zostałem, pomagając mu w gospodarstwie. Zuzanna była wtedy jeszcze młodą dziewczyną, bawiła często w Czarnowodach, bo była sierotą. Ach, księżu Macieju, co to za złote dziecko już wtedy był! Bywało, iż po całych dniach siedziała przy starym Dę-

biezu, który jęj czytał kroniki i pismo święte, a tak zawsze miała oczęta wzniesione ku niebu, jakby świętą zostać chciała...

Ksiądz Maciej przetarł oczy, ale ciągle patrzył na powagę.

— Ani mi w myśli nie było, żeby ten aniołeczek miał kiedy zostać moją żoną!... Otóż razu jednego, gdy ukończywszy nauki, przyjechała do Czarnowód, a stary Dębicz na nogi zaniemógł, zawołał mnie do siebie, do tój samėj izdebki, w której dzisiaj mieszka, i rzekł do mnie:— „Tadeuszu, oto twoja żona — bierz ją, Radziejewo i Czarnowody, a ja niech umieram spokojnie!... Łzy puściły mi się z oczu, nie wiedziałem sam, co na to powiedzieć... Wierzaj mi, księżu Macieju, gdyby mi kto był powiedział: „Weź tę redutę“—ani bym drgnął powieką i poszedłbym za rozkazem. Ale patrząc na tego młodego aniołka, na te śliczne oczęta, z których zaledwie dusza na świat wyjrzała, tak mi markotno zrobiło, tak nogi podemną zadygotały, jakby mnie kto tchórzem podszyl!... A ten anioł tak słodko uśmiechnął się do mnie— a gdy, już sam nie wiem jak się to stało, zgiąłem przed nią kolano i w głos się rozpłakałem, Zuzanna przytuliła głowę moję do piersi i z taką czułością w oczy mi zajrzała, żem omal zmysłów nie postradał!...

Major zamilkł. Świeże jeszcze wspomnienia stały mu żywo przed oczy. Twarz jego rozjaśniała się, jakby w tój chwili miał tę całą scenę przed sobą.

Korzystając z tój pauzy ksiądz Maciej, chciał przy wydarzonej sposobności przygotować majora do tego, co z nim miał później do pomówienia. Posunąwszy się więc na krzeselku, rzekł:

— I w samą rzecz straciłeś zmysły, kochany bracie. Bo czyż to rozum był, w twoim wieku brać takiego aniołka, któremu jeszcze skrzydełka nie wyrosły! Zapewne myślałeś, że mu nigdy nie odrosną! O mój bracie, znam ja kobietę z konfesjonału! Każda ma te skrzydełka motyla, choćby je jak najlepiej schowała przed tobą! Dla tego wara od kobiety, gdy z nią trochę po jej niebie polatać nie możesz! A gdy myślisz, że jej wystarczy kuchnia i spiżarnia, że jej wystarczy szacunek dla ciebie, dla cnót twoich, dla przeszłego twego żywota, toś się srogo omylił. Prędzej czy później rozwinie ukryte skrzydełka i furknie od ciebie, a wtedy patrząc za nią, możesz machać jak strus skrzydłami, ale nie polecisz!... Otóż grzeszy ten, kto wiedzie ludzi na pokuszenie, przyznając im takie doskonałości, które tylko anieli i święci w niebie posiadać mogą!

Gdy to rzekł, lżej się zrobiło księdzu Maciejowi na sercu, bo „intra parenthesis“ przygotował już majora do tego, co później nastąpić miało. Ale na nie szczęście jego major mało co z tego słyszał, a jeszcze mniej zrozumiał. Zajęty wspomnieniem ubiegłego szczęścia swego, patrzył przed siebie, jakby proboszcza wcale nie słuchał.

Musiał jednak coś z tego zachwycić, bo westchnąwszy głęboko, mówił dalej:

— I ja tak zrazu myślałem, kochany bracie, ale wkrótce musiałem uwierzyć w szczęście moje. Zuzia tak mnie wszędzie oczyma szukała i z taką rozkoszą patrzyła na mnie, gdym jej opowiadał moje przygody wojenne—oczy miała pełne łez, gdym w opowiadaniu przyszedł na jakie niebezpieczeństwo... Słowem, ko-

chała mnie.... i jak to sama tobie wyznała, gdyś nam ręce stulą wiązał, tak i do dziś dnia została wierną przysiędze...

Książd Maciej włożył palce do próżnej tabakierki i szukał znowu oczyma sztukowanej belki na powale.

— Po ślubie zawołał mnie Dębicz do swojej izdebki i rzekł do mnie: „Dałem ci Zuzienkę, daję ci Radziejewo i Czarnowody. Nie jest to wielki, ale ładny, okrągły mająteczek. Ale słuchaj dobrze, co ci teraz powiem. Dzisiejszy świat idzie nowemi drogami. Może źle idzie, a może ja go nie rozumiem. Są ludzie, którzy wierzą, że doktryny i idee zbawiają narody. Może jest to i prawda, ale dla prawdy dalekiej nie trzeba nigdy zaniedbać najbliższej. Oto z każdym rokiem jest nas mniej w Poznańskim. Szlachta nasza traci jeden zagon po drugim ziemi ojczystej, której granice znaczyli orężem nasze Bolesławy. Z każdym rokiem garstka ludu polskiego traci dziedzicznego od wieków opiekuna, przechodzi w ręce obce, porzuca wiarę oraz język i obumięra dla narodu. Już kilka plemion słowiańskich znikło dzisiaj z karty, a dzisiaj już znikają imiona naszych miast i wiosek, nasze dworki i grobowce ojców naszych zamieniają się na stajnie i fabryki! My tutaj stoimy jakby na przedniej straży ziemi sławiańskiej, mamyż haniebnie opuścić nasze stanowisko, mamyż zbiedz z ziemi, którą kochamy jak matkę naszą! Tadeuszu! Radziejewo i Czarnowody są to jak pierwsze czaty ziemi naszej. Gdy byłeś żołnierzem, nie wzięto ci żadnej reduty. Dziś w Poznańskim każda wieś nasza, każdy majątek szlachecki, to reduta. Bądź więc dobrym gospodarzem, jak dobrym

byłeś żołnierzem. Niech ja mam pokój, niech mnie ta myśl nie trapi, że w ziemi Dębiczów osiedzie kiedyś jaki kolonista. Ale zważ oraz, że jeżeli lekkomyślność jaka to gniazdo Dębiczów odda w ręce obce, a ja jeszcze przy życiu będę, wtedy wniknę do grobowca ojców moich i tam z nimi w ich ciemnych komnatach mieszkać będę, póki mnie między trumny swoje nie przyjmą! I oto przysięgam w obec nich wszystkich wiszących tutaj na ścianach, że słowa mego nigdy nie cofnę!“

Major zamilkł i załamał ręce, a ksiądz Maciej schylił się do ziemi i zebrał z niej prędko szczyptę tabaki.

— I cóż się stało, cóż się dalej stało? — zapytał z wielką niecierpliwością.

— Wejrzawszy w rachunki, okazało się, że nie dosyć warowna była ta nieszczęsna reduta. Były dawne długie i legata, kasa wdów miała kilkanaście tysięcy zanotowane, a z Klugiem, później z Lewinem, nie można było dojść do końca. Procenta zaległy, w polu nie było czem robić. Z każdym dniem przychodziły do mnie różne pretensye, bo poczciwy Dębicz rad był wszystkim. Ale Dębiczowi nic o tem nie mówiłem. Zakasałem ręce i pomyślałem sobie: Bóg da, jakoś to będzie, na co mu koniec życia kwasić. Oboje kochaliśmy naszego dobrodzieja, który wśród nas jakby odżył. Miał on już za młodu pasyą składania wierszy. Otóż uspokoiwszy się, zamknął się w swej izdebce, otoczył się pamiątkami ojczystymi, rozłożył książki i postanowił sobie opisać wiérsem żywot i rządy króla Stefana Batorego, dla którego miał szczególną predylekcyą. Ach, kochany bracie, było go widzieć, jak szczęśliwym on się czuł w tej lichéj izdebce swojej, jak

nas usilnie zaklinał, abyśmy życiem naszym nie mącili mu tego drogiego pokoju duszy, który zawitał do niego na schyłku życia!

— Patrzyłem i ja na to i widziałem — wtrącił ksiądz Maciej.

— Otóż z dworku szlacheckiego zrobiliśmy klasztor, zakazaliśmy niepotrzebnym ludziom wchodzić do niego, strześliśmy go dniem i nocą, aby mu tego pokoju duszy nie mącić, w którym tak rozkoszował się biedny staruszek. Zresztą znasz nasze całe życie domowe; jeden dzień drugiemu podobny. Ale ja nie miałem wcale tego pokoju. Zaraz pierwszego roku potrzeba było coś spłacić, coś oddać — zaufałem pięknej oziminie, pożyczyło się na lichwę. Grad wybił plon, słońce wypaliło. Odłożyłem nadzieje na rok przyszły i znowu coś się pożyczyło. W polu wymokło, wody wylały. I tak z roku na rok, z dżdżu pod rynną brnął człowiek coraz dalej, ręka boża ciążyła nad nami; lichwa pożerała cały nasz zarobek, aż wreszcie przerosła nas całych. Ach, księżo Macieju, ty nie wiesz, co to lichwa! To hydra, która zacząwszy od małego palca, w oka mgnieniu owinie cię całego, że się nie spostrzeżesz, i nie spocznie, póki ci serca nie wydrzel...

Ksiądz Maciej spojrział po ubogich ścianach swojej plebanii i westchnął. Starowina nie miał żadnego majątku, aby przyjacielowi dopomóc.

— Miałem daremném utyskiwaniem zamącać staruszkowi pokój duszy, o który nas tak błagał? Nie, nie miałem odwagi. Zresztą jakieś dziwne nadzieje, których dzisiaj sam się wstydzę, wstrzymywały mnie od dnia do dnia, od roku do roku, zdawało mi się, że ko-

niecznie coś nadzwyczajnego stać się musi, co nas wyratuje; a to moje przekonanie było tak silne, że każdego dnia, biorąc gazetę do ręki, spodziewałem się coś wyczytać. A nawet widzę teraz, że człowiek w nie-szczęściu, gdy mu już ziemia z pod nóg się usuwa, może się stać poganinem i heretykiem. Wierzy w siły nad-naturalne i wyczekuje cudu!

Major westchnął i potarł ręką po czole, jakby chciał się ochronić od nowych marzeń, które rojami latały w koło jego głowy. Ksiądz Maciej coraz smutniej patrzył w ziemię. Przeczuwał, że jego powołanie stanie mu się nader trudnym.

— I tak ośm lat przeżyłem w tej wierze, a przez te lata ciągle nawiedzał nas Bóg zagniewany. Były już pozwy i egzekucye, banki wypowiedziały sumy swoje, lichwiarze cisnęli się zewsząd do dworku, ale jakoś wszystko uśmierzałem dotąd, chociaż drogo kosztowała mnie każda taka przewłoka. Dopóki miałem do czynienia z kilkoma kredytorami, jeszcze to szło jakoś — pojedynczo ucierałem się z nimi. Ale teraz wszystkie te sumy nabył Warner, a mając w bankach różne wpływy, wyrobił subhastę, o której mnie właśnie dzisiaj zawiadomiono! Nie ma ratunku! Bóg wyso-ko, a ludzie—ludzie dzisiaj daleko!

Po raz pierwszy w życiu wyrzucał sobie ksiądz Maciej swoją szczodroblivość. Przez lat pięćdziesiąt służby bożej mógłby był sobie jaki taki mająteczek uciulać, ale on wiedział, że stoi napisano: „Nie troszczcie się o jutro, albowiem samo jutro o was starać się będzie.“ I rozdawał swój grosz zbyt ni każdemu, kto rękę wyciągnął, a nawet często wiedział, że daje człowiekowi niegodnemu. Bez tej jego jałmużny byłby

się nie jeden obszedł, a on składając grosz do grosza, mógłby dzisiaj wybawić od rozpaczny ten dworek biały, w którym tyle szczęśliwych dni przesiedział! Ale dzisiaj pustki i chudota u starego plebana. Zaledwie gdzieś tam w skrzynce tyle leży, ile na trumnę i pogrzeb potrzeba!... Ksiądz Maciej zakręcał i odkręcał tabakierkę, żalując dobrych swoich uczynków, które uczyniły go ubogim!

Wkrótce jednak inaczej zaświtało mu w głowie. Przypomniawszy sobie słowa starego Dębicza, który mówił, że ręka Boga uderza często w dom, którego mieszkańcy znikczemnieli na duchu. W tém grożącym nieszczęściu widział on prawicę zagniewanego Boga. I znowu przypomniawszy sobie proste słowa starego ekonomy, który był tego zdania, że za przewinienia pojedynczego człowieka może Bóg wszystkich karać. A gdy mu na myśl przyszły ruiny klasztoru bożogrobców, ów jeździec czarny i owa łódka biała, ksiądz Maciej westchnął ciężko, jak człowiek, który nagle w niemoc zapada, bo jużciż nie mocen jest człowiek sprzeciwiać się sądom Boga sprawiedliwego!

Chcąc jednak swemu powołaniu zadość uczynić, ozwał się po dłuższej chwili milczenia:

— Bóg wielki i niedocieczony jest w sądach swoich! Człowiek to garść prochu, rozsypie się, a nie znajdziesz go, gdzie się podział. Ale dusza jego uleci przed tron Boga, a On weźmie ją na łono swoje, gdy będzie czysta i biała jako szata niewinności.

Ksiądz Maciej zatrzymał się, patrząc na twarz majora. A gdy na niej prócz niezaspokojonej ciekawości nic więcej nie wyczytał, pogniewał się w duchu na siebie, że przy wszelkiej swojej elokwencji jakoś

za górno, czy raczêj za ciemno rzecz rozpoczął. Poprawiwszy się więc, mówił dalej:

— Jeżeli nieszczęścia na nas spadną, jeżeli dom nasz ziemski wali się nad nami, to trzeba przynajmniej na to baczyć, aby dusza nasza wydobyła się czysta i biała z pod gruzów i rumowiska.

I teraz nie był jeszcze kontent z siebie ksiądz Maciej. Major bowiem ciekawie patrzył na niego i niczego się nie domyślał. Posunąwszy więc krzesło, rzekł jasno i dobitnie:

— Stary Dębicz ma czystą duszę. Jest to biała, stęskniona za niebem gołębica. Ale czy Zuzanna...

Ksiądz Maciej wstrzymał oddech i ścisnął tabakierkę, jakby ją chciał zgnieść na miazgę. Major uśmiechnął się z wyrazem wewnętrznego bólu na twarzy, a biorąc proboszcza za rękę, rzekł:

— Wiem, co chcesz powiedzieć, kochany bracie. Obawiasz się, aby to nieszczęście Zuzanny nie złamało. Ale ten słaby anioleczek ma w sobie serce bohatera, jakie tylko mieć może nasza kobieta. Posłuchaj mnie.

Biędny ksiądz zacinał usta, aby mu z bólu i utrapienia nie wymknęło się jakie słowo przedwczesne. Czempredzêj szukał znowu sztukowanej belki na powale.

Tymczasem mówił major:

— Zuzanna także o niczém nie wiedziała, bo pokój jêj serca był mi równieŹ drogi jak staruszka. Zresztą ta sama wiara, z którą nadzieje moje z dnia na dzień, z roku do roku odkładałem, zamykała mi usta i przed Zuzanną, która była tak szczęśliwa! I jakże miałem odjąć jêj to szczęście!... Ale wreszcie spo-

strzegłem, że jakiś smutek zaczyna kołatać do jęj serca. Często widziałem ją niespokojną; zatrudnienia domowe już jęj nie bawiły, zaniedbywała wszystkich rozrywek swoich. Tylko więcęj nabożną się stała i więcęj jałmużny rozdawała między biędných. W końcu i to ustało... widocznie wszystko ją nudziło.

Ksiądz Macięj posunął nogami po podłodze, jakby chciał wstać z krzesła. Namyslił się jednak inaczej i rozkręcił próżną tabakierkę.

— Wtedy to przyjechali margrabstwo do Dąbczyna, a Zuzanna poczęła często bywać u margrabinę, która ją wielce pokochała. I zapewnie tam od kogoś mnsiała dowiedzieć się o grożącém nam nieszczęściu. Ztąd więc pochodził jęj smutek i niepokój.

Ksiądz Macięj obrócił się nagle do majora i już usta otworzył, aby coś powiedzieć, gdy w jego oczach spostrzegł dwie łzy, ukryte pod białą rzęsą. I prędko uciekł z oczyma na powalę, do swojęj sztukowanęj belki.

— I coraz więcęj pogorszał się stan jęj duszy— mówił dalej major — widocznie poczęła wędnać jak kwiatek złamany. Zmieniła się do niepoznania. Płakała często bez żadnęj widocznej przyczyny; czasami dręczyła ją jakaś nieodgadnięta niecierpliwość, nikt jęj nie mógł dogodzić, coraz mniej była rozmowną, szukała samotności i nieraz widziałem ją siedzącą po całych dniach w altance nad brzegiem stawu i osłupiałym wzrokiem wpatrującą się w wody jeziora, lub ruiny rozwalonego klasztoru.

Już duszno było księdzu Maciejowi, ale zacisnął usta i nic nie powiedział.

— Wtedy pomyślałem sobie: Zuzanna już wię

o wszystkim i trapi się biedna. Ale przecież ma ładne serce; ani mnie, ani Dębiczowi nie o tém nie mówi. Tém nieznośniejsze jednak było moje położenie. Patrząc na tego usychającego z każdym dniem anioła, na tego niewinnie cierpiącego baranka, który i ust do skargi nie otworzy, i myśląc sobie, że kiedyś go nie-szczęśliwą wieścią zabiję, zdawało mi się, że cierpię już za życia katusze piekła, na które słusznie zasłużyłem.

Ksiądz Maciej zbladł na twarzy, ale usta miał ściśnięte.

— I wyobraź sobie, drogi bracie, moje pociechę, gdy wczoraj nagle zmieniła się Zuzanna. Radość i wesołość wróciły do jój duszy, rumieniec okrasił jój twarz. Stała się napowrót moim aniołkiem wesołym, wszędzie jój pełno... wszystko ją bawi i zajmuje! A wiesz, księżu Macieju, zkad jój ta wesołość?

Biędny kapłan przygryzł usta, dwie łzy stanęły mu w oczach.

— Oto spostrzegła moję okropną boleść i zapewne dowiedziała się o subhaście. A chcąc ulżyć mi w boleści mojej, aby ten srogi cios mnie nie zabił, stała się wesołą, aby mnie upadającego na duchu podnieść przykładem swego mężstwa! I nigdy jój miłość ku mnie nie była gorętszą jak teraz, gdy wszyscy w przepaść upaść mamy!... Księżu Macieju, ta kobieta jest dla mnie od Boga stworzona, abym w nieszczęściu mojem nie stał się samobójcą! Gdybym dzisiaj nie miał jój miłości, gdybym nie miał tego anielskiego serca na tym świecie, które ostatek skłopotanych dui moich jeszcze rozgrzewa, jabym już dawno żyć przestał!

Ksiądz Maciej szybko wstał z krzesła, a wzniosłszy oczy do nieba, rzekł w duchu do Boga:

— Nie, nie... jabym go zabił!

Kilka łez zbiegło po bladłej twarzy kapłana.

— I czegoż chcesz, bracie, odemnie? — zapytał majora.

— Abyś dziś wieczorem przyszedł i Dębicza na to przygotował. O Zuzannę jestem już spokojny.

— Wolałbym przyjść na wasz pogrzeb! — zawołał w bólesci ksiądz Maciej.

Nad dworkiem w Czarnowodach było tak czyste niebo, jakby szczęśliwym jego mieszkańcom najmniej nie groziło niebezpieczeństwo. Powietrze, które rankami już jesienią trąciło, ogrzało się koło południa i było ciepłe jakby śród lata. Stary Dębicz kazał się wytoczyć na ganek i postawić przed sobą stoliczek z książkami.

Kilka razy zapędzał się do książek, brał do ręki to pióro, to ołówek, ale książka, pióro i ołówek wypadały mu z rąk, a wszystkie lepsze rytmy i końcówki tak się gdzieś pochowały, że i trzech wiérszy skleić nie mógł. Nie gniwał się jednak staruszek, że mu dzisiaj ani literatura, ani poezya w ład nie idą. Jakieś przyjemne uczucie rozjaśniało jego twarz sędziwą; uśmiechał się do siebie z najzupełniejszém zadowoleniem.

— I jakże to nie czuć rozkoszy na widok téj przecudnej natury! Jakże to oderwać oczy od tego przeźroczyściego szafiru, od tych lip i kasztanów, już gdzie niegdzie malowniczo poźółkłych, od tego daleko

rozciągającego się błonia, które tam gdzieś na końcu widnokregu przecina błękitny rąbek jeziora! A tam znowu, z gałęzi na gałąź skaczą wesole ptaszęta i szczebioczą staremu jakieś powieści z tysiąca i jednej nocy. Oto żółto brzusek rozparł się szeroko jak bankier i trzęsąc złotym trzosem, z pogardą patrzy na pośmiecieszka, który niby „drobny negocyant“, wala się po śmieciu, zbierając skrzętnie ziarnko do ziarnka. A tam wróbel grubopłaski, prawdziwy typ mieszczański, podskakuje z arogancją dorobkiewicza i ćwierka na wszystkie cztery części świata, aby go słyszano i widziano. Z klombu odzywa się gil, czerwony jak generał, i od czasu do czasu daje hałastrze jakieś bardzo ważne sygnały, ale hałastrza nie słucha go wcale, jak to zazwyczaj korpus ochotników.

Na to wszystko patrzył stary Dębicz i uśmiechał się, jakby rozumiał ich swary i dasy. Po chwili, jakby sobie coś przypomniał, wziął mały kalendarzyk, który miał zawsze pod ręką, aby się dowiedzieć, który to święty Pański udarował go dniem tak przyjemnym. Później zadzwonił na służącego i kazał mu Zuzannę zaprosić do siebie.

Wkrótce nadeszła Zuzanna. Była wesola jak wczoraj, ten sam rumieniec szczęścia krasił jej piękne lica... Przyszła z kwiatkiem w ręku, któremu połowę liści już oskubała w jakiejś sekretnej intencji.

— Zuzieńko moja! — zawołał staruszek z nieukontentowaniem na twarzy — czy ci serce twoje nic nie mówi?

— Serce moje? — zapytała zdziwiona Zuzanna.

— Wszak kochasz Tadeusza? — mówił dalej stary Dębicz z tą samą zmarszczką na czole.

Zuzanna zarumieniła się lekko i spuściła w ziemię oczy.

Ale po chwili podniosła głowę i śmiałym odrzekła głosem:

— Kocham, drogi dziaduniu!

— A widzisz, że go za mało kochasz, jeżeli dzisiaj nic nie przeczuwasz! Ja stary, a przecież nie omyliło mnie przecucie.

Zuzanna zmieszała się. Dębicz mówił dalej:

— Jakoś mi duszno było dzisiaj w mojej izdebce. Kazałem się wytoczyć na ganek. Ale i tutaj ani czytać, ani pisać nie mogłem. Lekko mi na sercu, a w duszy czuję taką pogodę, jakbym odmłodził. Ciekawy więc byłem, do którego świętego dzień dzisiejszy należy. I wiiesz, moje dziecko, czego dowiedziałem się w kalendarzu?... Ej, Zuzienko! zapominasz o tych kilku dniach w roku, które dawnym obyczajem były zawsze wielką uroczystością w kole rodziny!

— Już wiem, wiem!—zawołała Zuzanna z dziecięcą wesołością, klaszcząc w dłonie — a nawet zaraz dziadunia przekonam.

Pobiegła do swego pokoju i wnet powróciła z śliczną czworograniastą czapeczką. Major był amatorem podobnych czapeczek.

— Widzisz, kochany dziaduniu! Tu jest wieniec niezabudek, a te trzy kolory najlepiej lubi Tadeusz, chociaż są trochę za jaskrawe.

— Wszystko dobrze i ładnie, moje dziecko, ale dla czegoż zapomniałaś?

— Omyliłam się tylko o dwa dni.

— Mietlica lepiej pamiętał o swoim panu. Dzisiaj kończy roboty w polu i gotuje się na wieczór

z wieńcami zboża i oracyą. Trzeba ludziom sprawić dożynki. I tak zdaje mi się, że może to w mojem życiu będą ostatnie.

Cień smutku przebiegł po twarzy staruszka. Portret kobiety w zakonnym stroju mignął mu przed oczyma. Ale wkrótce rozjaśnił znowu twarz i rzekł do zasnuconej Zuzanny:

— Nie smuć się, moje dziecię, bo ja dzisiaj smutnym być nie mogę. Pan Bóg na schyłku życia rad słudze swemu, daje mu dzisiaj pogodny dzień życia. Ja chcę dzisiaj być wesołym... i wy bądźcie weseli.

Zuzanna ucałowała rękę staruszka, dziękując mu za tak dobrą myśl zrobienia dzisiaj Tadeuszowi miłej niespodzianki. A korzystając z nieobecności majora, wzięto się zaraz do narad nad tą improwizowaną uroczystością.

Uradzono więc gromadzie sute sprawić dożynki, do których dodano obchód urodzin majora. Kuchnię oddano natychmiast pod zarząd kucharki, a stary kucharz musiał na prędkę wykoncypować okazały transparent, który miano potem nagle rzęsiście oświecić.

Stary kucharz był kuchnikiem, gdy malowano kościół w Czarnowodach. Mając więc wiele zbytniego czasu, przypatrywał się malarzom, a że był chłopiec sprytny, toż zachwycił coś z tego kunsztu, którego dowody składał na każdym torcie, który z jego pieca wychodził.

Zawołany teraz do narady, narzekał na czas tak krótki i dzień jeszcze krótszy; a szukając między różnemi swemi konceptami, zdecydował się wreszcie na ariola z trąbą, za którego sumiennie mógł zaręczyć, że z wszystkich jego konceptów najlepiej mu się udaje.

Panna służąca miała uwić festony, a dodane jój w sukurs baby utyskiwały, że ogrodzie nie ma już piwonii, która tak pięknym i okazałym jest kwiatem. Starego Wojciecha chciano wyprawić po proch do Dąbczyna, ale ten po długich ceregelach wyznał wreszcie pod sekretem, że Mietlica sam o to ma się postarać i w tym celu zniósł się już z Paliwodą. Paliwoda bowiem, według jego zdania, najlepiej umiał się obchodzić z bronią palną, jak tego dowiódł zeszłej wielkanocy, gdy wystrzeliwszy kowalowi z pomiędzy nóg połowę płaszcza, ani jedną mu kostki nie naruszył.

Kiedy już wszystkie role należycie rozdane były, pobiegła Zuzanna do spiżarni, aby się z swemi zasobami obliczyć. Staruszek tymczasem siedział na ganku i tak był jakoś wesół z swego konceptu, tak się uśmiechał do szczebiocących przed nim ptasząt, że nawet wróble śmiélój do niego się zbliżały i jak drobne wnuczeta szukały w rękach jego ukrytych bakalijs. A Dębicz droczył się z niemi, pokazując im figi i rzucając na nie galkami z papieru, przez co tak powszechne wywołał nieukontentowanie, że dwa najokazalsze wzrostem wróble, usiadłszy na bzie, wyrecytowały mu długą perorę.

Tymczasem mijała godzina po godzinie, a w dworcu na pozór było cicho i głucho. Stary kucharz siedział w oficynie zamknięty na trzy klucze, przed ogromną, z papieru wyklejoną tablicą, z pędzlem w rękę, i jak święty Łukasz medytował nad nosem anioła, który mu coś strasznie był podobny do nosa starego Wojciecha, zaglądającego ciekawie przez szyby do jego pracowni. Panna służąca w największym sekrecie wiała prześliczne festony i z największą pasją prosto-

wała opowiadania staréj klucznicy, która mniemała, że się to dzieje dla starego Dębicza. I tak niebawem cały dwór i cała gromada wiedziała o téj tajemnicy, jednak każdy kładł palce na usta, chcąc przez to okazać, że tajemnicy powierzonéj nie zdradził. Czeladź dworska ze zbytniej radości poodchodziła od roboty, a korzystając z powszechnego niedozoru, poszła milczkiem do karczmy, aby sobie fantazyi przysporzyć. Nawet jednooki koń, woziwoda, wyprzągł się sam z nieodstępного wózka i najprostszą drogą poszedł w ogród warzywny, dokąd nęciły go od dawna zielone głowy kapusty.

I tak radość powszechna i oczekiwanie rozprężyły wszystko we dworze, a patrząc po tych twarzach milczących, trudno było zgadnąć, na co się tam zanośsi: czy na wesele, czy na pogrzeb?

Wróciwszy od księdza Macieja, spostrzegł major, że coś we dworze się zmieniło. Nieład jakiś i rozprężenie było widoczne. Twarze, które na dziedzińcu zdybał, dziwnie na niego patrzyły, a gdy przeszedł, szeptano sobie do uszu jakieś wieści ciekawe. Z kapusty chciał spędzić ślepego woziwodę, ale woziwoda był dzisiaj tak butny, że tyłem obrócił się do niego, a nawet miał szczere chęci wierzgnąć na swego chlebowodawcę, gdyby stare jego nogi temu się nie sprzeciwiły.

Zdawało się biędnemu majorowi, że już wszyscy odwracają się od niego, że niepamiętni na jego dobrodziejstwa, jak ten ślepy woziwoda, którego dziesięć lat własną żywił ręką, stronią od człowieka, który wkrótce przestanie być ich panem! A gdy do tego ulubiona Dyanka w sieni na niego się rzuciła, a stary Dębicz,

siedzący na ganku, udał za jego zbliżeniem się, że śpi i ani słowa mu nie odpowiedział, strapiony major wpadł ze łzami do pokoju żony i z takim szaleństwem całował jej ręce, z takim gorączkowym uczuciem cisnął ją do swego serca, że Zuzanna w objęciach jego nagle posmutniała i spazmatycznie płakać zaczęła.

— To jedno serce kocha mnie w nieszczęściu mojem!—pomyślał sobie biedny major.

III.

Dniem przedtém w kamienicy o śmiejących się karyatydach wcale inna panowała atmosfera. Stary Warner, ubrany w granatowy frak, ze świecącymi guzikami, krzątał się od rana, aż mu pot na czoło występował. Całe piętro ozdobione świeżemi ko-biercami, zapowiadało jakąś niezwykłą uroczystość. Suto galonowana służba uwijała się około rozstawionych mebli, a na ulicy przed bramą rozlegał się nieustannie turkot zajeżdżających ekwipaży. Kantor był dzisiaj zamknięty na siedm zamków, bankier wypoczywał dzisiaj i używał. „Drobnii negocyanci“ stali od samego rana przed dobrze znaném im oknem, ale napróżno, za kratą nie pojawiła się żadna dobroczynna ręka, któraby im podała droższe od ewangelii cyfry. Smutni rozeszli się, że dzień dzisiejszy był dla nich stracony!

Tymczasem po całym mieście rozchodziła się wieść o téj nadzwyczajnej uroczystości w domu o śmiejących się karyatydach. Wielki Michel, stróż domowy, przebrany za okazałego portyera, z olbrzymią szarfą na ramieniu, był już od świtu mocno czerwony na

twarży i z nadzwyczajną grzecznością opowiadał zgromadzonej między kolumnami gawiedzi, że pan jego wyprawia dzisiaj córce wesele, jakiego jeszcze świat nie widział. Mówił o milionach posagu, o złotych karetach i ogromnych dobrach, które dla niej kupił gdzieś tam w polskiej ziemi. Dzisiejszy numer „Thalii“ przyniósł w „inseratach“ dosyć obszerny poemat na cześć nowożeńców, którego inicjały złożone tworzyły słowa: „Matylda i Walter„. O autorstwo tego wiersza podejrzewano bladego „dysponenta“ z kantoru „Goliat et Compagnie“; a z saméj sentymentalnéj poëzyi, w której poeta z płaczliwą miną cieszy się szczęściem Matyldy, wnoszono powszechnie, że blady „dysponent“, z po za czarnych półek swego stolika, musiał wzdychać do pięknej córki swego pryncypała i tém wylaniem się elegijném swoje serce od przepełnienia salwował.

Igdy tak różne wieści po ulicy samopas biegały, na pierwszym pięttrze kamienicy o śmiejących się karyatydach było już liczne zgromadzenie, były mowy i toasty, gwar i krzyk, nieodstępne żaby przy kwileniach słowików.

Matylda i Walter siedzieli obok siebie. Oboje młodzi, oboje piękni. Matylda miała suknię z ciężkiej, białej mory, miała bogaty, brylantami wysadzany naszyjnik, ciężkie, szczeró-złote manele. Ale co dla bladego „dysponenta“ było dzisiaj najnieznośniejsze—Matylda miała najpiękniejsze dołki w różowych swoich policzkach, miała uśmiech zachwycający i tak prześliczne oczy, jakich nigdy jeszcze u niej nie widział biedny „dysponent.“ Walter był skromnie ubrany. Nie miał na sobie nic świecącego, prócz świecących mocno oczu, które także niepodobały się dzisiaj autorowi madrygału w inseratach „Thalii“.

Zgromadzenie składało się po największej części ze znajomych już nam znakomitości, które zaszczycały dom o śmiejących się karyatydach wysoką swoją przyjaźnią. Ten sam intendent ewangelicki, który wtedy tyle racjonalnych powiedział rzeczy, związał dziś ręce dwojga szczęśliwych ludzi. Miał przy téj sposobności szérką do nich przemowę, a że w téj przemowie, wyrecytowanój w obec licznój publiczności, mógł tylko mówić ze stanowiska czysto ludzkiego, podjął więc teraz ten przedmiot jeszcze raz na nowo, aby w mniejszem kółku rozszérzyć go i uzupełnić.

Dowiedziawszy się, że nowożeńcom wyznaczył ojciec majątek gdzieś tam w polskiej ziemi, pomiędzy papistami, począł szérko mówić o ich powołaniu; przyrównał ich do dwóch błędnych owieczek, które idą między wilki — to znowu do gwiazd bliźniaczych, które świecić mają na horyzoncie ciemnoty i przesądów. I za obowiązek położył im, aby oczyszczone, racjonalne prawdy rozszérzali, aby wybierając się z kraju, wzięli z sobą kadry przyszłego, nowego społeczeństwa, to jest: sługi, oficyalistów i nauczycieli do szkółki, za pomocą których zorganizuje się nowe ogniwo ludzkości i do wielkiej przyłączy się ojczyzny.

I nim skończyć zdołał, powstał jeden z emerytowanych profesorów ze swoją „absolutną ideą“, która według niego poprowadzi nowożeńców na wschód, aby dać o sobie świadectwo. Matylde i Waltera nazwał dziećmi téj idei absolutnój, która ich bierze pod swoje skrzydła opiekuńcze.

Drugi emeryt znowu mu się sprzeciwił, jak pierwszym razem, pytając się, dla czego ta idea absolutna nie prowadzi dzieci swoich do Alzacyi, którą tak bez-

czelnie więli Francuzi, a która przecież nie jest ziemią francuzką. Przerwał mu ten spór były radca marynarki, przyrównyując nowożeńców do błękitnej fali morza, która coraz więcej wciska się w ziemie wschodu, aby tam kiedyś nowe utworzyć morze, a przynajmniej jaką spokojną i zaciszną odnogę.

Malutki, z ogoloną twarzą ekonomista, nie dał dokończyć byłemu radcy marynarki, nazywając jego słowa zbyt poetycznemi, nierealnemi. Nie widział on w młodej parze, idącej na wschód, nic więcej, jak nową filią wielkiego, przemysłowego warsztatu narodowego, która ma obowiązek stanowić u obcych jego agencją. Jój zadaniem ma być, aby surowe produkta od miejscowych mieszkańców jak najtaniej nabyć, a w zamian przemysł narodowy jak najdrożej sprzedać.

Gdy na to pan Tamimischel, w długiej weście o zielonych kwiateczkach, na całe gardło się roześmiał i dowodzić zaczął, że *slavus* tyle znaczy, co *sclavus*, podochocony już nieco gospodarz powstał z miejsca i zawołał:

— Panowie! Mufke, mój najwierniejszy służący, śmieje się ot tam. O zakład idę, moi panowie, że się z was śmieje. Bo też prawdę powiedziawszy, wasza uczona paplanina i trzech groszy nie warta. Jeden mówi o jakichś gwiazdach bliźniętach, które jak um i rozum idą na wschód, drugiemu morze po głowie hula, a co kochany mój przyjaciel pan Tamimischel mówił, tego już nawet nie dosłyszałem, albo prawdę mówiąc, nie zrozumiałem. Ja jestem sobie prosty negocyant i nic więcej. A ja swoim rozumem inaczej to wszystko widzę. Matyldzie i Walterowi daję Czarnowody i Radziejewo, a Dąbczyn będzie dla Ottona. To

wszystko kupię dla nich i dla tego oni tam pójdą. Nie zaprowadzi ich tam ani wasza „idea absolutna“, ani ów straszny przez Gervinusa okrzyczany „popęd na wschód“, ta epidemia dzisiejszych czasów, ani żaden inny wasz wymysł mózgowy, tylko prowadzą ich tam *moje pieniądze: moje pieniądze!*

A wychyliwszy dla lepszej fantazyi szklanekę wina, które mu od razu w twarz poszło, mówił dalej:

— Wam się zdaje, że Szyller i Göthe et Compagnie, że ta niepoczesna bazgranina, którą literaturą zowiecie, podbija obce narody. Wszystko przypisujecie sobie, a to tymczasem jest fałsz wierutny. U was pieniędzy negocyanta, który co roku przymnaża państwu ziemi, nic nie znaczy. A przecież nasza to zaśluga, żeśmy połowę księztwa Poznańskiego zakupili i do naszej wcielili ojczyzny! Niegdyś nasi monarchowie używali zawsze przydomku „Augustus“, co tłómaczyli na język ojczysty słowem: „mnożyciel państwa“, jak mi to raz przy lampce wina pan Tamimischel powiedział. I dla tego obowiązkiem było każdego, przymnażać państwa, bądź to kupnem, bądź wojennym zaborem. Dziś wojennych zaborów nie ma, a monarchowie nie kupują. Obowiązek więc pojedynczego przeszedł na poddanych. Otóż poddani są dzisiaj mnożycielami państwa, zakupując coraz więcej ziemi sąsiedzkiej... Učení nasi już dosyć sobie namozolili głowy nad tém, jakimby to sposobem dla zaokrąglenia państwa ten kawał ziemi poznańskiej sobie przyswoić. A przecież prosty na to jest sposób. Oto wywłaszczyć szlachtę polską i rzecz skończona. Gdy oficerów nie stanie, z szeregowymi łatwa sprawa. A któż to dzisiaj praktykuje ten jedyny, praktyczny sposób po-

mnażania państwa, jeżeli nie my? Każdy z nas jest ów „Augustus“; nam należy się ta wielka zasługa rozszerzania granic państwa, bo bez naszych pieniędzy ani wasza idea, ani wasz „pęd“ na nic by się nie zdały! Otóż tedy powiadam wam, moje dzieci, Matylde i Walterze, wy idziecie tam na wschód nie jako posłańce jakiegś tam idei, ale po to, bo tam najłatwiej dzisiaj robić pieniądze!

Skończywszy, stary negocyant postawił szklankę na stole i spojrział z tryumfem po zgromadzeniu. Bolało go od dawna, że ta chudziźna mólów książkowych, pijąc jego wino i jedząc jego pieczenie, tak górne o sobie miała wyobrażenie. Wszystkie zasługi przypisywała wymarzonemu swojemu ideom, których wcale nie akceptował pocziwy negocyant. Dzisiaj więc, przy sposobności powiedziawszy im „*verba veritatis*“, a przy tém wtrąciwszy coś „*pro domo sua*“ wesołym okiem, do którego blasku i winko się przyczyniło, spoglądał po pysznym swoim salonie.

Ale doktorzy coś strasznie na to mruczeć poczęli i gotowali się właśnie do jakiegś jednogłośnej demonstracyi, gdy liryczny tenor nagle do klawikordu usiadł i na całe gardło zaśpiewał pieśń z „Roberta dyabła“:

Złoto, złoto jest chimera!...

Wszyscy mu przyklasnęli za ten koncept wyborny. Stary zaś negocyant napominany przez swego najbliższego towarzysza, że za wiele pił wina i za wiele mówił, jak na gospodarza przystoi, zamilkł zadąsany, że ta uczona czereda zawsze nad prostym człowiekiem górę bierze.

Kilku jednak siedzących przy stole nie słyszało

wcale, co się koło nich działo. Matylda i Walter patrzyli tylko na siebie i nie mówili. Spojrzenia te jednak były jakoś takie dziwaczne, że im słuch odbierały i wszystko zresztą zasłaniały. Marzyli o sobie, marzyli o nowym pałacu w Czarnowodach, który tam z wiosną wystawić mieli na miejsce ciemnego, szlacheckiego dworku!

Blady „dysponent“, na końcu stołu siedzący, nie słyszał także tych sporów uczonych. Gnięwały go ustawicznie te precudne dołki na policzkach Matyldy i błyszczące oczy młodego jej męża. Myślał on nad nowym madrygałem, który w inseratach jutrzejszego numeru „Thalii“ zapewne się ukaże, a który niezawodnie różnić się będzie od pierwszego i treścią i formą.

Nowy szereg strasznie długich kieliszków udobruchał rozdąsanych doktorów. Pifke, który przestawszy być „drobnym negocyantem“, jako właściciel fabryki, miał już przystęp do wszystkich uroczystości swego kolegi, przyprowadził go w kącie do opamiętania, demonstrując mu, że swoich zdań tak otwarcie wyjawiać nie trzeba. Stary negocyant uścisnął za to przyjaciela i hojnym szafunkiem wina i usługi swojej tak dalece błąd swój naprawił, że wychodzący z domu jego doktorowie najserdeczniej go ściskali i żegnali.

Zaledwie ostatni gość drzwi za sobą zamknął, pozamykał stary negocyant wszystkie salony na klucz, aby służba z pozostałych butelek czego nie chwyciła, a sam czém prędzej zbiegł po wązkich, kręconych schodach do ulubionego swego gabinetu. Ujrzawszy się między skrzyniami żelaznymi i stołem marmurowym.

usiadłszy przed biórką, żelaznemi opasaną kratami, rzekł do siebie z wyrazem nieukontentowania na twarzy:

— Ja tutaj tylko jestem mądry. Tu mi nikt nie zaprzeczy ani rozumu, ani przyzwoitości. Tam na pierwszym pięttrze jestem głupi, prosty człowiek. Otton mój i tam będzie mądry.

I obejrzał się po tych zimnych, wilgotnych ścianach, przesunął zwolna swoje oczy po żelaznych, do muru przykutych skrzyniach, po tym milczącym stole marmurowym, na którym tyle brzęczało srebra i złota, opowiadając mu dzieje swoje!... I weselę zrobiło się staremu negocjantowi; on widział te skrzynie otwierające się cicho i bez hałasu, a z nich wychodziły zwolna jakieś przecudne obrazy. Najprzód wyszedł ogromny jak forteca z dachem miedzianym zamek dąbczyński — za nim długim szeregiem, w czarne przybrane szaty, szły owe olbrzymie postacie z krążanku kaplicy. Z kamiennych ich oczu lały się łzy, z ich ust wychodził śpiew pogrzebowy. I obeszły w koło skrzynie żelazne i niemy oddały pokłon swemu panu, który do nich uśmiechał się z za krat żelaznych, i z taką na nie spoglądał dumą, z jaką niegdyś Jagiełło patrzył na rycerzów krzyża, składających u jego nóg swoje żałobą okryte sztandary... A tam z drugiej skrzyni wypłynął biały jak mgła jesienna, dworek szlachecki. Stary, zgarbiony szlachcic, z siwą w pas brodą, w żupanie i kontuszu, szedł sam jeden za tym dworkiem, jak grabarz, aby go własną pochować ręką. U boku miał kord bogaty, pradziadowski — ten kord odpiął, zapląkał i wraz ze swoim dworkiem w jednej pogrzebał go jamie. A na jego miejscu nowy wystrzelił pałac, na

balkonie stali: Matylda i Walter, i śmiali się ze starego szlachcica, nie rozumiejąc jego pogrzebul...

I już na piękne począł sobie drzémac stary negocyant, gdy nagle ktoś silnie do drzwi kantoru zapukał.

— Kto tam?—krzyknął negocyant i zerwał się na równe nogi.

— Ja, ja, Pifke!—odpowiedział głos.

Negocyant odsunął żelazny rygiel. Przeraźliwy odgłos rozległ się po pustej sali kantoru. Ale jeszcze bardziej przeraziła go twarz kochanego kolegi.

Pifke miał twarz czerwona jak karmazyn, oczy jego paliły się. Dolna szczęka ruszała się i kłapała machinalnie o półtora zęba. W rękę trzymał jakiś list rozdarty i zmięty.

— Cóż ci to, Pifke?—zawołał namiestnik Goliata, a w jego oczach błysło coś szatańskiego.

— Łotrze, złodzieju!—krzyknął Pifke, a piana okryła mu wykrzywione usta.

— Jeżeli tak zaczynasz — odparł spokojnie stary negocyant — to chodź tutaj bliżej, bo dłuższa będzie między nami rozmowa.

Rzekłszy to, zasunął znowu rygiel żelazny i powoli poszedł do swego biórka, którego kratka żelazna ochraniała go od nierzetelnych zamiarów przyjaciela i spółnika.

— Łotrzel — krzyczał Pifke za nim — zabiłeś mnie!

— Pifke, nie bądź głupim! — odparł spokojnie stary negocyant.—Wino moje z ciebie mówi. Wiesz, jam już trzeźwy.

— Tu, łotrze, czytaj!—wrzeszczał Pifke, aż mu oczy na wierzch wylazły.

— Co mam czytać! Powiedz mi krótko, o co ci chodził!

— Oszukałeś mnie! Wciągnąłeś mnie w interes, który trzy razy więcej wymaga pieniędzy, jak powiedziałeś!

— Można się omylić.

— To był twój podstęp... jam dzisiaj bankrutem!

— Któż ci winien, że mało miałeś pieniędzy? Wszak wiesz, że w naszym interesie, to jak przy kartach. Kto ma więcej pieniędzy przy sobie, gdy siada do gry, ten wygrywa w końcu.

— Dałeś mi akcye, które teraz są po niczemu. Czytaj!

— Jakto, akcye kolei żelaznej w południowój Francyi? Wszak brałeś podług kursu... w książce zapisano.

— Wykupiłeś wszystkie akcye i trzymałeś kurs wysoko. A gdym się z niemi na giełdzie pokazał, nie chciał nikt i szeląga dać za nie. Przedsiębiorstwo zbankrutowało.

— Jesteś dziwny człowiek, kochany Pifke. Nie rozumiesz gry *à la hausse* i kwita. Cóż ja winien, że akcye spadły?

— Złodzieju, okradłeś mnie!

— Któż to powie? Ludzie, co znają kursa, powiedzą, że Pifke oszalał i nic więcej. Wyplaciłem ci podług kursu.

— Okradłeś mnie, zabiłeś mnie! — krzyczał nieszczęśliwy spekulant.

— Pifke, jak widzę, oszukałem się na tobie — mówił z flegmą stary negocyant — ja myślałem, żeś ty do

większych interesów, a ty prosty, drobny negocyant! Idź z Bogiem i daj mi pokój!

Rzekłszy to, posunął sprężynę na biórku, a żelazne dźwiczki wysunęły się gdzieś z ziemi i w okamgnieniu zasłoniły go przed oczyma nieszczęśliwego spekulanta. W tymże samym czasie z po za pieca odsunęła się wielka, w starożytną rzeźbę przyozdobiona szafa, a kolosalny Michel, jeszcze czerwony jak upiór na twarzy, pojawił się tuż za plecyma biednego bankruta. Był to tajemny przyrząd zabezpieczający od niespodzianego jakiego napadu.

Pifke chciał właśnie z wściekłością rzucić się na żelazną klatkę, w której spokojny jak lew siedział jego wspólnik i kolega, gdy kolosalny Michel za kołnierza go w samą porę pochwycił.

— Pan Pifke za wiele pił wina—wyszedł z klatki spokojny głos pryncypała—zaprowadź go do pierwszej izby, niech się prześpi.

Pifke wydarł się z nadludzką siłą z objęć olbrzyma i z wyrazem szaleństwa krzyknął do klatki swego przyjaciela:

— Warner! Słuchaj łotrze i złodzieju! Jam krwawo na mój grosz pracował. Nie jadłem i nie spałem. Stało się, okradłeś mnie, bom wdał się w rzecz nie swoją. Z „drobnych interesów“ nie byłem kontent, a wielkie mnie zabiły! Ale ja jeszcze żyć będę. Zostanie mi tysiąc, dwa tysiące talarów — pójdę tam nad Noteć i Wartę, i będę, czém byłem: drobnym negocyantem. Bóg mi dopomoże, moje pieniądze tam znajdę. Ale, jak ty upadniesz, już nie wstaniesz, rozumiesz... nie wstaniesz!

Rzekłszy to, podarł list, który w ręku trzymał,

na drobne kawałki i rzucił je między kratki, w twarz swemu spółnikowi. Odepchnął sąznistego Michła, który przyszedłszy do siebie, właśnie rękę po niego wyciągnął, i wybiegł jak szalony z kantoru.

Stary negocyant pocisnął znowu sprężynę, drzwi żelazne zapadły się w ziemię. Z wypogodzoną twarzą spojrzał po próżnym kantorze, a zaciągając ręce, rzekł do siebie:

— Pifke zbankrutował, głupi Pifke! Jemu do lichwy, a nie do wielkich interesów! A teraz dalej!

Wyjął papier listowy, a napisawszy na przódce kilka wierszy, złożył, przypieczętował i zaadresował do hrabiego Leona. Zawołał na Michła i kazał mu natychmiast Linka przyprowadzić.

Gdy zadyszany agent przed nim stanął, pryncypał uśmiechnął się łaskawie do niego i rzekł:

— Linku, wielkie moje dzieło jest na ukończeniu. Będę pamiętał o tobie. A teraz bierz konie pocztowe do Dąbczyna i ten list oddasz według adresu.

Link skłonił się pokornie, z pod oka spojrzał na płonącą twarz pryncypała i wyszedł.

Negocyant zatarł ręce i śpiesznie pobiegł ku schodom kręconym. Za chwilę był już w apartamencie Ottona na drugim piętrze.

— Ottonie, Ottonie!—wołał z progu—przynoszę ci bardzo dobrą wiadomość.

Otton był smutny i znużony. Uroczystość dzisiejsza utrudziła go. Podczas obiadu musiał śmiać się i rozmawiać, a to wszystko jakoś nie było mu wcale do twarzy. Piękna Janina migiała mu nieustannie przed oczyma — biedny młodzieniec kochał nieszczerliwie.

— Ottonie! — wołał ojciec — ja cię tak kocham, żebym ci rad nieba przychylić, a ty... ty nawet mnie nie słuchasz!

— Zapewne jaka szczęśliwa spekulacya—odparł obojętnie młodzieniec — majątek nasz może większy o pół miliona...

— I ty tak zimno to mówisz?

Otton ruszył ramionami.

— Słuchaj, Dąbczyn już nasz!

— Dąbczyn!—krzyknął młodzieniec i poskoczył ku ojcu.

— Aha! widzisz go! Przecież raz powiedziałem ci coś niespodzianego!—zawołał negocyant z radością na twarzy.

— Dąbczyn!—powtórzył nieszczęśliwy kochanek i stanął nagle jakby do ziemi przyrósł.

— A tak, tak... Dąbczyn *cum attinentiis!*—wołał mu do ucha szczęśliwy negocyant.

Otton stał jak niemy. Ojciec przypisał to niespodzianej radości. A chcąc tę nowinę tak hazardowną czémś ugruntować, ozwał się po chwili:

— Musisz wiedzieć, kochany synu, że Pifke, głupi Pifke zbankrutował!

— Zbankrutował!—powtórzył machinalnie młodzieniec.

— Więc całe nasze przedsiębiorstwo zagrożone jest stagnacyą, która jest straszna w tym względzie.

— I cóż ztąd?—zapytał machinalnie Otton.

— Margrabia nie wytrzyma téj stagnacyi, bo płaci wysokie procenta. A nim Dąbczyn pójdzie na subhastę, to woli sprzedać go z wolnej ręki. Cóż ty na to?—zapytał z pieszczotą szczęśliwy ojciec.

— Czy chcesz ojciec wiedzieć, co ja myślę?—zawołał uroczyстым głosem młodzieniec.—Oto sądzę, że to była spekulacya nieuczciwa, która na nas ściągnie karę Boga, a pogardę w opinii ludzi.

— Masz strasznie głupie serce... kubek w kubek, jak twoja nieboszczka matka...

Młodzieńcowi na wspomnienie matki stanęły łzy w oczach.

— Głupie masz serce—mówił dalej ojciec—o Bogu nie wiemy, co na to powie... a o ludzi mniejsza. Powiedzą, że stary Warner był szachraj i kwita; a do ciebie, gdy będziesz panem na Dąbczynie, będą karęty zajeżdżały: ty będziesz czysty jak łąza.

— Ojczel

— Zresztą jest to czysta spekulacya i uczciwa. Czyż ja winien, że Pifke zbankrutował? Bankructwo Pifkiego zabija margrabiego, ale nie ja!

— Wszak można mu dopomódz.

— Obowiązkiem naszym jest nie czynić nic złego; a któż nam nakazuje ofiary?

— Ojczel!—zawołał młodzieniec, biorąc ojca za rękę — jeżeli trochę czujesz miłości dla dzieci swoich, jeżeli miły ci jest szacunek u świata i pokój własnego sumienia: nie czyn tego! Bądź miłosiernym i nie daj upaść tym ludziom!

Stary negocyant odstąpił kilka kroków od syna, spojrzał na niego szyderczym wzrokiem i rzekł:

— Wiem ja, —zkał ci się ta miłość bliźniego bierz! Ale już raz mówiłem ci, że to są mary i nic więcej!

— Ojczel

— Janina jest młoda, ładna dziewczyna i nie

więcej. Tysiąc takich masz w mieście. Dotąd nęciło cię tylko to, co ją otaczało. Zamek, pańskość, służba, to i nic więcej. Zaczekaj kilka tygodni, gdy te wszystkie złote ramki od niej odlecą, będzie tak pospolitą dziewczyną, jak każda inna. A tytuł bez fortuny cóż znaczy?... Ty się ożenisz z panną starego, szlacheckiego rodu, ładną, majątną, która cię na dwór zaprowadzi. Szlachectwo nasze już gotowe.

Młodzieniec spuścił głowę.

— A margrabia czém jest dzisiaj?—mówił dalej negocyant.—Dumny bankrut! A wiesz, co to jest za obrzydłe stworzenie, człowiek dumny, który upadał! Widziałeś kiedy pałac w gruzach, w którym gnieźdzą się sowy i wrony? Czyż nie miłszy biały, świeżo wystawiony domek?

— Twoje słowa mogą mój rozum przekonać—odparł młodzieniec — ale mego serca niczém nie zaspokoisz. Kocham Janinę, bez niej nie ma szczęścia dla mnie ani w zaszczytach, ani w milionach!

— Głupie masz serce, Ottonie. Tak mówi każdy młokos w pierwszym tomie romansu. Pojedziesz do Paryża, do Londynu, i zapomnisz o wszystkiém.

Rzekłszy to, stary negocyant wyszedł z pokoju, mruczając sobie pod nosem, że syn jego ma takie głupie serce, kubek w kubek do swojej matki podobne!

Biędny młodzieniec rzucił się na sofę. Wiadomość, że wybraną jego sercu grozi tak wielkie nieszczęście, dotknęła go do żywego i wszelkię pozbawiła nadziei. Długi czas był w tém otrętwieniu. Nagle jakby jakaś zbawienna myśl zabłysła w jego młodej duszy; zerwał się na nogi i szybko kilka razy prze-

biegł po pokoju. Twarz jego rozpromieniła się, oczy zaświeciły nadzwyczajnym blaskiem.

I w samą rzecz była to myśl szczęśliwa, chociaż bardzo prosta. On mógł teraz stać się zbawcą nieszczęśliwej rodziny, ochronić ją od grożącego upadku, a w nagrodę za to uzyskać wzajemność Janiny.

Gdy jeszcze chwil kilka nad tém pomyślał, здавало mu się, że ta katastrofa koniecznie do spełnienia jego nadziei potrzebną była, że bez niej nie miałby sposobności okazania swoich uczuć dla tak drogiej mu istoty. I jak z razu zabolalo go to nieuczciwe postępowanie ojca, tak teraz widział w tém jakieś dziwne drogi Opatrzności bożkiej, jakieś wyższe zrzádenia, prowadzące ludzi ciemnym szlakiem do upragnionych celów.

I w szale radości swojej chciał właśnie wznieść ręce do nieba, aby Bogu za ciemne jego wyroki podziękować, gdy się drzwi z lekka otworzyły i Link okazał się na progu.

Agent miał na twarzy wyraz tajemniczy, a pod pachą jakieś starannie zawinięte papiéry. Wszedł ostrożnie do pokoju i oglądał się na wszystkie strony.

— Mam kilka ważnych słów do pomówienia—rzekł z miną tajemniczą—czy jesteście sami?

Otton ruszył głową potwierdzająco.

— Ale lepiej, żebyśmy poszli do drugiego pokoju—ozwał się znowu agent.

Otton spojrzał zdziwiony na agenta, a widząc z jego twarzy, że pewny jest siebie i że coś ważnego przynosi, postąpił naprzód, dając mu znak, aby szedł za nim.

Przeszło godzinę trwała ich tajemna konferen-

cya. Wreszcie wyszedł agent. Jego twarz rumieniła się uczuciem szczęścia, oczy błyszczały mu jak dwie muszki świętojańskie. Nizkim ukłonem pożegnał młodzieńca, który stał blady i zamyślony, i wzrokiem pogardy odprowadzał go aż na kurytarz.

Gdy się drzwi za nim zamknęły, poszarpnął młodzieniec konwulsyjnie za dzwonek.

Wszedł służący.

— Dla kogo dysponowano konie?—zapytał z niecierpliwością.

— Dla starszego pana—odparł służący.

— Gdzież ojciec pojedzie?

— Do Dąbczyna.

— Mój Johan niech także zaprzęga!—zawołał Otton z wyrazem jakiejś dziwnej energii.

Nazajutrz rano zeszło nad Dąbczynem jasne, pogodne słońce. To samo słońce wrześniowe, które siedzącemu na ganku staremu Dębiczowi tak błogo serce rozgrzewało. Jerzy otworzył okno i wyjrzał na ulicę. Chciał on dzisiaj po raz pierwszy po długiej chorobie opuścić swoją izdebkę.

Bohatér nasz był mocno blady na twarzy. Rana, która przez kilka miesięcy zgoić się nie chciała, wyczerpała jego siły. Mimo to w pięknych jego oczach tryskało młode, pełne nadziei życie, na bladych ustach igrał uśmiech skrytego szczęścia.

Był to pierwszy dzień, w którym miał opuścić tę cichą, samotną izdebkę.

Spojrzał smutno po czterech kątach téj izdebki. Jego serce trwożyło się czegoś. Lecz cóżby była za przyczyna téj trwogi? Janina go kocha, co kilka dni przejeżdża pod jego oknem i Pampie, drogiéj swojej Pampie, stojącój na oknie, posyła tak serdecznie, tak gorące pocałunki. Czuje on zawsze płomień tych pocałunków, jego twarz rumieni się rumieńcem szczęścia i zachwycenia, jego serce wyrывa się wtenczas

z piersi i woła: Ona cię kocha! I cudne, dziwne światy stwarza sobie wtedy biedny marzyciel, światy z tak wątlęj i delikatnej tkanki, jak ta siatka pajaka, którą co rana musi naprawiać tkacz nieszczęśliwy. I nasz bohater naprawiał prawie codziennie te wymarzone swoje światy, które niszczył mu ładajaki, mało znaczący wypadek.

Najstraszniejszym dla jego marzeń był z razu hrabia Leon. Ale wkrótce oswoił się jakoś z tym dziwnym, nieodgadnionym człowiekiem. Hrabia Leon, wyczekując jakichś ważnych familijnych wiadomości, bawił przez ten czas u margrabiego. A chociaż cała okolica inaczej sobie o tém na ucho mówiła, Jerzy poznał w nim tylko dziwaka, który w gruncie duszy był poczciwym człowiekiem. Te dziwactwa tłumaczył sobie wrodzoną jego dobrą, nawet szlachetną skłonnością, na której, jak rdza gryząca, osiadły jakieś cierpkie doświadczenia życia. Ztąd wyrosła się jakaś dziwna dwoistość duszy. Uśmiech zimny rozczarowanego we wszystkiem człowieka, występował na jego twarz po spełnieniu czynu, który wymagał gorącego serca, a nawet poświęcenia się. I tak pojedynek z panem von der Mark nie był niczém innem, jak tylko osłonieniem niedoświadczonego marzyciela od zgubnego ciosu.

Ale człowiek w pierwszej dobie uczucia jest zawsze w sprzeczności z samym sobą. Miłość jest niepokojem. Otóż innym razem niepokoiło Jerzego jakieś zagadkowe postępowanie hrabiego Leona, który tymczasem w poufną wszedł z nim przyjaźń. Zdawało mu się, że ten człowiek powoli, ale rozsądnie do celu dąży! Chce spokojnie wyczekać zwykłego przebiegu na-

miętności, przykładła mu codziennie rękę do pulsu, kiedy ta dziecinna ustanie gorączka. Wtedy uspokojoną i wolną od wszystkich przyszłych kurczów sercowych, poprowadzi Janinę przed ołtarz i z pokojem Anglika używać będzie dozgonnie swego asekurowanego skarbu.

Tak sobie nieraz myślał biedny marzyciel, gdy hrabia Leon, z zimnym jak lód uśmiechem, pochylił się nad jego łóżkiem i bystrém okiem śledził tętna serca, jak długo potrwa ta gorączka młodości.

Jeszcze jedna, daleko groźniejsza mara dręczyła naszego biednego bohatera. Jakieś dziwne obrazy dawnych jego marzeń stawały mu przed oczyma. Z ciemnych kątów samotnej izdebki występowały do niego jakieś groźne postacie. Jedne miały na twarzy wyraz gniewu, ręce ich były do góry wzniesione—inne zakryły twarze w szaty żałobne i ze złożonemi na pierśsiach rękoma stanęły przed nim jak posągi smutku i żałoby.

I zdawało mu się, że słyszy z ich ust słowa:

— Tyś nas dawniej tak kochał! Dałeś nam ogień twego serca na wieczną ofiarę, a dzisiaj stałeś się nam niewiernym! Myśmy cieszyli się naszym wyznawcą na tej biednej, nieszczęśliwej ziemi, a tyś sobie wybrał innego boga, któremu oddajesz cześć bałwochwalcą! Ten nowy bóg sprowadzi cię z drogi, na którą wszedłeś z cierniowym wieniec na głowie — bo on może ci dać tylko wieniec z róż wonnych, których woń nie jest dla nas!

A gdy się bliżej tym poważnym postaciom przypatrzył, poznał w nich posągi Mieczysławów, Bolesławów i Batorych, które niegdyś tak gorącym umiłował

sercem. Przypomniawszy sobie wszystkie swoje marzenia z dni młodocianych, a gdy dzisiaj na siebie się popatrzył, zdawało mu się, że się stał odstępca, że egoizm jego rozniecił mu w sercu te uczucia, któremi dzisiaj serce swoje napełnił; że dla pierwotnych ślubów swoich powinien uczynić ofiarę z tego, co zwyczajni ludzie zowią najwyższem szczęściem na ziemi.

Takie dziwne, chorobliwe mary straszyły go prawie co dnia, zaczawszy od rana aż do godziny czwartej z południa. W tym to czasie zazwyczaj turkotał ekwipażyk Janiny po bruku ulicy, a śliczna jak anioł dziewczica drobna swoją rączkę przyciskała do ust różanych i ukochanej Pampie swojej posyłała serdeczne pocałunki. W takim razie uciekały w nieładzie owe kamienne, żałobne posągi i kryły się po kątach, a na tronie złocistym, z pękiem strzał w ręku, wjeżdżał do samotnej izdebki ów bożek maleńki, któremu skromna matka oczy zawiązała, aby nie patrzył na szale jej serca.

Była to zazwyczaj najszczęśliwsza chwila w tém samotném życiu naszego bohatera. Był on święcie przekonany o miłości Janiny, hrabia Leon był wtedy najszczęśliwszym przyjacielem, a pajak krzyżowy, rozstawiając sieci pod belką, nie miał żadnych złych zamiarów na biedne muszki, prócz tego, aby swoją kochankę-kokietkę tém silniej do siebie przywiązać!

Dzisiaj miał on wyjść z téj izdebki, miał widzieć Janinę, z nią mówić — było to za wiele na jedno serce! Jakże drogi byłby mu w téj chwili przyjaciel, któremu mógłby całą swą duszę odsłonić! A marzyciele nie tak łatwo odsłaniają swą duszę! Hrabia Leon, mi-

mo wszelkiej swojej przyjaźni, tak widocznie unikał spowiedzi biednego pacyenta!

Słońce było czyste i pogodne. Jerzy wróżył sobie, że to będzie dla niego dzień szczęśliwy. Ale zaledwie zdołał się ubrać, gdy do pokoju w ubiorze podróżnym wszedł hrabia Leon.

Hrabia był na twarzy znacznie zmieniony. W jego oczach, które zazwyczaj tak zimno, tak trzeźwo na świat patrzyły, było coś nieodgadniętego, coby jakiś żal lub smutek oznaczać mogło. Widocznie malował się we wszystkich jego ruchach jakiś przymus, jakby trudno mu było panować nad sobą. Tego nigdy nie dostrzegł pierwój w nowym swoim przyjacielu nasz bohater.

Podawszy mu więc ręce, czekał niecierpliwie pierwszego słowa.

— Otóż mniej smucić mnie będzie nasze pożegnanie — ozwał się Leon z wymuszonym uśmiechem, — że cię pożegnam zupełnie zdrowego.

— Pożegnasz mnie! — zawołał zdziwiony Jerzy.

— Tak jest, pożegnam cię... w zamku już się pożegnałem — odparł zimno Leon, który już nieco pokoju odzyskał.

— W zamku się pożegnałeś! Cóż to wszystko znaczy?

— Nic, wcale nic. Warner doniósł mi poufnie, że bankier, u którego w Berlinie znaczne mam kapitały, jest w niebezpieczeństwie bankructwa.

— I to cię tak zasmuciło! — zawołał ze szczérością marzyciel.

— Innego możeby zmysłów pozbawiło... sto tysięcy i coś — odrzekł z zimnym uśmiechem hrabia — ale

mu nie to tyle obeszło, że wyjeżdżam, aby się na miejscu o tem wywiedzieć. I w samej rzeczy chciałbym czasami, jak ów Grek, zostać biędnym.

— Biędnym!—westchnął Jerzy.

— Wierżaj mi, mój ty kochany poeto — rzekł Leon z tym samym zimnym, bajrońskim uśmiechem—wierżaj mi, ubóstwo ma swoje korzyści.

Twarz Jerzego zarumieniła się; jakieś dziwne przeczucie owładnęło jego sercem. Ciekawie spojrzął na Leona.

— Smutne są te korzyści!—rzekł po chwili z westchnieniem.

— Jakto smutne?

— Bo życie ubogiego zaczyna się i kończy na marzeniu!

— A marzenie nie jestże szczęściem? Przed kilkoma miesiącami dałbym ci był połowę mego majątku, gdybym mógł być choć chwilkę pomarzyć!

— Dla czegoż nie mogłeś?

— Bo bogaty nie może marzyć. On ma wszystko, czego zapragnie. Aby czuć smak potrawy, trzeba być głodnym... a bogaty nigdy nie jest głodnym.

— Mówisz jak kochanek w tragedyi! — zawołał Jerzy z uśmiechem, w którym było więcej ciekawości, niż humoru.

Hrabia Leon przeszedł się kilka razy po pokoju. Coś widocznie miał na sercu, czego wyjawić nie chciał. Ciekawość Jerzego doszła do najwyższego stopnia. Miałże się oświadczyć Janinie i odmowną dostać odpowiedź?...

Serce Jerzego uderzyło żywiej.

— Wydaję ci się dziwnym—mówił po chwili Le-

on, chodząc po pokoju — ja sam dziwię się sobie. Przeczuwam w sobie wielką metamorfozę. Lękam się, abym się nie zmienił w gruchającą synogarlicę! Ha, ha, ha!... Tutaj ostatni cypel ziemi polskiej przytrzymał mnie za poły surduta i dał mi wcale nową naukę, jakiej piérwój nigdy nie słyshałem. Jerzy, wierzaj mi, ten kąt wasz jest fatalny!

— Nie rozumiem cię!—odparł Jerzy, patrząc w zamyśleniu na hrabiego.

— Głupstwo, wierutne głupstwo i nic więcéj—mówił z wesołym uśmiechem Leon.—Ha, ha, ha! zaciekawilem cię, a tymczasem i mówić o tém nie warto!... Tyś nigdy nic o podobnych rzeczach nie mówił... i miałeś słuszność.

— Ale przecież możeby korzystniéj było rozmówić się—zaczął Jerzy, a twarz jego zaczęła blednąć.

— Ej! co tam, szkoda czasu na podobne androny — odparł Leon z wyrazem niecierpliwości na twarzy — lepiej prowadźmy jaką uczoną rozmowę... na przykład: co to jest miłość?

— Co jest miłość, ty mnie się pytasz? — zawołał zdziwiony Jerzy.

— Więc ci odpowiem. Miłość jest to punkt, w którym łączy się egoizm dwojga ludzi i staje się potęgą. Zbij mi to zdanie, tylko prędko.

— Natychmiast. Egoizm tych dwojga ludzi musi się wzajemnie zrównoważyć.

— Prawda.

— A jeżeli ona jest piękna, a on brzydki, ona młoda, a on stary... ona bogata, a on biedny... cóż wtedy stanowi miłość?

— Tam miłości być nie może!—zawołał z gwał-

townością Leon, jakby chciał sam w swoje zdanie gwałtem uwierzyć.—Miłość jest to śliczne, złote pudełeczko, w którém schowany leży starannie zrobiony rachunek. Jedno drugie może ludzić i żyć nawet długo w tém wzajemnem złudzeniu. Ale nieszczęśliwy jest ten, któremu dano wzrok, zdolny do patrzenia aż na dno życia!

Hrabia Leon przeszedł się po tych słowach kilka razy po pokoju. Oczy miał w ziemię spuszczone i widocznie nie był z siebie kontent. Jerzy wziął go za rękę i rzekł:

— Kochany Leonie, dzisiaj wcale ciebie nie rozumiem.

— Chcesz mnie zrozumieć?—odparł Leon, wyrwijając mu rękę i chodząc szybkim krokiem po pokoju—chcesz mnie zrozumieć? To rzecz łatwa. Wyobraź sobie przedewszystkiém człowieka, urodzonego pod dziwną klątwą pradziada, który przy najlepszej fantazyi najgłupszy zrobił testament, aby każdy z jego potomków żenił się dopiero po odbytej szczęśliwie wyprawie *na kresach* ojczyzny przeciw jej nieprzyjaciołom. Hajdamaków nie było, a jam przyszedł na świat bez tej nieszczęśliwej wyprawy; za to koziorożec i ryba, moje planety opiekuńcze, nie są ze mnie kontente i obchodzą się ze mną, jak z pasierbem.

— Cóż ci złego dotąd uczyniły?—zapytał Jerzy, rozweselony humorem Leona.

— Najprzód zaraz na krzyżmo do kołyski dały mi majątek znaczny!

— I to całe nieszczęście!

— Niekoniecznie całe, ale jest w tém trochę nieszczęścia. Wyobraź sobie młodego chłopca, który

z gorącym sercem, z duszą poetyczną wybiega w świat i goni za wymarzonem szczęściem.

— I nie znajduje go!—wtrącił z westchnieniem marzyciel.

— Przeciwnie, znajduje je... ale znajduje za wiele. Wszystkie serca otwierają się przed nim; on nie zna, co to jest pragnąć, co to jest walczyć z przeciwnym losem, i wszystko mu sprzyja! A przecież szczęście liczy się tylko na chwile—a życie tak długie i nudne! I czémże zapełnić to długie, nudne życie! Ubogi do téj jednéj chwili szczęścia idzie daleką drogą. Najprzód marzy, potem tęskni i walczy, pracuje i pragnie, a gdy stanie u mety téj chwili szczęśliwéj, która uwieńcza wszelkie jego nadzieje, używa jéj jak smacznej potrawy, na którą tak długo czekał i którą własną zasługą sobie zdobył. Jeżeli tém szczęściem jest miłość, wtedy wierzy w nią, bo ona jest jego własnem dziełem. A jam téj miłości, tych czystych uczuć, o których marzyłem chłopcem, nigdy nie znalazł!

— I nie wierzysz w czyste, bezinteresowne uczucia?

— Ty jesteś dzieckiem, kochany Jerzy; patrzysz na świat z rąk mamki, od której piersi jeszcze nie odłączyłeś się.

— Nie, nie!—przerwał mu Jerzy, a na twarz jego wystąpił rumieniec — tyś poznał tylko połowę życia, brudną połowę, która się okazuje każdemu za pięniądze, jak panorama w budach jarmarcznych; ale drugiej połowy, która jak perła w konchach na dnie morza, kryje się głęboko na dnie życia, nie ujrzysz jéj okiem niegodném!...

— O! wy kapłani niewidomego bóztwa! Cieszy-

cie się waszą ślepotą i dobrze wam z tém. Jerzy, naucz mnie być ślepym!

— Wolałbym, abyś widział lepiej... abyś świat poznał z pięknej strony.

— Tego mnie nie nauczysz!

— Kochaj!

— To jest najkrótsza droga do rozczarowania.

— Kochaj sercem, a nie głową!

— To jest dobrze jeść i smaczno, a nigdy nie rachować się z garsonem... Jerzy, zróbmy układ między sobą. Czy ty kochasz?

Jerzy uczuł, że mu serce w piersiach zadrżało. Śmiało jednak i spokojnie wyrzekł:

— Kocham.

— Otóż słuchaj. Ja od stóp do głów byłem dotąd rozczarowany, ty zakochany. Gdy ty się rozcharujesz, ja kochać zacznę. Cóż, dobrze? Dotąd ty jesteś szczęśliwszy.

Jerzy pobladł nagle na twarzy. Dziwna, nie-miła myśl wpadła mu nagle do głowy. Ale lękał się usta otworzyć, aby się od przyjaciela nie dowiedzieć tego, co by go zabić mogło. I Leon chciał się jakoś uchylić od widzenia bolesnej jego walki, bo uciśnawszy mu rękę, zapalił świeże cygaro, a zawoławszy w progu krótko: „Do widzenia!“—wybiegł na ulicę, gdzie już na niego zgarbiony jak wielbłąd czekał stary Soroka.

Jerzy wybiegł na ulicę, aby jakoś serdeczniej pożegnać się z tym dziwnym, nieodgadniętym przyjacielem swoim, gdy na ulicy ujrzał tylko tuman kurzu, który odjeżdżający powóz za sobą zostawił.

Powoli z białej chmury wynurzyła się znajoma dobrze postać starego ekonoma.

Mietlica miał twarz mocno zarumienioną i był jakoś kontent z siebie. Ujrzawszy Jerzego, przybiegł do niego, a wyprostowawszy się jak świeca, rzekł:

— Dzięki Najwyższemu, że wielmożny pan stoi już na nogach. Bo, mówiąc prawdę, te szoldry...

— Jesteś coś wesół, Jakubie?

— Ot Soroka odjeżdżał, potrzeba było pożegnać poczciwego kozaka i jeden kieliszek więcej wypić. Dziwny to człowiek ten Soroka.

— Dla czego?—zapytał Jerzy, wiedząc o tém, że staremu gadule robi zapytaniem niezmierne ukontentowanie.

— Oto ojciec czy tam dziad pana Leona znalazł go dzieckiem na mogile ukraińskiej, która się zowie Soroka. Bo trzeba wiedzieć, że na Ukrainie są tak wielkie mogiły, jak ten zamek.

— I cóż dalej?—przerwał gadule 'Jerzy, któremu to porównanie mogiły do zamku jakoś nie mile było.

— Więc go nazwano Soroka od tej mogiły. I kozak dzisiaj powiada, że tak kocha tę mogiłę, iż bez niej do nieba się nie dostanie.

— Jakto?

— Mówi, że tam u nich jest taka wiara, że jeżeli kto nie umrze na tém samém miejscu, gdzie się urodził, to nie pójdzie do nieba. Dla tego u nich jest to miejsce świętém, jak kościół, i nad to miejsce nie powinien człowiek nic innego w świecie kochać.

Jerzy spojrzał na starego gadułę i chciał mu właśnie o tej pięknej wierze ukraińskiego ludu coś powiedzieć, gdy stary gaduła z innej zaczął beczki.

— Ja tutaj jestem w sekrecie dzisiaj—rzekł cichszym głosem—przyjechałem po proch!

— Po proch.

— Paliwoda będzie dzisiaj strzelał u nas, Paliwoda to strzelec jakich mało. Zeszłej wielkanocy, strzelając z moździerza, podarł kowalowi cały płaszcz na szmaty i ani go zadrasnął!

— Cóż to będzie u was?

— Będzie oracya i muzyka... pana majora urodziny. Paliwoda robi fajerwerk, który ma dwadzieścia siedm razy strzelić.

I jeszcze coś więcej chciał opowiadać stary gaduła, gdy nagle lud zaczął się z wszystkich stron schodzić, a na rogu ulicy stanął w imponującej postawie woźny urzędu miejscowego, aby zgromadzonej publice odczytać jakiś długi zapisany papier. Musiało to być coś strasznie ciekawego, sądząc po rozdziawionych gębach kilku gamenów dąbczyńskich, którzy z widoczną niecierpliwością potracali przechodzących Żydków. Mietlica urwał dyskurs w pół słowa, skłonił się Jerzemu i czémprędzej posunął do woźnego, który jakby go czekał z arkuszem papieru w ręku.

Jerzy odszedł w innym kierunku. Chciał on jak najprędzej wyjść z miasta, aby być samotnym. Słowa Leona: „Ty jesteś szczęśliwszym odemnie“, brzmiały mu jeszcze w uszach. Cóż mogły innego te słowa oznaczać, jak to, że Janina go kocha!... I wyszedłszy po za bramy miasta, uśmiechał się szczęśliwy marzyciel, który w tej chwili nie mieniałby się z bogaczami świata! Ta szczęśliwa, słodka myśl wyrugowała z jego serca wszelkie inne wątpliwości, jakie wzbudzić w niem mogła dzisiejsza rozmowa z hrabią Leonem.

Już było południe, gdy Jerzy do domu wrócił. Wesoły, szczęśliwy, oczekiwał niecierpliwie chwili, w której obaczy tak gorąco ukochaną Janinę, obaczy ten stary, tak dobrze znany mu zamek, który podczas swojej choroby tyle razy miał przed oczyma duszy. I już właśnie zbliżała się ta chwila upragniona, gdy do pokoju wszedł stary ogrodnik.

Stary ogrodnik miał oczy czerwone, minę nadzwyczaj rzadką i z nieśmiałością stanął przy progu. Jerzy uczuł woń spirytusu.

— Jak widzę — rzekł z uśmiechem człowieka szczęśliwego — wszyscy żegnaliście Sorokę!

— Wypiło się z Soroką tylko kieliszek — odpowiedział pokornie ogrodnik — a reszta to już było na zmartwienie!

— Zmartwienie?... zapewne *rododendron*...

— Ej! gdzie tam, wielmożny panie, nam to teraz w głowie! Ot człowiek na stare lata musi się gdzieś wlec jeszcze w świat za oczy!

— Cóż to się stało... zapewne nowy ogrodnik...

— Zapewne i nowy ogrodnik przyjdzie wraz z nowym panem.

— Z nowym panem? — powtórzył Jerzy, patrząc ciekawie na ogrodnika.

— A tak, wielmożny panie... wielkie nieszczęście na biedne, stare służi! Myślałem, że wysłużę sobie jaką chałupę i kawał gruntu...

— Dla Boga, cóż takiego? — zawołał zdziwiony Jerzy i przyskoczył do ogrodnika.

— Był dzisiaj Warner na zamku i mówił mi kamerdynier — tu obejrzał się ogrodnik — że pan nasz sprzedaje Dąbczyn!

— Pan wasz sprzedaje Dąbczyn!

— A tam... Oj! ja to zaraz powiedział kucharzowi jeszcze na wiosnę: „Mateuszu, obaczysz, że lutrzy, co tu przyszli z Pomorza, wypędzą ztąd i pana i nas z kretešem.“ Bo to była obraza bozka! Wszystkich ekonomów poodprawiać, oraz parobków i dziewczki, a natomiast nabrać tój hałastry, która kazała się nazywać to amtmanem, to ferwalterem, to znowu czémśi! Mieli oni nibyto lepsze gospodarstwo zaprowadzić, pomalowali wozy i pługi... ale też zmalowali i dyabła! Dzisiaj oni będą tu panowali, a dziedzic z pradziada i sługi z pradziadów w świat z torbami pójdą. Jeszcze panu to nic, bo mówią, że panom i w piekle źle nie będzie, ale człowiekowi...

Stary chciał tutaj łzę z oka strącić i właśnie w tym celu rękę do góry podniósł, gdy nagle w ręce zobaczył list, z którym z zamku go wysłano.

— Cóż to za list?—zapytał Jerzy, któremu nagle wszystko chodźć zaczęło przed oczyma.

— Ot wielmożny panie — odparł ogrodnik, kłaniając się nisko — i w takiem nieszczęściu i jeszcze obraza boska!

— Jaka obraza?

— A jużci obraza, aby do bezdusznój bestyi pisać cedułkę i jeszcze katolika z nią posyłać. Co to panom! Albo im bięda, czy co?

— Do kogoż ten list?

— A jużci nie do kogo innego—odparł ogrodnik, pokazując z ukosa na Pamę — jak do tój zamorskiej bestyi! Panna Janina kazała mi tu zanięść.

Jerzy wydarł list z ręki ogrodnikowi i przeczytał

na adresie: „Do mojej drogiej Pampy“. Rozerwał pieczętkę i czytał:

„Moja najdroższa Pampo! Gdybyś mi w tej chwili powiedziała, że mnie kochasz, byłabym szczęśliwą ze łzami memi, które teraz wylewam. Ale ja od ciebie tego drogiego słowa, za którym tak tęsknę, już nie usłyszę. Dzisiaj jeszcze wyjeżdżam z mamą daleko — oh! daleko od ciebie! Nawet pocałunku już ci dzisiaj nie prześlę, chociaż serce moje tak tego pragnie!.. Pampo moja! Tyś mnie kochała, gdym była wesola, gdym się śmiała do ciebie... ty nie zapomnisz o mnie, gdy z dala od ciebie będę płakała, będę smutną, nieszczęśliwą!.. Kochaj mnie, mój drogi ptaku, bo mi dzisiaj koniecznie potrzeba miłości, abym dalej żyć mogła! Twoja na zawsze

Janina“.

Gdy Jerzy oczy od tego szczególnego listu zdołał oderwać, już ogrodnika nie było przy progę, a nawet woń spirytusu, którą biedny chciał usnąć robaka zmartwienia, znikła gdzieś bez wieści.

Jerzy spojrział na zegar—on ten list czytał przeszło godzinę! Pochwycił za kapelusz i wybiegł na ulicę, szukając czémprędzej oczyma tego starego zamku, który zamykał w tej chwili całe jego szczęście.

Już od rana dnia tego smutno było w zamku dąbczyńskim. Niespodziany wyjazd hrabiego Leona, który wcale na pewne nie przyrzekał powrócić, wszystkich zasmucił i pokwasił. Tak upragnione nadzieje spełzły na niczym i tym większy zostawiły po sobie żal i smutek, im więcej zbliżała się jakaś smutna, nieodga-

dnięta katastrofa, która jakkolwiek niewidzialna, ciążyła już gdzieś w atmosferze nad głowami mieszkańców.

Rumiana, niegdyś gładko ogolona twarz margrabiego pomarszczyła się w kilku miejscach; biała chustka pod szyją już nie była zawiązana z taką, jak niegdyś fantazyą, tylko frak tabaczkowy i popielate pantalony w niczém się nie zmieniły. Niemają bowiem ciężar spoczął na barkach margrabiego. Budowa zakładu fabrycznego w Mogiłach ogromny sprawiła mu kłopot. Potrzeba było pieniędzy, materiałów *in natura*. Tu znowu Warner, chcąc gospodarstwo dąbczyńskie na lepszej stopie postawić, sprowadził z Pomorza całe stado oficyalistów, parobków, dziewczek, krów i baranów, porobił z folwarków istne kancelarye, w których wprowadzie wszystko porządnie było na papierze zapisane, ale które dotąd żadnego nie wykazały dochodu, tylko bajeczne niedobory. Gospodarstwo zaczęto bowiem od wielkich wkładów, które mogły za lat kilka obfiatą przynieść korzyść, ale majątek wcale w pieniądze niezasobny, musiały przed tym czasem zrujnować. Pozakładano sztuczne łąki, sprowadzono wodę, mokre pola osuszono rowami i drenami, poczyniono plany na nowe budynki gospodarskie—wszystko to pochłonęło ogromne sumy, za które wysoki opłacało się procent. Termin zaś do wypłaty sum był taki krótki, że niepodobna było spodziewać się do tego czasu z poczynionych wkładów znaczniejszych korzyści. Było to wszystko jakby wyrachowane na wywłaszczenie margrabiego, i jemu samemu nie tajne było to niebezpieczeństwo; ale nadzieja złotego runa, które spodziewał się wkrótce znaleźć przy rozpoczęciu fabryki, na

tak ogromną skalę założonej, utrzymywała go jeszcze przy wcale niezłym humorze.

Już jeden plan jego, ożenienia Janiny z hrabią Leonem, spełził prawie na niczém. Do wczoraj wierzył jeszcze margrabia w zręczność swojej żony, która całą tę rzecz wzięła na siebie. Dzisiaj jednak rozczarował się dosyć niemile, gdy hrabia Leon grzecznie z nim się pożegnał, ale o powrocie swoim bardzo zagadkowo wspominał. Odczytawszy więc raporta swoich amtmanów i ferwalterów, i popsuwszy sobie niemi i tak kwaśny już humor, wyszedł z gabinetu, i ciemną, wąską galeryą udał się wprost do „błękitnego pokoju“.

Margrabina siedziała już od rana w tej świątyni marzeń i wspomnień swoich. Gorącego serca kobieta, o licznych zmarszczkach na twarzy, a płonącym jeszcze oku, siedziała zamyślona nad książką, w czerwony safian oprawną, której znana nam dewiza: *„la passion c'est la vie“*, wydawała się jak uśmiech szyderczy na twarzy konającego człowieka. Większa część tej książki była już zapisana. Autorka „Wyznań kobiety“ złożyła tam połowę swego życia drżącą ręką, ale gdy jej przyszło dać temu wszystkiemu jakiś koniec piękny i wzniosły, nie umiała sobie już dać rady. Wszystko to, co dotąd w hołdzie dla namiętności ludzkich była spisała, było pstre i jaskrawe, jak szmatki i odcinki różnokolorowe, które odcięte od jakiegoś pięknego dzieła, walają się wyrzucone na śmiecisku. Biedna autorka myślała, że utworzy jakieś precudne dzieło, a ona pozbierała tylko te odcinki na śmiecisku życia!

Margrabina przewracała kartki jedną po drugiej; były to chwile i dni jej życia. Jakże bolesną jest ta

burzliwa przeszłość dla kobiety o twarzy pomarszczonéj! Każda jéj zmarszczka, która jak siatka misterna okraża jéj smutne, zamyślane oko, jest dla niéj smutném pismem, głoszącém, że jéj życie, któremu trzeba już odjąć namiętność, stanie się tylko powolném konaniem!

W tych smutnych pogrążona kontemplacyach, usłyszała jakiś szelest za sobą. Niegdyś na taki szelest biło jéj serce, krew farbowała lica, jak farbuje jutrenka niebo poranne, a dzisiaj tylko uczucie jakiegós trwogi zadrgało w jéj lękwém sercu, które tyle przebyło uniesień, a żadnego z nich nie schowało w sobie na czasy smutku i żałoby!...

Margrabina spojrzała na siebie, a ś. Jan Baptysta z białym u nóg barankiem odsłonił jéj pomiętą już nieco troskami postać dozgonnego towarzysza.

— Jakie ty szczególne miewasz przeczucia, mój drogi Achilu!—zawołała margrabina, zamykając książkę w czerwony safian oprawną.

— Ale twoje przeczucia, kochana Hermino, oszukały mniel—odparł smutno margrabia.

— Jakie przeczucia?

— Hrabia Leon odjechał, nie spojrzawszy nawet na Janinę!

— Ach, ty jesteś okrutny! Przeczuwając, co się w mém sercu dzieje, do kielicha cierpień moich dolewasz jeszcze goryczy!

Margrabia nic nie odpowiedział. Obrócił się do ściany i wpatrzył się w Samsona, któremu kobiéta włosy ucina.

— Nie uwierzysz, ile ja na tém cierpię!—mówiła dalej margrabina.

— Niepotrzebnie wplątałaś hrabiego Leona w mi-

łostki z majorową—odparł margrabia, nie odrywając oczu od Samsona.

— Któżby się spodziewał, że do tego przyjdzie! Opiérając się na doświadczeniach serca...

— Popsułaś los Janinie.

Margrabina przyłożyła chustkę do oczu i poczęła płakać. Usłyszawszy to margrabia, odwrócił się od Samsona, do którego jakąś szczególną miał sympatyą, i zbliżywszy się do żony, rzekł:

— Już się stało, kochana Hermino, musimy sobie wzajemnie wybaczać.

— Mnie do tego kroku wiodło serce matki—mówiła wśród łez margrabina—ja chciałem dla Janiny jak najlepiej!

— Nic tak bardzo złego się nie stało — odparł spokojnie margrabia, patrząc z upodobaniem na popielate swoje nogi.—Janina może się zawsze podobać, jeżeli nie ten, to inny!

— Ach, ona strasznie cierpi!

— Nie spodziewałbym się tego. Janina, widać było, nie lubiła go.

— Ty nie znasz serca kobiety. Janina z razu nie lubiła go, bo była przekonana, że on dla niej przyjechał. A gdy spostrzegła, że on tylko grzecznością ją zbywa, a gdzieindziej swój afekt zwraca, biedna dziewczyna ledwie nie oszalała i nawet dosyć widocznie chciała go do siebie przyciągnąć. Zresztą rozsądek nakazywał jej nie lekceważyć tak dobrej partyi. Ale gdy wczoraj wieczór hrabia Leon dosyć obojętnie z nią się pożegnał i wszystkie jej nadzieje zawiedzione zostały, biedna Janina aż spazmów dostała, tak ją to zmartwiło. Obrażona duma kobiety jest to coś

straszego. Janina była pewną swego — zawiedziona dzisiaj byłaby w stanie zrobić z siebie ofiarę! Czy wiesz, co mi dzisiaj na moje refleksyi odpowiedziała? Mówiła: „Mamo, czy ja koniecznie mam iść za księcia lub hrabiego? Jabym poszła za naszego doktora. *Il est très bien!* Ja go bardzo lubię!“

— Dziecko! — ozwał się margrabia, posuwając rękę spokojnie po gładko ogolonój brodzie.

— A wiesz, to tylko rozpacz mogła jęć takie słowa podyktować — mówiła dalej margrabina. — To może ci służyć za miarę jęć cierpień.

Nieszczęście córki zelektryzowało popielate nogi margrabiego. Wstał z krzesła, na którém przed chwilą był usiadł, i szybko zbliżył się do okna. A do bramy zamkowej wjeżdżał właśnie powóz angielski starego negocyanta.

Jakieś niedobre przeczucie opanowało serce margrabiego. W milczeniu zbliżył się do ś. Jana Baptysty, który skwapliwie odsłonił mu drzwi do wąziokiej, ciemnej galeryi.

Margrabina została sama w świątyni swoich wspomnień i marzeń. Rozłożyła znowu książkę w czérwony safian oprawną, spojrzała smutno na dewizę, w którą od pierwszej zmarszczki z każdym dniem poczyniała tracić wiarę, i zamyśliła się głęboko nad losem biédnej, rozpaczającój jedynaczki, w którój sercu jednak nie umiała czytać!

Margrabia posadził bankiera na kanapie w swoim gabinecie, jak to zawsze od czasu spółki zwykł był czynić. Ale złoty jego humor opuścił go dzisiaj. Mi-

mo wszelkiego wysilenia miał minę kwaśną. Stary negocyant spostrzegł to, a szybki jak błyskawica uśmiech przebiegł po jego żółkłej twarzy.

— Pan margrabia utracił gościa—zaczął bankier, poprawiając sztywnych kołnierzyków — a ja córkę...

— Piężne interesa wezwały go do Berlina—odparł margrabia.—A pańska córka... aha, już po weselu!

Stary negocyant znowu się uśmiechnął. Jego plany udawały się mu wybornie.

— Jestem w ciągłych kłopotach, panie Warner —mówił dalej margrabia, porzucając niemiły mu przedmiot rozmowy—nowe gospodarstwo bardzo wiele kosztuje, a nic nie przynosi.

— Tego roku powszechny nieurodzaj.

— I fabryka nie mało mi trosk sprawia... pół roku już na schyłku, a dotąd nie ma ani nadziei...

— Właśnie w tym interesie przybyłem, trzeba coś stanowczego uradzić.

— A cóż jest więcej do uradzenia? — zapytał zdziwiony margrabia.—Wszak nic nam nie trzeba, prócz tego czasu, w którym fabrykę w ruch puścimy!

Negocyant skrzywił się, jakby mu kto octu do gęby nalał, i rzekł:

— Daleko jeszcze do tego, panie margrabio, bardzo daleko.

— Jakto, daleko?

— Okazało się, że potrzeba więcej pieniędzy i większej skali, abyśmy jaki zysk mieć mogli.

— Co mówisz, panie Warner!—zawołał margrabia z wyrazem trwogi na twarzy.

— Tak jest—odparł spokojnie bankier—wiadomość ta popsuka mi radość wesela, które właśnie mojej Matyldzie sprawiałem.

Margrabia milczał czas niejaki, poczem ozwał się cichym głosem, w którym przebijała się trwoga;

— A ileżby brakowało?

— Dwie trzecie części — rzekł spokojnie bankier, wlepiwszy wzrok w twarz margrabiego.

— Dwie trzecie części! — krzyknął margrabia i wstał z krzesła.

Negocyant śledził pilnie wszystkie jego ruchy, a gdy margrabia, chodząc po pokoju, plecyma do niego się obrócił, szatańska radość strzelała mu z oczu. Nie mógł być panem uczuć swoich i z niepokojem kręcił się na krześle.

Gdy margrabia napowrót na swoim krześle usiadł, miał już twarz spokojną, jakby się wcale nic nie stało.

— Dwie trzecie części, mówisz, panie Warner—rzekł powoli i z uwagą—to będzie dla mnie niemałym kłopotem.

— A tém większy kłopot — mówił dalej negocyant—że te dwie trzecie części tylko z dwóch rąk wypłynąć mogą.

— Dla czego z dwóch?

— Bo Pifke zbankrutował!

— Pifke zbankrutował! — zawołał margrabia i równemi nogami wstał z krzesła.

— I wprowadził nas w wielkie nieszczęście—dodał stary negocyant z westchnieniem.

Był to niespodziewany cios dla margrabiego. Wszystkie jego nadzieje opierały się jedynie na tém

przedsiębiorstwie. Ostatni ratunek spełził na niczém. Chciał, według zwyczaju, poprawić sobie chustkę, chciał posunąć ręką po gładko ogoloną twarz, ale ręka jego zdrząła, odrzuciło ją coś od chustki i od twarzy.

— I cóż robić w tym razie?—zapytał głosem bez dźwięku.

— Nic nie robić... zaniechać całego przedsiębiorstwa... przynajmniej na niejaki czas.

— Nie, nie, nigdy... mnie by to zgubiło — zawołał szybko margrabia.

— Inną rady nie ma na to — odparł zimno bankier. — Najprzód bankructwo Pifkiego rzuca nadzwyczaj złe światło na całe przedsiębiorstwo. Opinia już źle uprzedzona... żadnego innego spółnika nie dostaniemy. A dla mnie samego jest to za wiele. Dwoje rąk nie wystarczy tutaj.

— Jabyś odstąpił komu moje akcje — rzekł margrabia cichym głosem.

— A któż je weźmie?—poderwał negocyant. — Ja dałbym pół straty!

Margrabia spojrział smatno na swoje nogi popielate, spojrział smutno na ścianę, gdzie z żelaznej zbroi cy wisiał kasztelan Jarost, zabity w potrzebie przeciw Krzyżakom, i zdawało się, że w tej chwili żałował, że urodził się w czasach nieszczęsnych spekulacyj. Jakos przyzwocić było mu stracić życie, niżeli majątek.

— O nową pożyczkę trudno — rzekł po chwili.

— Ani myśleć!—podjął szybko negocyant — do tego... mimo mojej wiedzy i woli zanotował mój prawnik dziesięć tysięcy dukatów... ale to nic... tylko że dla pożyczki..

— Jakie dziesięć tysięcy dukatów? — zapytał z zadziwieniem margrabia.

Warner odkrząknął, uśmiechnął się pod chustką do nosa i zaczął:

— Zapewnie przypomni sobie pan margrabia, że kupując Mogiły od pana Górnickiego, wziąłem od niego cesyą wszystkich jego pretensyj. Mówił on mi o należitościach u pana margrabiego, ale że na nie skryptu nie mógł znaleźć, więc przyjąłem je ryczałem za pewną dodatkową sumę. Dzisiaj między pozostałemi papierami odszukał mój prawnik własnoręczne skrypta pana margrabiego...

— Moje skrypta... nie prawda! — zawołał margrabia—to jakieś krętactwo...

— Mam tu wierzytelny odpis—rzekł—bankier wyciągając długi papier z zanadrsa.

Margrabia szybko przebiegł go oczyma.

— To nie moje kwity!—krzyknął—Górnicki administrował mój majątek!

Negocyant wzruszył ramionami.

— Sąd przyjął je za skrypta długu — odparł spokojnie.

— Ale nie przyjmie za dług. Wszak Górnicki, o którym nie wiedzieć, gdzie się znajduje, gdy się go powoła...

— Górnicki już nie żyje. Niejaki Link, który jest teraz u nas, a który wtedy był w Galicyi, widział na własne oczy jego śmierć roku 1846 i w sądzie zaprzysiągł.

Margrabia z trudnością znalazł krzesło i rzucił się na nie.

— Cóż to wszystko znaczy, mój panie Warner?—zapytał po chwili.

— To nic a nic nie znaczy—odparł szybko negocyant, widząc, że margrabia błednieje — wszak mówiłem, że to wszystko stało się mimo mojej wiedzy i woli. Ja wiele rzeczy uczynilem dla pana margrabiego; takie drobnostki nie powinny waśnić między sobą spólników.

Kasztelan grodzki Jarost zachmurzył się i gniewnie spojrział na ostatniego swego potomka, który w taką wszedł spółkę. Ale potomek jego nie myślał w tej chwili o fundatorze Dąbczyna, nie myślał o jego napisie na bramie, który wyraźnie mówił, że „ad tuendum populum“ te mury wznosi — margrabia myślał w tej chwili nad tém, jakby to z tych smutnych zawikłań wyjść z przyzwoitością.

— Dla czegoż pański prawnik...

— Mój prawnik pośpieszył się—przerwał szybko negocyant—ale ja napisałem mu, że cała ta rzecz ułoży się między nami w cztery oczy. To bagatela.

— Ale ja nic nie winien panu Górnickiemu!

— A gdyby nawet i na tém poprzestać trzeba było, to cóż robić? Mamyż się procesować?

Margrabia spojrział na bankiera. On nie miał wiary w przyrodzoną szlachetność serca ludzkiego. Według niego interes, przyzwoitość i to, co nazywamy honorem w obec ludzi, były to jedyne sprężyny życia. Wszystko zresztą było tylko frazesem. Dla tego postępowanie negocyanta było dla niego zagadkowe.

— Jakto, pan nie chcesz użyć tych papierów na moje niekorzyść?—zapytał po chwili.

— W tym razie, jeżeli od daleko większych uchylię się niekorzyści—odparł spokojnie negocyant.

— I w jaki sposób może się to stać?

— Jeżeli pan margrabia zachowa się od grożącego mu upadku.

— Jakto, mnie grozi upadek?—zawołał z dumą margrabia.

— Tutaj, na téj pozycyi, niezawodnie — odparł negocyant z nadzwyczajną spokojnością.

Margrabia przygryzł usta. Jakieś złowieszcze cyfry stały mu przed oczyma. Powoli upadała w nim ta wiara tradycyjna, że potomek tak świetnego rodu nigdy upaść nie może i z mniejszą już dumą ozwał się do negocyanta:

— Zdaje mi się, że to zawczasie jeszcze mówić o tém.

— Ale nie zawczasie, aby mówić o sposobie ratunku!—wtrącił negocyant.

— Jakiż byłby sposób ratunku, jak pan powiadasz?—zapytał cichym głosem.

— Najprzód mówmy o najgorszem — zaczął negocyant, posuwając się na kanapie.—Zebrawszy dzisiejsze pasywa razem, okaże się z nich, że pan margrabia jest insolwentem. Stagnacya fabryki narobi hałasu—banki ześlą komisją do zbadania dóbr i wypowiedzą pożyczki. A przecież to nie z honorem dla pana margrabiego, tracić majątek przez subhastę.

— Nie... nie, nigdy!—zawołał margrabia — coby świat na to powiedział! Mówiliby, że zbiłdniał do kosztulil...

— Otóż temu trzeba będzie zaradzić.

Margrabia założył ręce i bezmyślnie patrzył przed siebie. Negocyant odkrzęknął, uśmiechnął się i mówił dalej:

— U nas tutaj cena ziemi jest nadzwyczaj wy-

soka. Przemysł i porządna praca kolonistów jest tego przyczyną. Możnaby dość dobrze Dąbczyn sprzedać...

— Sprzedać! Nie, nigdy! — zawołał margrabia i przełożył nogę na nogę.

— Możnaby rozgłosić, że się to czyni w celu przesiedlenia się w jakich familijnych widokach. Ze sprzedaży zostałyby się zawsze jakaś sumka, za którą możnaby gdzieś na Podolu lub Wołyniu kupić kawał obszaru. U nas ziemia i człowiek w takiej cenie, a tam dusze za bezcen! — dodał z sarkastycznym uśmiechem. — To kraj jakby stworzony dla panów!

Margrabia nie słyszał tych dodatków uszczypliwych, bo myśl przesiedlenia się, która jego upadek tak szczęśliwie pokrywała, owładnęła wszystkie jego zmysły.

Widząc to negocyant, zatarł ręce i mówił dalej:

— Aby uniknąć subhasty sądowej, jabym wziął kupno Dąbczyna na siebie. Dałbym nad sumę ostatniego oszacowania...

Margrabia wyteżył ucho — suma wcale nie była do odrzucenia. Powoli zaczął się mu świat rozjaśniać — on myślał, że z hańbą i wstydem trzeba będzie kiedyś wyzuć się z majątku, a tu pocziwy człowiek ratuje go tak niespodzianie! A wstyd ubóstwa w obec świata, to hańba niezmaszana, to śmierć!... A do tego taka ładna suma!

— Rozumię się — mówił dalej negocyant — że to czynię w nadziei, iż na Dąbczyn potem kupca znajdę, lub folwarki pojedynczo odprzedam kolonistom, bo naturalnie na takie dobra nie stać biednego negocyanta — dodał z uśmiechem hipokryty.

Margrabia nic na to nie odpowiedział. Liczył

w duchu zakupione na Wołyniu dusze i z dumą wydał policzki, że znowu będzie panem, jak przystało na potomka Jarosta. Ów napis na bramie, owe „ad tuendum populum“ ani mu na myśl nie przyszło! Po chwili, jakby się ze snu obudził, posunął ręką po twarzy, przełożył nogę na nogę i rzekł:

— Wierzaj mi, panie Warner, że już mnie znudziło to przekłete nasze Poznańskie. Wielkie familie upadły lub wymarły — tylko drobna szlachta i dorobkiewiczze. Nie ma nawet z kim żyć przyzwoicie. Gdybym miał jakie takie, godne towarzystwo, nie bawiłbym po za granicach, co mnie tyle kosztowało. W takich okolicznościach koniecznie zrujnować się trzeba. Więc wcale nie byłbym od tego, aby się przesiedlić. Tam to jeszcze są większe majątki, można jakoś żyć z ludźmi. U nas to sama hołota. Trzeba się nad tém zastanowić.

— Nie można odwlekać.

— Trzeba przecież wykazów...

— Mam wszystko przy sobie... bo i nademną się pali. Pifke wiele mi zaszkodził.

Margrabiemu podobała się ta sprężystość negocyanta. Chciał on bowiem jak najprędzej rozstać się z majątkiem, który mu tyle co dnia przynosił kłopotów, a żadnych nie dawał dochodów.

Uradzono więc jak najprędzej skończyć ten interes, a tymczasem udał się margrabia do rodziny, aby ją o tym niespodziewanym wypadku zawiadomić.

Margrabina siedziała jeszcze w swojej świątyni marzeń, oraz wspomnień i przewracała karty książki czerwonej. Czytała właśnie stronicę z czasów, gdy była młodą i szczęśliwą, gdy wszystko paliło ofiary jej

młodości i drżało na jęj ogniste spojrzenia. Dzisiaj prócz kolców nie pozostało nic z tych kwiatów wiosennych, żaden z nich nie dotrwał do jesieni, do późnej jesieni! I gdzież teraz szukać odwagi, gdy chmura nieszczęścia zawisnie nad głową? Na czém oprzć zemdlące ramiona, gdy podróż życia zaczyna być smutną i bolesną! Którąż namiętność weźmiemy wtedy w tę podróż?

— Kochana Hermino!—zawołał margrabia, zasuwając szczelnie ś. Jana Baptystę—mówilem ci przed chwilą, że sobie wzajemnie wybaczać musimy. Przechodzę z nowiną, która na pozór jest niemila, przy zimniejszej jednak rozwadze wcale jest dobrą.

Margrabina zamknęła karty swojej młodości i zwróciła się do męża. Margrabia opowiedział jęj powoli wszystko, co zaszło. Skreślił jęj stan obecny majątku i widoki swoje na przyszłość.

Margrabina słuchała na pozór z wielką obojętnością. Ale przy ostatniem słowie zbladła. Głowa jęj upadła bezwładnie na poręcz krzesła.

— Uspokój się, Hermino!—zawołał margrabia, biorąc ją za rękę — to jeszcze wcale nie źle dla nas wypadło!

— Ach, wyzuci z majątku!—krzyknęła spazmatycznie nieszczęśliwa kobieta.

— Nasze imię wystarczy nam odtąd za wszystko!

— Biedna Janina!

— Z tém imieniem znajdzie zawsze męża, który odpowie jęj urodzeniu!

— Dzisiaj świat taki brzydki, dzisiaj każdy szuka majątku!

— Na Dąbczynie, który właściwie był do nicze-

go, a w końcu po uregulowaniu stosunków włościańskich ani szeląga dochodu nie niósł, nic nam wcale nie zależy. Niech sobie tutaj koloniści gospodarują. Dla nas jeszcze pole na Podolu i Wołyniu. Że tam nasz majątek przenosimy, cóż na tém tracimy? Może to stare zamczysko, co się wali?

— Ja nie mogę z tém się oswoić!—mówiła z płaczem spazmatycznym margrabina.—Ja tutaj umrę!

— Chcę, abyście z Janiną jak najprędzej wyjechały do Drezna.

Po splakaną twarz margrabiny mignęło jakieś weselsze uczucie.

— Do Drezna mówisz?—powtórzyła spokojniejszym głosem.

— Do Drezna. Jest to tanie i ciche miasto. Ja sam ukończę tutaj interesa, a przez to uchylimy się od pytań natrętnych. Co zaś w interesie opinii trzeba będzie zrobić, to uczynię. Terenia zostanie ze mną.

— Terenia zostanie?

— Widzę, że ta biędna idyotka codzien więcej ma dziwactw, które Janinę trwożą. Pomyślę nad jej umieszczeniem w jakim przyzwoitym klasztorze.

— To bardzo rozsądnie zrobisz... bo dla niej tylko klasztor może być azylem na tym świecie!—rzekła z głębokim westchnieniem margrabina.

— A teraz powiedz coś o tém wszystkiém Janinie — kończył margrabia, zwracając się do ś. Jana Baptysty.

— Kiedy odjedziemy do Drezna?—zapytała jeszcze margrabina.

— Dziś, jutro... kiedy chcesz, kochana Hermينو—odparł margrabia i zniknął w ciemnym kurytarzu.

Jasne promienie słońca, wysokiém, gotyckiem oknem spływające z pogodnego nieba na kamienną posadzkę, zatrzymały nagle margrabiego, który zamyślony wychodził z ciemnej galeryi. Powiódł okiem po tych ciepłych promieniach, zajrzał w pogodne, szafirowe niebo, i zdawało mu się, że jakaś stęchlizna grobowa naciska na jego piersi.

Zbiegł po schodach i wyszedł na dziedziniec.

Na dziedzińcu walało się kilka odłamanych z muru kamieni, na których wyobrażony był herb Dąbczyńskich. Tam kupa gruzów, czerwona posypanych cegłą, dawała schronienie żabom i płazom — wszędzie zniszczenie i ruina. Kamienny krużganek na lewym rogu zamku pochylił się i groził upadkiem, dach miedziany pośniedział i załamał się na samym środku, a na wieży zamkowej zegar, wskazujący godzinę jedenastą już od kilku miesięcy, jakby chciał wołać na mieszkańców: już czas ostateczny! Margrabia zwrócił się na prawo. Przed nim stała kaplica zamkowa. Na kamiennym progu, w pokorze ducha, kazał wyryć fundator imię swoje, prosząc wchodzących przez ten próg o modlitwę dla duszy swojej. Przez małe, żelazną kratą opatrzone okno padało światło w podziemia kaplicy. W tych podziemiach były groby Dąbczyńskich. Margrabia zajrzał przez to okno—woń pleśni i próchna odepchnęła go. Jakieś niemiłe uczucie opanowało jego serce. Śpiesznie postąpił naprzód, aby jak najprędzej prochy ojców swoich za sobą zostawić. On chciałby w tej chwili jak najprędzej od nich się oderwać, on chciałby pójść tam, gdzie nie ma żadnych smutnych wspomnień, żadnych smutnych pamiątek! I nie słyszał wcale, że na krużganku kaplicy zapłakały głos-

nym płaczem olbrzymie, kamienne postacie, które „ad tuendum populum“ kasztelan Jarost tam był postawił, i rozwinęły szaty swoje, aby ztąd odlecieć daleko, daleko!... I rzekł w duchu do siebie margrabia:

— Urojone jakieś uczucie przywiązuje nas do miejsc dawnych. Dla czegoż nie zostawić gruzów za sobą, gdy ich nie można przerobić w gmach okazały? One nas tylko przygniatają i niepokoją. Dla czegoż nieustannie straszyć się widmem przeszłości? Niech śpią umarli — przeszłość pogrzebana — a dla nas życie! Dąbczyńscy i bez tych gruzów i bez tych kilku obszarów mokrej ziemi, będą zawsze tém, czém byli!

A gdy do zamku powrócił, był już tak spokojny, tak niecierpliwie czekał negocyanta, któryby jak najprędzej zdjął mu ten nieznośny ciężar z serca, tę kupę gruzów i tych kilka garści prochów i kości, które z podziemia kaplicy tak niemile go zawiały!

Chciał jeszcze przejrzyć wszelkie swoje mobilia, aby je ocenić i jakąś sumkę za nie negocyantowi oznaczyć.

Wszedł najprzód do błękitnego pokoju. Starożytna komnata przejęła go w swoją duszną atmosferę, ścisnęła go za piersi i serce, ale margrabia odchrząknął i spokojnie szedł dalej. Na ścianie wisi wielki obraz, przedstawiający hołd Krzyżaków po odniesioném zwycięstwie. Po drugiej stronie mistrz Albert zrzuca habit zakonny i z rąk Zygmunta odbiera godność książęcą, jako pierwszy książę pruski i lennik polski. W obu obrazach figurują Dąbczyńscy na pierwszym planie, ale pędzel gruby, układ figur wcale nie artystyczny; dla kupca nie mają te obrazy żadnej wartości. Margrabia minął je, nie oznaczwszy na nie żadnej ceny.

Przy oknie stoi mały, trójkątny stolik, ze skórzanymi po bokach workami. Zapewnie służył on do gry w kostki. Dla kupca to grat stary—chyba w piecu go spalić!

Z tego pokoju prowadzą do wieży zamkowej tajemne drzwiczki. Margrabia pocisnął sprężynę — duszna atmosfera uderzyła mu na piersi. To skarbiec Dąbczyńskich. Pełno dziwnych, dawnych sprzętów. Świeczniki z drzewa toczony i jaskrawymi malowanymi barwami. Tam roztruhany potłuczony, dziwnych kształtów, kilkanaście sztuk zardzewiałej zbroi, tuzin kopij i kilka skrzydeł husarskich, a w kącie porzucone na ziemię leżą księgi i papiery — to archiwum Dąbczyńskich. Mól i robak roztoczył te stare graty. Margrabia zamknął drzwi; dla kupca nie ma to rupiecie żadnej wartości!... Nad kominem wiszą trofea Dąbczyńskich. Buńczuki, chorągwie, kindżały, zbroice krzyżackie, miecze cesarskie — sama rdza i łachmany! Kupiec wyrzuci je oknem!...

Nie znalazłszy nic takiego, na coby jaką cenę położyć można, wrócił margrabia do swego gabinetu w kwaśniejszym nieco humorze.

— Ekonom z Czarnowód chce z jasnym panem mówić—ozwał się lokaj przy drzwiach.

— Czego chce, może i w kredensie powiedzieć!—odparł z niecierpliwością margrabia.

— On chce tylko z jasnym panem mówić.

— Nie mam czasu.

Za chwilę jakiś łoskot dał się słyszeć w przedpokoju, a do gabinetu margrabiego wpadł zapęrzony

Mietlica. Za nim z rozczochraną fryzurą wsunął się lokaj.

— Niech jaśnie wielmożny pan daruje — rzekł Mietlica, odsapując głęboko — ale te bałwany nie chcieli mnie tu wpuścić.

— Czego chcesz człowieku? — zawołał margrabia, a lokaj tuż nad kołnierzem Mietlicy wstrzymał rękę.

— Najprzód niech jaśnie wielmożny pan odpędzi tę obrzydłą małpę, która ma kark tak twardy jak u dzika, a potem będę prosił łaski jaśnie wielmożnego pana o kilka słów na osobności, w bardzo ważnym interesie. Jam z generałami mawiał nieraz.

Mietlica mówił to z największą determinacją i wyprostowany, jak przystało na wiarusa drugiego pułku ułanów, czekał odpowiedzi. Margrabia dał znak służącemu, aby się oddalił.

— Cóż to za ważny interes? — zapytał ekonoma.

Mietlica miał twarz tak dziwnie czerwona, że trudno było z niej wyczytać, czy płakał, czy kilka kieliszków wódki nad zwykłą miarkę wypił. Zdaje się, że jedno i drugie razem się złączyło, bo pod oczyma widoczne były ślady łez, a w koło głowy unosiła się jakaś anyżowa atmosfera, w której topił swego robaka stary wiarus. Margrabia zmarszczył brwi i niecierpliwie patrzył na suplikanta. Mietlica zaczął z uśmiechem jakiegoś zadowolenia:

— Daleko lepiej skończyła się ta sprawa, niż się obawiałem. Bo też jam nie miał pokoju i dniem i nocą. Zawsze mi Mateusz stał przed pczymą, jak

święty Piotr w okowach. Ale ja sam nie podolał, bez łaski jaśnie wielmożnego pana...

— Czego chcesz? mów jasno!—zawołał margrabia.—Ja cię nie rozumiem.

— Wszak wiadomo jaśnie wielmożnemu panu, że Mateusz Wojna, wnuk prawowity tego Sebastyana Wojny, który ten zegar na wieży składał, podstępem i zdradą człowieka niepoczciwego, którego cały Dąbczyn zna, że ma mykę na głowie i brzuch tłusty, wszedł do kałauzu, a jest niewinny jak święty Piotr w okowach?

— Cóż mnie do tego?—zawołał niecierpliwie margrabia.

— Jaśnie wielmożny panie.—odparł Mietlica.—Pradziad, dziad i ojciec Mateusza Wojny służyli w tym skarbie, a Mateusz nawet do ostatniej godziny, nim z miasta odchodził, nakręcał zegar na wieży zamkowej, i bywało. nieraz opowiadał mi, jak łaskawy był zawsze jaśnie wielmożny pan dla wnuka Sebastyana, który układał własnoręcznie ten zegar. Do kogoż mam się więc udać po pomoc dla biednego Mateusza, który teraz jęczy...

— Cóż ja mu pomogę?—przerwał margrabia.

— Bo to jest taki interes—mówił dalej Mietlica, uśmiechając się dowcipnie.—Zły sąsiad i burmistrz tutejszy usadzili się na biednego Mateusza, wywiedli go za granicę i tam do kozy wsadzili. A tu tymczasem chcą mu rozwalić jego domek, który, z łaski dziadków Dąbczyna, wystawił pradziad jego Sebastyan, ten sam, co to układał ten kunsztowny zegar na wieży.

— To być nie może — rzekł margrabia z miną, która coś niedobrego wróżyła Mietlicy.

— I jam tak z razu myślał... kubek w kubek — odparł ekonom, ośmieliwszy się podnieść rękę do wasa — ale przecież inaczej się stało. Dom jego chcą mu wziąć i rozwalić, bo jest stary i krzywy, a Wojna nie ma pieniędzy, aby nowy wystawić. Otóż pisali tam do niego o tém i teraz kazali go otaksować. I właśnie dzisiaj zapowiedziano publiczną tego domu licytacją, a zły sąsiad jego już się u miécha i głaszcze po brzuchu...

— Powiedz krótko, czego chcesz!

Mietlica uśmiechnął się, podkręcił wasa, z którego coś anyżowój wymknęło się woni, a pociągnawszy kilka razy po nosie na znak, że teraz dopiero coś dobrego nastąpi, mówił dalej:

— Bylibyśmy z kretešem sprawę przegrali, gdyby nie wysoki rozum burmistrza! Taksatorami tego domku mianował jednego kolonistę, a drugiego szlifierza! Ha! ha! ha!

— I cóż ztąd?

— Alboż kolonista i szlifierze, co to z kółkiem na każdej ulicy stacyą ma, alboż to tacy ludzie wiedzą, ile wart jest domek rodzinny! he!... Domek rodzinny, w którym to człek się wychował, gdzie każdy kołek, każdy sęk coś nam przypomina!... Hej, mój Boże!...

Margrabia zmarszczył brwi i widocznie począł się niecierpliwić.

— Otóż ten domek rodzinny Wojny, oszacowali na trzysta talarów. Ha! ha! ha! na trzysta talarów! Jakże szlifierz i kolonista mogą wiedzieć, że domek rodzinny, że ojcowizna to skarb nieoszacowany dla człowieka!... Otóż zaraz pomyślałem sobie: Ten domek trzeba kupić, a gdy Wojna wróci, niech jakoś sobie

z nim radzi. Boć to zawsze w mieście jeden grunt polski i tak coraz mniej jest tam naszych!

Margrabia miał coś w ustach, co wcale nie sprzyjało staremu gadule, ale nic nie powiedział.

— Mam uskładanych sto talarów — mówił dalej Mietlica, z coraz większą poufałością pokręcając wąsy — a gdybym jeszcze żonkę trochę poszturkał, tobym z niej wydusił jakie pięćdziesiąt, bo ręczę gardłem, że baba ma coś we węzełkach między bielizną. Ale to wszystko za mało. Braknie mi jeszcze połowa. Panu memu nic nie mówiłem, bo dalibóg pustki w stodołach. A tak jeżli jaśnie wielmożny pan da połowę, to takiego figla wypłatamy temu szoldrze z tłustym brzuchem, który dzisiaj widocznie śmiał się ze mnie...

Chciał jeszcze coś więcej mówić rozochocony Mietlica, ale już mu czasu zabrakło. Margrabia zadzwonił i z gniewem rzekł do lokaja:

— Zkądże ten zwyczaj, wpuszczać do mnie pijanych ludzi?

Służba czekała tylko tego rozkazu. Mietlica sam nie wiedział, jakim sposobem znikł mu margrabia z przed oczu, a gdy oczy szerzej mógł otworzyć, ujrzał wielki kawał nieba i boże słońce na niém, ale służby zamkowej już przed nim nie było.

Margrabia jeszcze nie uspokoił się po tém dziwnem zdarzeniu, gdy służący zapowiedział Jerzego.

— Przeprasić — odpowiedział — jestem zatrudniony, i margrabina nie przyjmuje.

Słowa te słyszał stojący w przedpokoju Jerzy. Idąc do zamku, zdawało mu się, że wypełnia uczynek

chrześcijański, że smutnych i bolejących pocieszy współczuciem. Jego współczucia nie przyjęto — pół serca, które niósł w offerze, odrzucono jak jałmużnę niegodną. On nie wiedział, że duma wynioślejszą jest w nieszczęściu.

Wychodząc z dziedzińca, spojrział na ten stary, wspaniały zamek—spojrział na te kamienne, olbrzymie posągi, stojące na krużganku kaplicy, spojrział oczyma duszy i na tych, co tam w podziemiu leżą w grubych, ołowianych trumnach, leżą w pełnej zbroi, z prawicą na rękojeści szabli, która tę ziemię zdobyła, a którą dzisiaj oddaje do rąk obcych ostatni ich potomek!

I zdawało mu się, że traci część swego dziedzictwa, które całą duszą ukochał, że te kamienne posągi, z którymi tak często o dawnych czasach rozmawiał, straci ztamtąd obca ręka kupca, albo ozdobi niemi parkan ogrodu. Smutek ścisnął mu serce, a gdy do okien zamku oczy podniósł, ujrzał Janinę, która trzymała chustkę przy oczach i zasęłała mu pożegnanie!

Biędny marzyciel zapragnął samotnej swojej izdebki.

Jakże wiele tu się zmieniło w tej izdebce! Pająk rozszerzył siatkę swoją i nałapał much, z których krew wysysał. Z ciemnych kątek wystąpiły do niego te same postacie, na które patrzył z zamkowego dziedzińca, ale były potłuczone i zgruchotane. Ich twarze patrzyły smutno na niego, że je oddano do rąk obcych! Ziemia ojczysta straciła kilka zagonów—kilka pamiątek narodowych spróchnieje i rozsypie się!...

Śród tych smutnych obrazów jasna twarz Janiny mignęła jak błyskawica przed duszą marzyciela. W jego sercu powstała dziwna walka. Zdawało mu się, że

jakaś fałszywa struna tam się nagle ozwała. Z zamku odprawiono go — jego współczucia nie przyjęto. Różne myśli poczęły mu chodzić po głowie.

W tém drzwi się otworzyły — do pokoju wszedł Otton.

Jerzy spojrzał zdziwiony na gościa i w milczeniu wskazał ręką na fotel.

Otton miał twarz bledszą, niż zwykle, oczy zamglone, jakby bezsenłą noc przepędził. Jego usta drżały; jakieś wielkie, stanowcze słowo miało wyjść przez nie. Ale Jerzy tego wszystkiego nie widział. Przed jego oczyma stały owe kamienne postacie z krużganku kaplicy i przelekle cisnęły się do jego samotnej izdebki. Krawędź ziemi ojczystej, na której stali, odłamała się i pochyliła w przepaść, aby zginać na zawsze. A przecież to była myśl, która go tu zapędziła, aby na brzegu obcego lądu zaciągnąć się pod sztandar rycerzy kresowych! I cóż uczynił dla tej pięknej myśli swojej? On chciał się poświęcić, a tymczasem marzył o samym sobie! Czyż nie lepiej zerwać tę nić, którą serce swe obmotał, i wrócić napowrót do uczynionych ślubów swoich?

— Nie śmiem podać tej ręki, która do pana mierzyła — rzekł młodzieniec drżącym głosem.

— Krew jest symbolem dobrych uczuć — odparł Jerzy z uśmiechem, bo coś go ciągnęło do tego biednego młodzieńca.

— A więc z ufnością mogę się panu zwierzyć...

— Słucham pana — rzekł Jerzy, podając mu rękę.

— Wyobraź sobie pan najprzód, że komuś wiele zależy na względach panny Janiny.

Jerzy posunął się na krzesło i spojrzał na Ottona.

— O te względy jednak jest mu bardzo trudno, bo te względy pan posiadasz.

Jerzy uczuł rumieniec na twarzy. Kamienne postacie z krużganku kaplicy stanęły gniewnie przed nim i zmarszczyły brwi.

— Nie wiadomo téj osobie, jakie są zamiary pana w téj mierze.

— Moje zamiary?—odparł Jerzy, który do téj chwili tak jasno jeszcze nigdy siebie nie zapytał—moje zamiary?... Ja żadnych nie mam zamiarów.

A kamienne postacie coraz bliżej okružwały go, coraz więcej ścisnęły go między sobą.

— Więc jeżeli pan żadnych pewnych nie ma zamiarów—mówił dalej młodzieniec, a biała twarz jego ożywiała się coraz więcej—to nie będziesz pan stawał na przeszkodzie innemu, który szczerze zajęty jest szczęściem Janiny i całej rodziny.

Jerzy uczuł, że mu serce zadrżało. Chciał wstać z krzesła i coś groźnego powiedzieć temu nieszczęsnemu posłowi, ale dziwna bezwładność opanowała go. Pochylił głowę jak winowajca, którego schwytano na uczynku, i słuchał dalej.

— Wiadomo panu, że margrabia traci swój majątek — mówił dalej Otton — że po spłaceniu długów prawie mu nic nie zostanie. Cała rodzina zejdzie na nędzę... dom tak okazały upadnie!

Kamienne postacie otworzyły usta, a Jerzy słyszał je mówiące, że wkrótce runą z krużganku, obcą

strącone ręką! Cofną się granice ziemi ojczystej, zakreślone niegdyś orężem Bolesława!

— Jakież los czeka biedną Janinę?... A ta osoba pragnie i jest w stanie odżegnać to nieszczęście od domu Dąbczyńskich, ocalić ten zamek starożytny i cały majątek zatrzymać przy rodzinie, byle tylko względy Janiny przychyliły się na jej stronę. A to tylko pan możesz uczynić. Tylko pan możesz być zbawcą tak znakomitego domu!

Kamienne postacie wzięły się za ręce i otoczyły Jerzego. Poczęły płaszać z radości, że jest ktoś, który je ocalił!

— Jakim sposobem mogę ja być zbawcą tej nieszczęśliwej rodziny?—zapytał po chwili Jerzy, na którego twarzy malowała się wewnętrzna walka.

— Jeżeli pan przez zerwanie stosunków swoich z Janiną dopomożesz tej osobie do jej względów...

— Jakże to być może, mój panie?—rzekł na to zdziwiony Jerzy, któremu w tej chwili przyszła na myśl propozycja starego negocyanta, aby nie umierał!

— Jeżeli pan, jak sam mówiłeś, żadnych nie masz zamiarów, to nawet obowiązkiem jest każdego szlachetnego serca...

Jerzy zarumienił się. Uczuł prawdę tych słów.

— Ale czy tak można traktować o uczucia serca?—rzekł po chwili.

— Janina ma piękne, szlachetne serce. Ona dla uratowania rodziców wiele uczynić może. A potem, gdy pozna bliżej tę osobę, która dzisiaj do niej nie może się zbliżyć, przekona się o jej zupełnem poświęceniu dla niej.

— To będzie miała dla tej osoby szacunek... ale miłość...

— Ugruntowany na takim uczuciu szacunek stanie się wkrótce miłością... Janina ma piękne, wzniosłe serce!

Ogień zapалу zamigotał w pięknych oczach młodzieńca. Silne uczucia rozwinęły dziwnie słabą, miękką jego duszę. Jerzy nie patrzył w tej chwili na młodzieńca; myślał on dziwnym sposobem — o Leonie! A kamienne postacie coraz groźniej otaczały go w okół, wołając głośno: ratunku! ratunku!

— Osoba, w której interesie tutaj przemawiam — mówił dalej Otton — miała jeszcze wydane do rąk swoich papiery, które wielu rodzinom mocnoby zaszkodziły. Radzono jej złożyć te papiery w ręce pana, pod warunkiem, abyś pan za to zrzekł się swoich zamiarów. Miała to być spekulacya na pańską szlachetność i gotowość do poświęcenia się. Ale podobne postępowanie byłoby nieszlachetne. Otóż ta osoba powierza te papiery panu bez wszelkich warunków. Jeżeli pan przychylił się do jej prośby, to w nagrodę tego szlachetnego uczynku możesz pan mieć wewnętrzne przekonanie, żeś tyle rodzin od nieszczęścia ochronił.

Rzekłszy to młodzieniec, dobył z pugilaesu dość spory pakiet i położył na stole. Jerzy przebiegł go szybko oczyma, widoczny przestraszał się na jego twarzy.

— Któż był tak nierozsądny? — zapytał dziwnie pomieszany.

— Te papiery mają być po panu Górnickim...

— Górnickim! — zawołał Jerzy i oczy w ziemię spuścił. Wszak on to mógł być sprawcą tego nie-

szczeńcia. Były to papiéry z wykradzionéj mu szkatułki.

Czas niejaki milczał, nie mogąc żadnego powziąć postanowienia. Tysiączne myśli krzyżowały się w jego głowie, przed oczyma snuły się jakieś dziwne, złowrogie mary. Konwulsyjnie ścisnął papier w rękę, jakby mu kto chciał go wyrzucić; w duszy odbywała się walka ofiary!

Widząc to młodzieniec, nie chciał w téj chwili czekać na odpowiedź Jerzego; chciał go zostawić samego, aby ta bolesna walka odbyła się bez świadka. Ścisnąwszy go więc za rękę, rzekł do niego:

— Niech pan to wszystko rozważy i według tego niech sam potem zastosuje swoje postępowanie. Więcej nie mam panu nic do powiedzenia. Przyjaźń pańska będzie dla mnie zaszczytną.

A gdy Jerzy z krzesła powstał, Ottona już nie było w pokoju.

Nie miał przyjaciela, przed którym mógłby do gruntu serce otworzyć. Jego samotna izdebka już mu nie wystarczała. Za kilka chwil był już w drodze do Czarnowód.

V.

WCzarnowodach gotowano się właśnie do wielkiego festynu. Nic jednak o tém nie wiedział ksiądz Maciej. Rozszedłszy się przed chwilą z majorem, wziął się do brewiarza, aby w tak trudném położeniu wymodlić sobie od Boga potrzebną pomoc. I gdy się zmierzchać poczęło, wziął na siebie tę samą nową sutannę i ten sam lepszy kapelusz, w którym przed kilkoma godzinami miał odbyć wcale inną misję; a wyszedłszy z izdebki, puścił się drogą do białego dworku. Zawiódłszy się dzisiaj na wszystkich swoich rachubach, już nie układał naprzód, co będzie mówił i gdzie usiedzie, tylko wszystko zdał na Boga, który wyraźnie powiedział, że będzie w ustach sług swoich, gdy im mówić będzie potrzeba. W dodatku do téj pobożnej ufności wziął z sobą tabakierkę szyldkretową i co kroku zaglądał do niej, czy nie ubył z niej potrzebnego mu dzisiaj specyału. A chcąc się w pobożne wprawić natchnienie, zanucił sobie po cichu: „Dies irae, dies illa“.

Słońce zachodziło prześlicznie, a jedna gwiazdka

po drugiej wytryskiwały z błękitnego tła niebios. W całej naturze było tak cicho, tak spokojnie! Wody jeziora wyglądały jak jedna szklanna szyba, i nie było ani śladu na nich owój wczorajszej łódki, która o tym samym czasie mknęła tędy, do tych grup drzewa... A ta sama gwiazdka, która tak ciekawie wczoraj z nieba patrzyła, patrzy dzisiaj tak spokojnie, tak serdecznie mruga do poczciwego kapłana!

Ale cóż to się nagle stało? Ksiądz Maciej stanął, wyteżył ucho, przyłożył rękę do czoła. Jakieś dziwne tony zalatują go od dworku. Nad dachem gorze łuna złowieszczą! Przeżegnał się, rozkręcił tabakierkę, słuchał i patrzył, i coraz wyraźniej przynosi mu tony jakiejś muzyki wiatr południowy, a nad dachem dworku coraz jaśniejsza bije łuna!

Ksiądz Maciej odmówił krótką modlitwę, obejrzał się w około, czy zły duch jakich figlów mu nie płata, i dalej sporym ruszył krokiem.

Wszedłszy w dziedziniec, stanął nagle jak wryty. Światła zaświeciły mu się w oczach; jakieś dziwne czarne postacie wyprawiały płasy szalone, z pod lip grzmiała ochocza muzyka, a stary Dębicz, znaczny między wszystkimi, na ganku uśmiecha się do tańczących.

W oczach proboszcza pociemniało, potem zrobiło mu się za jasno, a po chwili znowu zdawało mu się, że widzi we śnie ucztę Sardanapala, że widzi owę ścianę pałacu, na której olbrzymia ręka właśnie pisała słowa: „*Mane, tekel, fares!*...” I czuł, że się pod nim nogi zginają, że szyldkretowa tabakierka na ziemię mu upada, że nagle jakaś zmora sturamienna chwyta go i targa na sztuki, a gdy oczy wzniósł do nieba, ujrzał

straszego anioła sądu bożego, który na dniu ostatecznym głosem trąby ma pobudzić wszystkich umarłych!...

Po chwili przyszedłszy do siebie, spostrzegł ksiądz Maciej, że jakimś dziwnym sposobem wpadł w sam środek tańczących, a gdy na dwór spojrział, zobaczył w oknie olbrzymi transparent, przedstawiający anioła już w niemłodym wieku, dmącego z całą siłą w ogromny puzon. Z puzonu wylatywały w różnych pozyturach litery, które złożone razem brzmiały: *Vivat!* Przekonawszy się znowu, że i szylkretowa tabakierka w jego jest posiadaniu, wymknął się ksiądz Maciej z szalonego koła rycerzy i do ganku pośpieszył.

Na ganku rzęsisisto oświetlonym siedział Dębicz i siwą brodą oraz całém otoczeniem przypominał dawne, dzisiaj bajeczne czasy patryarchów. Z rozkoszą wpatrywał się w płasające grono wieśniaków, z starszymi rozmawiał, jak to dawniej bywało, a hożym dziewczętom rozdawał przygotowane od Zuzanny upominki. I tak był szczęśliwy ten staruszek, tak mu jakoś dobrze było dzisiaj na świecie, tak jasnymi w około spoglądał oczyma, że potrzeba było serca z kamienia, aby go w téj chwili zasmucić tak nieszczęsną wieścią, z jaką właśnie przybył ksiądz Maciej.

W koło niego siedziało kilku sąsiadów, którzy dawnym obyczajem przybyli powinszować koledze swemu. A sam solenizant stał na uboczu i osłupiałym wzrokiem patrzył przed siebie. Tańczący na dziedzińcu wieśniacy wydawali mu się jak mary złowieszcze, urągające się jego nieszczęściu. Zuzanna nie była także wesółą; snąć smutek męża nie uszedł jég oka. Jerzego jeszcze nie było.

Gdy major księdza Macieja na dziedzińcu zobaczył, pośpieszył do niego, a chwyciwszy go w ramiona, długo trzymał twarz przy piersi. Ksiądz Maciej uściśnął mu tylko rękę i żadnych innych powinszowań w tym dniu mu nie powiedział.

— Nie możemy się ciebie doczekać, księżu Macieju—zawołał stary Dębicz, wyciągając rękę do niego.— Musisz nam uroczystość dzisiejszą pobłogosławić, żebyśmy zbytnią wesołością nie grzeszyli przed Panem Bogiem. Bo że jesteśmy aż do zbytku weseli i szczęśliwi, to sam widzisz, patrząc na nas.

Ksiądz Maciej uściśnął podaną mu rękę i czém-prędzej rozkręcił tabakierkę. Chciał coś odpowiedzieć, ale czuł łyzy pod powieką i nie chciał swego bólu zdradzić. Podniósł tylko rękę i zgromadzonym przed gankiem wieśniakom pobłogosławił.

— A nam nie błogosławisz, księżu Macieju?—rzekł Dębicz z wyrzutem.—Błogosław i nam, abyśmy na rok przyszły tak samo jak i teraz, tu na tym ganku siedzieli przy krzepkiem zdrowiu i szczęściu spokojném.

Ksiądz Maciej podniósł rękę, ale łyzy zasłoniły mu tych, którym miał błogosławić.

— I chléb przeżegnaj...: chléb żytni, polski!—zawołał Dębicz.—Przeżegnaj te wieńce żyta i pszenicy, aby na rok drugi stokrotnie rozmnożył ją Bóg w ziemi naszej i nakarmił biedny lud nasz, jak niegdyś nakarmił rzeszę, słuchającą słów jego.

Księdzu Maciejowi już się łyzy jak groch puściły z oczu. Pożegnał te wieńce żyta i pszenicy, i śpiesznie odwrócił się od zgromadzenia. Szyldkretowa tabakierka zaskrzypiała, podniósł głowę do góry, jakby

się z uwagą prypatrywał misternie uwitym festonom. A gdy po chwili na majora popatrzył, wyczytał z jego oczu tak wymowną prośbę, aby sędziwemu staruszkowi tych kilku jasnych chwil życia dzisiaj nie odbierać. Ucieszyło go jakoś to wejrzenie majora, a na znak, że je dobrze zrozumiał, puknął kilka razy w tabakierkę i nową z niej wziął szczyptę.

I w samą rzecz, widok téj uroczystości miał w sobie wiele rozczulającego. Na zielonym trawniku przed gankiem kręciły się pary ogorzałych wieśniaków. Nie było tam strojów błyszczących: wprost od pracy wzięto się do zabawy. Kosy i sierpy pozawieszano na gałęziach lip, w dali pod szopą ustawiono pługi i inne narzędzia gospodarskie. Była to najpiękniejsza dekoracya sali balowej. Széroke liście lip i kasztanów spletały się w jakieś arabeski po nad głowami tańczących, a z jasnego tła nieba migwały gwiazdy, płynęły białe, światłem księżycy osrébrzone chmurki.

Tam gromadka starych wieśniaków gwarzy coś sobie o tegorocznych urodzajach i patrzy z rozkoszą na hasającą młodzież. Jedni drugim szepcą do ucha, że ta lub owa para jakby dobrana dla siebie, że w zapusty trzeba sprawić weselisko, dać dwie krowy, pług, wózek i coś grosza... Tam kupka starszych kobiet może to samo podaje sobie do ucha. A z po za gałęzi lipowych strzela hoży parobczak na Kasiunię czarno-oką, która najlepiej wywija obertasa. Tu znowu chichoczą młode dziewczęta, wesołe i puste, jak stadko kóz rozkosznych. Każda z nich niby to nie patrzy na taniec, niby zmordowana, ociéra fartuszkciem pot z czoła i z brwi czarnych, a tu z ukosa rzuca okiem na swe-

go tancerza i mało serce nie wyskoczy jęj z pod rąbka koszuli, że tak długo w taniec jęj nie bierze! A muzyka tak skocznie gra, aż same nogi się płaczą! Tylko Paliwoda siedzi pod kasztanem smutny na próżnym moździerz. Mietlicy z prochem jeszcze nie ma.

Stary Dębicz wodzi okiem po wszystkich grupach i uśmiecha się jak ojciec rodziny. Równego z nim wieku wieśniak, co to jeszcze nieboszczyka Dębicza pamięta, siedzi teraz koło niego i opowiada mu, jak to on był dzieckiem i jak dobrze przypomina sobie takie same dożynki w tém samém miejscu. A będzie temu lat ośmdziesiąt — były to lepsze czasy! mówi stary dziadek. A muzyka pod lipami gra tak skocznie, tak wesoło.

Rozstąpiła się grupa starszych wieśniaków: przed ganek wyszedł Maciejaszek, najbogatszy i najrozumniejszy wieśniak z całej gromady. Muzyka ucichła, tany ustały. Maciejaszek odgarnął włosy z czoła i zaczął mówić jakąś długą oracyą. Zwróciwszy się do Dębicza i majora, mówił wiele o dobrych panach, co to w gromadzie świecą się jak świeczki w kościele, pomogą biednemu i pocieszą w nieszczęściu. Wprawdzie dzisiaj odłączono gromadę od pana i obiecano jęj pomoc króla, ale przysłowie stare mówi, że Bóg wysoko, a król daleko — a pan przecież jest blisko, tylko zapukać. Mówił dalej, jak gromada zawsze była rada dzieciom swoim, bo dziedzice zasłużyli sobie na to przywiązanie. I o ile szczęśliwszą jest od gromady Mogił, gdzie nikt się nią nie opiekuje, gdzie z członkiem nikt nie pomówi.

Tutaj przerwał mówiącemu szelest pod lipami. Najbliżsi zwrócili tam oczy i ujrzeli stojącego jakiegoś

nieznajomego człowieka, który nagle skrył się za drzewa. A że Maciejaszek tém wydarzeniem przerwał sobie swadę i dalej oracyi prowadzić nie chciał, więc zakończył silną apostrofą do starego Dębicza, któremu życzył jeszcze lat drugie tyle, do majora i Zuzanny, którym cała gromada przez jego usta zasyła podziękowanie za ich dobre uczynki.

Stary Dębicz rozczulił się aż do łez, major spojrział na księdza Macieja jak człowieka, który wyroku śmierci oczekuje; a Zuzanna westchnęła i zamyśliła się. Ksiądz Maciej rozkręcił tabakierkę aż zaskrzypiała i na pułapie ganku szukał nadaremnie owęj sztukowanej belki, która w kłopotach jego tak wielką oddawała mu przysługę.

A czeladź dworska, podochocona aż do zbytków, żartowała przy piekarni ze starego kucharza, krytykując jak jaka gawiedź literacka dzieło mistrza. Polowy szedł w zakład o flaszkę wódki, że nos anioła większy od nosa Wojciecha, a stangret przymawiał trąbie, która według niego podobną była do rondla, w którym wysmarzyły się w różne litery wyrabiane ciasteczka. Stary kucharz przyjmował ze spokojem skończonego artysty wszystkie te złośliwe krytyki, odpowiadając zoilom swoim, że konterfekt anioła byłby daleko lepiej wypadł, gdyby mu nie zabrakło błękitnej farby.

Stary Dębicz był tak wesoły, tak szczęśliwy!

Muzyka po krótkim milczeniu zaczęła grać nowy taniec. Ale stało się to z takim jakimś hałasem, że wszyscy spojrzeli pod lipę, gdzie siedzieli muzykanci. Śmiech powszechny rozległ się po liściach lip i kasztanów. Między muzykantami stał stary kucharz, z białą czapką na głowie i pełnemi policzkami

dał na klarynecie. Złośliwa krytyka pod piekarnią wytrąci mu może na zawsze penzel z ręki, a że to człowiek muzykalny, więc wziął stary swój klarynet i mimo różnicy nastroju, dał się słyszeć nagle na nowem polu sztuki.

Stary Dębicz śmiał się, aż mu łzy w oczach stanęły. Z wielką biędą odpędzono kucharza od trzody Apolina i na nowo grać zaczęto. Zawołany do Dębicza kucharz, skarżył się na stangreta i polowego, którzy aniola jego krytykowali, a którym on chciał na złość pokazać, że nie tylko malować, ale i grać potrafi, jeżeli to afekt dla tak dobrych dziedziców nakazuje.

Podziękowano chórem staremu kucharzowi za jego afekt, za aniola i za klarynet, a stary Dębicz podał mu szklanekę wina. Kucharz wypił, ale niekontent z dzisiejszych laurów, odszedł do swojej izdebki, z której w intermeccach zabawy wypuszczał jakieś dzikie, rozpaczliwe melodye na swoim klarynecie.

Stary Dębicz przysunął krzeselko księdza Macieja do siebie i rzekł do niego:

— Lękam się, aby Bóg mnie nie skarał za zbytnią wesołość moją. Tyle radości, tyle szczęścia już dawno nie zaznałem.

A gdy major, sąsiedzi i Zuzanna do niego się zbliżyli, słuchając co staruszek z takim zapalem opowiada, mówił tenże dalej:

— Patrzenie na ten cały obraz, od tych kasztanów aż do izdebki kucharza, z której słyszę jego wzgardzony klarynet. Tyle ludzi, a jestże między nimi choć jedna dusza, któraby dzisiaj uśmiechu na twarzy nie miała?

Pod kasztanem znowu dał się słyszeć szelest— a postać nieznajomego człowieka skryła się znowu po za drzewa.

— Niech mówią, co chcą, o dzisiejszej cywilizacji!—mówił dalej Dębicz.—Niech tam ślęczą sobie na giełdach, niech suszą mózgi na spekulacye, niech tworzą nowe systemata społeczeństwa ludzkiego w tém uprzedzeniu, że to co jest, już stare i niedołączne... a ja przecież mówię wam, nie ma nad żywot szlachcica na wiosce rodziinnéj! Kto ten żywot dla jakichś spekulacyj opuszcza, lub żyjąc dla własnych namiętności, kto tę glebę ojczystą oddaje za weksle i inne grzechy swoje, ten zabija sam siebie i staje się zabójcą tój garstki ludu, która bez pastérza, jakim być powinien każdy prawy szlachcic, staje się pastwą wilków drapieżnych.

Pod kasztanami okazał się znowu ów człowiek nieznajomy, jakby chciał iść do ganku, ale wnet cofnął się i ukrył za drzewa.

Dębicz mówił dalej:

— Było obyczajem przodków naszych, żyć wśród tój młodziej braci. A kto ją porzuca, ten jest jak ów syn marnotrawny, który z groszem dziedzictwa poszedł w świat i marnie go stracił. Ale syna tego, gdy wrócił, przyjął w dom swój ojciec prześlagnany i nawet ucztę dla niego uczynił. A my nie mamy ojca. Gdy syn marnotrawny zapragnie wrócić w dom ojczysty, znajdzie go zamieszkałym przez obcych, którzy rzekną mu: Nie znamy cię!

Gałęzie kasztanów zaszeleściły, najbliżsi spojrzeli w to miejsce, ale tam nie było nikogo.

Dębicz ciągnął dalej:

— Niedawne temu lata, jak tu w około znałem

wioski i miasta, które od wieków dzierżyła szlachta nasza. Dzisiaj nie ma już téj szlachty, koloniści zamieszkali te dworki białe, domy boże przerobili na bethauzy, a lud biedny tak biedny, jak siérola bez ojca, zapomniał imienia swego!

A odetchnąwszy głęboko, mówił dalej:

— Niegdyś zabierano ziemię orężem, dzisiaj dzieje się to pracą i spekulacją. Na oręż mieliśmy oręż, przeciw pracy postawmy pracę. I miejmy sobie to na uwadze, że na tym końcu ziemi naszej, na którym mieszkamy, każdy uroniony zagon jest wziętą redutą, którą bronić byliśmy obowiązani.

A podniósłszy oczy do nieba, zawołał uroczystym głosem:

— I dla tego dziękuję ci, o Boże, że mi żyć tak długo pozwalasz między swymi. I tobie wdzięcznym jestem, Tadeuszu, żeś jako żołnierz gospodarz stanął przy mnie i pracą swoją zabezpieczyłeś pokój duszy mojej. Pójdźcie tu, dzieci moje, niech was ucałuję. Gdyby mi kto to dzisiejsze szczęście odebrał, jabym żyć przestał!

Major schylił się, aby ramię staruszka ucałować. Potok łez puścił mu się z oczu. Zuzanna usiadła na taboreciku i pieściła się ze staruszką. A ksiądz Maciej dwie szczypty tabaczki raz po raz wziął z tabakierki i cicho odmówił modlitwę, aby nie popadł w pokusę, wątpiąc o dobroci bożkiej. Odwrócił oczy od téj przesłicznej grupy, którą tworzyli starzec, major i Zuzanna. O! szczęście ludzkie, czém jesteś w obec wyroków mądrości bożkiej!...

Tymczasem już znacznie pochłodziło. Staruszek kazał się wtoczyć do sali, dokąd i obecni goście

za nim podążyli. Młodzież wioskowa, zostawiona własnej swojej ochocie, poczęła jeszcze więcej wycinać i wyśpięwywać.

Śród téj powszechnej radości nikt nie zważał na nieznanego widza, który stojąc za kasztanami, przypatrywał się téj uroczystości. Snać nie chciał, aby go widziano, bo za każdym głośniejszym śmiechem, za każdym jaśniejszym promieniem, które z ganku się rozchodziły, usuwał się w głąb cieni, między liście i gałęzie.

Teraz, gdy młodzież cała zatopiona w tańcu, nie w koło siebie nie widziała, wysunął się zwolna z po za drzew i ciemniejszą stroną ganku wszedł do sieni dworu.

W sali właśnie zrobiła się cisza, bo stary Dębicz coś chciał opowiadać, gdy nagle u drzwi pojawił się nieznamy. Wszyscy spojrzeli ku niemu, a zadziwienie i przestrach malowały się na wszystkich twarzach.

Nieznamy ten człowiek był wysokiego wzrostu, miał postawę butną, ale już trochę nachyloną. Twarz jego była ogorzała i zmarszczkami okryta, długa broda spływała aż po pas, a resztki bielejących już włosów spadały w nieładzie z obnażonej głowy. Ręce miał ciężkie, spracowane, ubiór zaniedbany.

Stał chwilę przy progu, smutném okiem patrzył po zgromadzonych, ale nic nie powiedział. Wreszcie jakby ze snu obudzony, zawołał Dębicz, żegnając się wielkim krzyżem:

— Wszelki duch Pana Boga chwalił

— Górnicki!—zawołał major i stanął jak wryty.

— Znaki na niebie... umarli wstają!—rzekł z cicha ksiądz Maciej i przetań oczy, aby lepiej zobaczyć.

Tymczasem kilku sąsiadów zbliżyło się do drzwi, obmacali nieznajomego i zawołali chórem:

— Górnicki!

Nieznajomy postąpił naprzód, podał wszystkim rękę, wszystkich serdecznie uściskał i rzekł:

— Tak, jestem Górnicki... jestem ów syn marnotrawny...

— Zkądże przybywasz?—przerwał mu Dębicz, nie kontent w duchu, że na ganku czynił aluzye do Mogiła.

— Przybywam z Nowej Holandyi—odparł zapytany.

Zuzanna ze łzami w oczach przerwała ciekawość pytających i nowego gościa prosiła, aby usiadł i posilił się.

Górnicki usiadł, ale potraw ani się tknął. Tłumaczył się słabością, która od kilku dni trapi jego ciało. Na co rzekł Dębicz:

— Nie ciało to chore, ale duch, kochany bracie, duch choruje, bo poczuł woń rodzinnego powietrza!... Z Nowej Holandyi!... A myśmy wszyscy opłakiwali śmierć twoję!

— Tak jest — odparł Górnicki — śmierć wisiała nad moją głową, ale Bóg zachował mnie na większe katusze!

I sięgnął do oczu i roztarł dwie łzy. Wszyscy milczeli. Jerzy wszedł teraz do sali, a nie chcąc przeszkodzić jakiegós uroczystej scenie, schował się za księdza Macieja, który w milczeniu rękę mu uściskał.

— Ciekawi zapewne jesteście dziejów moich — mówił dalej Górnicki — są one krótkie, nie dłuższe od ewangelicznój powieści o synu marnotrawnym, jak to

pan Stanisław bardzo trafnie na ganku opowiedział. Trafilem wprawdzie na ucztę, ale ta uczta nie dla mnie! W moim dworku rodzinnym powiedzą mi: Nie znamy cię!..

— Wszak jesteś między nami, jak w domku rodzinnym—przerwał mu Dębicz — każda strzecha szlachecka to twój domek rodzinny!

Tułacz westchnął i ruszył głową na znak zaprzeczenia. W sieni okazała się dziwnie rozogniona twarz Mietlicy i widać było po jego mocno wystających oczach, że coś strasznie ciekawego miał na języku. Ale ktoś ze służby przytrzymał go za poły kurtki i zreflektował go, że teraz przeszkadzać nie może.

Górnicki mówił dalej:

— Wszędzie góra i dolina, dolina i góra, i nic więcej, powiedział poeta niemiecki, ale nie powiedział tego dla nas. Dla nas jeden tylko domek może być ojczystym domkiem!

Mietlica mrugnął oczyma w sieni i uśmiechnął się na znak, że tę sentencją absolutnie pochwala.

— Ale jakże zaszedłeś do Nowej Holandyi?— zapytał Dębicz, chcąc nieszczęśliwego tułacza odwrócić od smutnych myśli jego.

— Bardzo krótka moja historia. Wiście, co mnie zmusiło opuścić to strony. Ale przyczyniła się głównie do tego moja próżność. Majątek mój był na schyłku, mogłem jednak coś z niego uratować. Ale wstyd mi było mieszkać na mniejszej zagrodzie między swymi, a gdy do tego jeszcze znajome wam przyczyniły się okoliczności, sprzedałem Mogiły i wyjechałem do Galicyi, do mego brata Kajetana, który mieszkał pod Tar-nowem. Kilka dni bawiłem u niego dosyć spokojnie.

Ale czwartego dnia zabłysła na niebie wielka luna—krzyk mordu rozległ się na około—w nieszczęsnej ślepocie popełniono na téj ziemi grzech Kainowy!... Kajetan miał żonę i czworo dzieci. Siedzieliśmy właśnie po wieczery i mówiliśmy o téj strasznej lunie na niebie. Na ręku matki posnęły dziecieczki jak aniołki. W tém otoczono nagle dwór... czerń rozjuszonego chłopstwa wtargnęła do sieni. Wyskoczyliśmy z Kajetanem do nich i poznaliśmy między nimi niejakiego Linka, który włócząc się, jako pismak pokątny, po karczmach i chłopów do procesów namawiając, odniósł był za to na skargę Kajetana jakąś karę.

— Link!—ozwało się echo z sieni—Link!—powtórzyło kilka głosów w sali.

— Kajetan odgadł zaraz, że zemsta tego niegodziwca sprowadziła na dwór rozjuszone chłopstwo. Gdy mowa nasza na nic nie pomogła, wzięliśmy się do broni. Widząc to napastnicy, cofnęli się. Słyszeliśmy głos Linka: zapalić! Z czterech węglów buchnął naraz płomień, a dziatki — czworo dziatek spało jeszcze!... Za godzinę runął dach, a gdym oczy otworzył, leżałem na śniegu pokaleczony, a przedemną dymiła się kupa gruzów... na świecie już nie miałem nikogo z mojej rodziny!... Za kilka tygodni wyszedłem daleko... daleko... szedłem, dokąd mnie oczy prowadziły!

Górnicki odetchnął, otarł pot z czoła i po chwili mówił dalej:

— Znane wam są smutne koleje tułacza! Bez rodziny, bez rodzinnego domku, bez przyjaciół, przechodzi przez świat żyjących, jak cień, jak upiór. Twarz jego odwyknie od uśmiechu, oczy wyschną od płaczu, a usta nauczają się bluźnić Bogu, bluźnić samemu so-

bie.... Ach! wy jesteście szczęśliwi! Wyście nie zaznali tego gorzkiego uczucia, gdy człowiek utraci kąt rodzinny, gdy za kilka srebrników odstąpi ten kawał ziemi, na której żyli jego ojcowie!... O, domku rodzinny! tyś jest jako zdrowie; ile cię cenić potrzeba, ten tylko się dowie, kto cię stracił!...

Twarz opowiadającego okryła się rumieńcem a w oczach jego zamigotał płomień gorączkowy.

— Przeszedłem wiele krajów i narodów. Widziałem, jak dla marnego zysku opuszczają ludzie miejsca rodzinne i przenoszą się za morza. Niczem u nich zagroda ojczysta, a wszystkiem zysk i pieniądzel! U nas zaś czego innego potrzeba do życia. Szlachcie bez dziedzictwa jest jak człowiek, który nie stoi na nogach. Głowa mu się kręci, w sercu mu nudno... bo, jak to mówią, Polak mądry po szkodzie. Świat był tak wielki, tak szeroki, a ja na tym wielkim, szerokim świecie nie miałem ani włóki ziemi, ani garści piasku, ani kropli wody własnej... wszystko było cudze!... O, wy szczęśliwi! wy posiadacie część téj ziemi rodzinnej, część jéj wód i jéj kwiatów, a jam ją puścił z rąk, jak syn marnotrawny!

Major westchnął głęboko, a ksiądz Maciej posunął krzesłem, aby to westchnienie zagłuszyć. On chciał staremu Dębiczowi dać jeszcze tych kilka chwil szczęśliwych.

Po chwili wytchnienia mówił Górnicki dalej:

— Wreszcie rzekłem sobie: Za złotem idzie dzisiaj świat cały, pójdę w kraj złota. I zapłynąłem do Nowej Holandyi. Za kilka tygodni byłem szczęśliwy. Wykopałem bryłę złota, wszyscy wychodźcy zazdrościli mi jéj. Położyłem ją przed sobą i ległem koło

niej jak głodny pies koło kości. I myślicie, żem był w istocie szczęśliwy?... Nocą położyłem ją pod głowę i usnąłem. Miałem jakiś sen straszny. Otworzywszy oczy, ujrzałem nad sobą nóż jakiegoś wychodźcy. „Czego chcesz odemnie?“ zapytałem dosyć obojętnie. — „Daj mi twoje złoto!“ — rzekł tenże do mnie. I wyjąłem bryłę z pod głowy i rzuciłem mu pod nogi. Czy myślicie, że byłbym to samo uczynił, gdybym zamiast tego złota miał jedną skibę z obszaru Mogił pod głową? Opuściłem kraj złota i rzekłem do siebie: Pójdę do mego kraju, ujrzę ten domek rodzinny, ujrzę te pola, które uprawiał pług ojców moich, te drzewa, sadzone ręką pradziada! Tam w ich cieniu prześnię kilka chwil szczęścia, kilka łez poświęcę pamiątkom ojczystym i umrę!

Grobowe milczenie panowało w sali. Cierpienia biédnego tułacza wzruszyły wszystkich. Major tylko patrzył tak martwym wzrokiem przed siebie, jakby wcale nie wiedział, co się w koło niego dzieje. A ksiądz Maciej kręcił się na krześle, jakby się czego niecierpliwił.

Po chwili rzekł Dębicz:

— Dziedzictwo ojczyste jest to *conditio vitae* każdego prawego szlachcica. Widzimy w dziejach naszych, że dzieci wracały na powrót do dziedzictwa, które ojciec lub dziad z ręki wypuścił. Niestłumiona żądza parła je do tego. Szlachcic jest podobny do zwierza, który wypłoszony przez psy, wraca zawsze na miejsce swego legowiska. Otoż obowiązkiem jest naszym trzymać się tego dziedzictwa, a mianowicie my na kresach.

Tu spostrzegł się staruszek, że podobna materya

Górnickiego rozzala, a chcąc rozmowę na weselszy tor przenieść, rzekł zwrócony do drzwi:

— Coś tam Jakób strasznie we drzwiach się wierci... niezawodnie ma dla nas jakąś nowinę!

Mietlica ucieszył się, że go przecież obaczono. Przystąpił do Górnickiego, dotknął się ze czią jego kolan i właśnie chciał coś bardzo ważnego powiedzieć, gdy go uprzedził służący domowy. Opowiadał on krótko i węzłowato, jak jakiś czarny jeździec na koniu porwał kogoś z zamku tego wieczoru, jak mu to przed chwilą szepnął do ucha Mietlica. A gdy jeszcze kilka podobnych waryatów tu i owdzie opowiedziano, okazała się cała sprawa tego czarnego rycerza tak zagmatwana, że Mietlica kilka razy musiał swoją powieść powtórzyć, co jednak jeszcze gorsze sprawiło w niej zamieszanie.

Najprzód zaczął Mietlica od prochu i Paliwody, wszedł na obwieszczenie licytacji domku zégarmistrza, przyczém nawet kilka łez otarł, a skrésiwszy krótko swoją fatalną audyencyą u margrabiego, doszedł do wieczora, gdy w ciężkim smutku swoim błądził po Dąbczynie i koło zamku się kręcił, szukając jakiegoś conceptu, aby domek zégarmistrza ocalić. A gdy jeszcze raz tę powieść powtórzył, dodał, że to była panna Janina i że za uciekającym jeźdzcem wyraźnie czuł smolę i siarkę. Spojrzawszy lękliwie na Zuzannę, dodał, że to był ten sam jeździec, który wtedy w tutejszym ogrodzie...

— Stary Jakób miéwa przywidzenia—przerwała mu Zuzanna, której twarz jednak trochę zbladła.

Ksiądz Maciej rozkręcił szybko tabakierkę i odkrząknął głośno.

— A wszak jest i nasz doktor — zawołał stary Dębicz — on nam coś o Dąbczynie powie... Ale czemuż to tak późno przychodzisz, i to po raz pierwszy po słabości!

— Chorzy stanęli mi w drodze — odparł Jerzy, ściskając za ręce znajomych i witając się z gospodynią. — Spóźniłem się, chociaż szedłem z wielką i smutną nowiną!

— Ach, tych mamy dość! — westchnął staruszek — a ja chciałem dzisiaj być szczęśliwy!... Co za nowina?

— Margrabia sprzedaje Dąbczyn... już przedugodna umowa zrobiona!

— Dąbczyn! — krzyknął staruszek — Dąbczyn! a komu?

— Warnerowi, który rozdzielić ma folwarki między kolonistów.

— A cóż margrabiego do tego skłania?

— Bankructwo!

Stary Dębicz siedział przez chwilę spokojny, jakby wcale nic nie słyszał. Potém ożywiła się twarz jego, rzewny wyraz wystąpił na niej.

— Jest nas o jednego mniej — rzekł z boleścią — kawał ziemi polskiej urwał się z ładu i utonął!... Oto ten dworek jest dzisiaj ostatnia straż narodu... Tadeuszu, pamiętaj... ostatnia straż!...

A otarłszy łzy z oczu, mówił dalej:

— Héj, Dąbczyńscy! kasztelanowie grodzczy! Mój mocny Boże!... Lecz cóż ja słyszę? Muzykę?... Tadeuszu, każ przestać... wieść taka powinna być żałobą narodową!... Dobra noc wam, niech mnie zatoczą do

mojej izdebki... chcę być sam... chcę się modlić do Boga...

Smutek malował się na twarzach obecnych.

Gdy Dębicza z sali wytoczono, zbliżyła się Zuzanna do Jerzego i cichym rzekła głosem:

— Opowiadanie Mietlicy niepokoi mnie. Zapewnie będziesz pan potrzebnym w zamku, jeżeli się tam co stało. Każ sobie pan konie zaprzęgać i donieść mi pan, bo jestem mocno niespokojna.

— Nim odjadę — odparł Jerzy — pozwoli pani, że zbadam wprzód jednego pacyenta, który jest wśród nas.

Rzekłszy to, przystąpił do Górnickiego, który siedział z wypieczonemi rumieńcami na policzkach i prawie był bezprzytomny.

Pomówiwszy z nim chwil kilka, zwrócił się do Zuzanny i rzekł:

— Niech się położy i wypocznie. Choroba tęsknoty przesila się... może nastąpić gorączka nerwowa.

Zuzanna załamała ręce, a Jerzy wybiegł z sali, bo jakieś smutne przeczucie ciągnęło go do zamku. A drugą stroną sieni przesunęła się właśnie jakaś ciemna postać i z cicha weszła do izdebki starego Dębicza.

Był to Link.

Jerzy nie widział go, bo całą duszą swoją był już w Dąbczynie, o którym tak dziwne rzeczy opowiadał Mietlica.

Przed kilkoma godzinami, gdy się to w Czarnowodach działo, było cicho i smutno w zamku dąbczyńskim. O zachodzie słońca wyjechało z bram kilka powozów. Nikt jednak w mieście nie wiedział, kto był w tych powozach i gdzie one pojechały. Po ulicy miasta chodził Otton smutny i zamyślony. Ojca nie zastał, bo ten odjechał do Mogił, aby rozpocząć fabrykę obejrzyć. Margrabia kazał go przeprosić, bo był zatrudniony, a damy także nie były do widzenia. Biedny młodzieniec cierpiał wiele. Tysiączne myśli przychodziły mu do głowy, a żadna z nich nie zbliżała do szczęścia. Więc sam nie wiedząc co czyni, wałęsał się po mieście i z wszystkich stron je obchodził. A gdy się zmięrzchać poczęło, odważył się zbliżyć do zamku, aby choć w te okna patrzeć, które zamykały całe szczęście jego życia.

I tak obszedł zamek kilka razy do koła i właśnie mijał fosę ogrodu, gdy w krzaku akacyi zobaczył coś błyszczącego. Przystąpił bliżej — był to człowiek; zajrzał mu w twarz i zawołał:

— Fryderyk!

— Pst!—odrzekł zagadnięty i położył palec na ustach.

Był to jeden z tych przyjaciół Ottona, których widzieliśmy u niego, gdy się miał strzelać z panem von der Mark.

— Na miłość Boga, co tu robisz? — krzyknął Otton.

— Jeśliś ciekaw bardzo—odparł z flegmą amator lanzasów — to chodź kilka kroków dalej, a opowiem ci.

Dziwny niepokój opanował Ottona. Postąpił kilka kroków w milczeniu.

— Musisz widzieć — zaczął cichym głosem lanzas — że pan von der Mark, który już zdrów jest jak ryba, wyprawił wielkie polowanie u siebie. Popiliśmy się do stu katów! Same garsony, co się zowie! Mówiło się to o tém, to o owém, a więc i o kobietach. Von der Mark był tego zdania, że do „amours passageres“ nie ma jak Polki, że każdą Polkę można brzękiem ostróg dragonskich i wąsami „en hussard“ oderwać od domu, od męża, od dzieci i jak kozę solą, zaprowadzić na koniec świata! A gdy temu jeden i drugi się sprzeciwił, utrzymując, że prędzej można Niemkę sentymentem opanować, jak Polkę ostrogami zdobyć, von der Mark zapalił się, broniąc swego zdania; a że w głowie wszyscy już sporo mieliśmy szumu, więc von der Mark dał w obec wszystkich słowo honoru, że jeszcze dzisiaj wykradnie z zamku córkę margrabiego.

— Co mówisz! — zawołał Otton, a serce zadrżało mu w piersi.

— To było głupstwo, wielkie głupstwo — mówił dalej lanzas — i awantura niepotrzebna. Ale cóż robić, słowo honoru, w głowie szumiało i ja niepotrzebnie w to wlażłem!

— I ty, mój przyjaciel, ty dałeś rękę przeciw tak godnemu domowi — przeciw mnie?

— No, wybacz przyjacielu... dałem słowo honoru, że w tej wyprawie towarzyszyć mu będę... głupia, piramidalnie głupia wyprawa... ale cicho, bo słyszę szelest, odejdz!

Otton stał chwilę, jak przykuły do ziemi, potem ocknął się nagle i pobiegł w ciemną aleję ogrodu.

W alei ujrzał stojącego mężczyznę, owiniętego szerokim płaszczem. Skrył się za drzewo, aby być świadkiem sceny, która nadzieję jego nagle zniszczyć miała.

I nie długo czekał. Od zielonego pawilonu wyszła zwolna jakaś postać kobięca w bieli ubrana. Szła chwiejnym, niepewnym krokiem, ręce wyciągała naprzód i tuliła je potem do piersi, jakby jakieś mary chciała przycisnąć do serca. Nagle zbliżył się do niej mężczyzna w czarnym płaszczu. Coś przemówił do niej z francuzka, wziął ją za rękę, przytknął do niej usta, a kobięta zarzuciła białe ramiona na jego szyję i przycisnęła się do jego piersi.

Biędnemu młodzieńcowi znikło wszystko z przed oczu... księżyc i gwiazdy pogasły na niebie, a w koło niego była noc... czarna noc. Gdy po chwili przyszedł do siebie, już nie było w alei ani białej kobięty, ani czarnego rycerza, tylko jakiś śmiech szyderczy, okropny został po nich i brzmiał w uszach nieszczęśliwego kochanka. Otton potarł ręką po czole, gwiazdy i księżyc świeciły znowu na niebie. Obejrzał się w koło i pobiegł szybko w kierunku, gdzie jakiś szelest usłyszał.

Na końcu alei stały dwa konie osiodłane. Na ręku mężczyzny leżała pochylona biała postać kobięty. On ją wzywał do przytomności i zaklinał ją, aby się opamiętała. W tej chwili przybiegł Otton.

— Precz, niegodziwy człowieku!—zawołał przy tłumionym głosie—precz od niej...

Junkier spojrzał zdziwiony na młodzieńca, pomyślał chwilę, radośny uśmiech strzelił z jego oczu.

— Ah! przepraszam!—odrzekł spokojnie—uprzedziłem pana... proszę mi darować... a za słowa niegrzeczne...

— Jestem zawsze na rozkazy.

— Cieszę się z tego... a tymczasem oddaję w pańskie ramiona piękną dziewczę, która, jak pan widzisz, już przygnęła do mnie.

Kobięta w samą rzecz objęła ramię swego rycerza i z trwogą patrzyła na młodzieńca. Ale rycerz zgrabnie wywinął się z objęcia kobiety, a złożywszy ją w raniona szczęśliwego młodzieńca, siadł na konia, Lanzas na drugiego i obaj czwałem wybiegli z ogrodu.

Młodzieniec drżał cały i z zachwyceniem wpatrywał się w twarz omdlałej kobiety. Księżyc zaszedł właśnie za chmury... w alei było ciemno.

— Uspokój się pani—błagał głosem serca — jesteś bezpieczną, niegodziwy człowiek już odszedł!

— Jam go tak kochała!—mówiła jakby przez sen kobięta.

Bryła lodu wpadła w serce młodzieńca.

— On pani nigdy nie kochał!—jęknął nieszczęśliwy.

— On mnie nie kochał? — krzyknęła dziwnie zmienionym głosem kobięta.—On mnie nie kochał?... A któż mnie kocha!

— Ja cię kocham, tyś skarbem duszy mojej!—zawołał młodzieniec w ekstazie.

Kobięta podniosła się z ramion nowego swego rycerza i spojrzała uważnie w twarz jego.

— To ty, Ottonie, kochasz mnie?—zawołała po chwili—a jam myślała, że on... o! daruj mi, daruj... moje serce chore, tak chore!...

Mówiąc to, zarzuciła mu na szyję ramiona i gorące, spiekłe usta swoje przytknęła do jego ust... Ale snąć nie chciało przeznaczenie, aby biedny młodzieniec użył w téj chwili rozkoszy, do której tak gorąco wzdychał! Księżyc bowiem wyjrzał z za obłoku i siem światłem oświecił twarz kobiety. Była to Terenia, biedna idyotka.

Młodzieniec zadrżał z przestachu, a białe ramiona biednej sieroty tém silniej przyciskały go do siebie.

Od zielonego pawilonu okazały się liczne światła. Biedny młodzieniec stał na miejscu, ofiara tak dziwnego przypadku. Idyotka nic nie wiedziała... była szczęśliwą. Może tylko ta uludna chwila szczęścia była przeznaczona biednej sierocie?...

Światła zbliżały się coraz więcej. Otton wziął Terenię pod ramię i sam zbliżył się do szukającej. Wszyscy patrzyli z zadziwieniem na tak szczególne zjawienie. Ale młodzieniec nabrał nagle odwagi i kazał się zaprowadzić do margrabiego.

Margrabia zadziwił się nie mało, widząc Terenię w takim towarzystwie. Zmarszczył brwi i urażony spojrzał na Ottona. Ale Otton dał mu znak, aby Terenię odprowadzono do jej sypialni. Biedna sierota drżała cała i była jakby w obłąkaniu.

Gdy Otton sam na sam z margrabią został, opowiedział mu wiernie całe zdarzenie. Ale margrabia wierzył i nie wierzył, a ciągle miał czoło zachmurzone. Prosił wprawdzie syna negocyanta, z którym tak wielki miał interes, na herbatę, ale był małomowny i zamysłony. Przy końcu wszedł Jerzy. Margrabia i Otton opowiedzieli mu całe zdarzenie. Jerzy odwie-

dził sierotę, która właśnie w gwałtownej leżała gorączce i wiele o swoim szczęściu mówiła.

Wróciwszy do salonu, rzekł do margrabiego:

— Szczególne to zdarzenie jest bardzo naturalne. Panna Teresa choruje na pragnienie miłości i przywiązania. Są to zwyczajne choroby sierot. W tej chorobie stworzyła sobie mary i ugania za niemi. Pierwszy człowiek, którzy w tym paroksyzmie do niej się zbliży, posiedzie serce i całą jej duszę!

— Dla takich serc chorych klasztor tylko jest asylem — odrzekł margrabia sentencją Hamleta. — Klasztor, albo wieczna uluda waryatów.

Jerzy i Otton spojrzeli po sobie i westchnęli. Janiny już nie było w Dąbczynie.

V.

Nazajutrz rano krwawo wzeszło słońce nad dwor-
kiem w Czarnowodach. Zuzanna już od świtu
miała oczy czerwone z płaczu, major chodził siny
jak bez i łamał ręce. Górnicki leżał w gorączce
i śnił o swoim domku rodzinnym. Służba snuła się
milcząca i smutna.

Major kilka razy podsunął się na palcach pod
drzwi Dębicza, ale tam było głucho jak w grobie. Był
to dzień, w którym miała nadejść obwieszczona w ga-
zecie subhasta. Nie można było odwlekać. Uradzo-
no posłać po księdza Macieja i Jerzego, bo jeden dla
duszy, drugi dla ciała mógł się stać potrzebnym.

Jerzego przeraziła ta wiadomość. Ksiądz Ma-
ciej przyszedł z modlitwą na ustach, której jeszcze nie
dokończył. Usiedli wszyscy w pokoju majora, ale nikt
nie ośmielił się przemówić. Milczenie ich było wy-
mowne, było straszne. Zdawało się, że ci ludzie go-
tują się do jakiegoś pogrzebu i niecierpliwie wyczeku-
ją skonania.

Wreszcie wysunął się major na kurytarz i wrócił

z przestraczem na twarzy. Stary Dębicz zawołał służącego. Już bliska była chwila okropna!

Staruszek był jakoś dzisiaj w niezwykłym usposobieniu. Przyniesioną kawę odesłał, mówiąc, że jej pić nie będzie. Potem modlił się dłużej niż zwykle. Po odbytych modłach kazał sobie przynieść żupan białły, jedwabny kontusz orzechowy, pas złoty i czapkę białą aksamitną z popielatym barankiem. Wszyscy ze zdziwieniem spojrzeli po sobie, ale nikt słowa nie powiedział.

Wreszcie o godzinie wpół do dziewiątej kazał przywołać księdza Macieja i oznajmił mu, że się chce spowiadać. Potem przywołał Zuzannę, oraz majora i pytał ich, czy nie mają do niego jakiego gniewu. To samo uczynił z wszystkimi domownikami.

Wszystko to odbyło się w głuchym milczeniu. Nikt nie miał odwagi zapytać go o powód tak nagłej spowiedzi. Smutek i trwoga ścisnęły im usta.

Wreszcie po ukończonej spowiedzi prosił wszystkich do siebie. Zuzanna, major i Jerzy weszli w milczeniu; ksiądz Maciej kończył właśnie swoje modlitwy, a w jego oczach, do nieba wzniesionych, błyszczały dwie łzy.

Stary Dębicz był bledszy jak zwykle, ale twarz miał spokojną. Rzewny uśmiech igrał koło ust jego, a w oczach malowała się jakaś błoga cisza po przebytych boleści. Nie mógł długiej powstrzymać wzruszenia swego biedny major. Przystąpił do krzesła, wziął rękę staruszka i oblał ją łzami. To samo uczyniła z drugiej strony Zuzanna.

Staruszek z jakąś wzniosłą radością patrzył na oboje. Powoli zakręciły się dwie łzy w jego oczach.

— Wstańcie, dzieci moje!—zawołał drżącym od wzruszenia głosem — wstańcie i pójďte do moich piersi.

Przycisnął oboje do siebie i ucałował ich głowy.

Major w głos się rozplakał. Staruszek uśmiechał się słodko, a położywszy rękę na jego ramię, rzekł:

— Cyt! Tadeuszu, nie bądź dzieckiem! Stało się... rozpacz nie zbawi nas.

Wszyscy spojrzeli z zadziwieniem na staruszkę, który uśmiechając się, mówił dalej:

— Byłeś nieraz komendantem i kazałeś kolumnie iść do szturm. Czy gniéwałś się na tych, którzy pokaleczeni bezskutecznie wracali... lub na tych, którzy pod ciosem polegli?—dodał z wyrazem smutku na twarzy.—Żądamy od ludzi wiele, ale nie trącamy ich nogą, gdy wśród drogi upadną! Tadeuszu, bądź mężnym... oto kobieta stoi przy twoim boku, która twojej potrzebuje podpory!

Milczenie głębokie panowało w izdebce. Nikt nie miał odwagi ust otworzyć. Tylko łkanie majora i Zuzanny przerywało tę ciszę, tylko tabakierka księdza Macieja skrzypiała smutno.

Po chwili ozwał się znowu staruszek:

— Był wczoraj u mnie agent Warnera. Chciał imieniem swego pryncypała traktować ze mną o kupno Czarnowód i Radziejewa.

Tu się zatrzymał staruszek. Widać było po nim, że walczy wewnątrz z wielką boleścią. Spokojnie mówił dalej:

— Powiedziałem mu, że za żadne pieniądze obcemu kolonistcie majątku nie damy, że wolimy niżej ceny sprzedać rodakowi... Zostawił mi spis ciężących

na tym majątku długów i kopią wyroku sądowego. Rzecz jasna, nie ma ratunku. Jesteśmy narodem ryckim, zwalczą nas spekulanci.

Znowu nastąpiła długa pauza. Ksiądz Maciej już w duchu cieszył się, że staruszek z takim pokojem przyjął nieszczęście, ale Jerzy z widoczną trwogą patrzył na niego. Jeden widział mocnego ducha, drugi słabe ciało.

— Otóż to ci tylko powiem jeszcze, Tadeuszu, abyś ten majątek rodakowi do rąk oddał... niech ja spokojnie śpię w grobach ojców moich!

To rzekłszy, prosił wszystkich, aby go samego zostawili. Jerzy sprzeciwił się temu, ale staruszek miał twarz tak spokojną, tak z każdą chwilą stawał się weselszym, że wszyscy przemogli Jerzego i z izdebki wyszli.

W pokoju majora czekał jakiś szaraczkowy jegomość. Miał surdut długi z szaraczku, głowę łysą, twarz chudą, kościstą, na której migotało dwoje ukośnych oczu.

— Jestem Dyonizy Czerepańkowski — rzekł do majora — jurysta z profesyi, do usług pana dobrodzieja. Dowiedziawszy się w sądzie, że Radziejewo cum attinentiis na subhastę wystawiono... pośpieszyłem do pana dobrodzieja, aby w tym względzie jakie słowo pomówić.

— Czegóż pan żądasz? — zapytał major.

— Bo to widzisz pan — mówił dalej staruszek — u nas jest to teraz rzeczą nader ważną, kto ziemskie dobra posiada. Kolonistom bowiem nie chodzi o dobro kraju, tylko o zysk.

Major omal, że się nie rzucił w objęcia palestran-

ta. Anioł boży mógł tylko w tej chwili przyprowadzić tego człowieka.

— Otóż słuchaj pan dobrodziej. Uciulałem sobie z wielkim mozolem nieco grosza. Własną pracą dorabiałem się, bo jakkolwiek z dobrej szacheckiej pochodzę rodziny, jednak ubogi przyszedłem na świat. Otóż zważywszy te wszystkie rzeczy, zechce pan dobrodziej mi powiedzieć, czy nie mógłbym tak ciepłą ręką tentować kupna?

— O, mój panie!—zawołał major — prawdziwą przysługę czynisz nam, bo my pod żadnym warunkiem obcemu kolonście nie chcemy powierzyć tej ojczystej gleby, tego pocziwego ludu.

— To już wszystko dobrze, panie dobrodziej... u mnie chudzizna—kolonista dałby więcej — a ja... ot więcej dla przywiązania do naszych pamiątek to czynię...

Ale major nie dał pocziwemu dokończyć, tylko chwycił go za rękę i zaprowadził do izdebki Dębicza.

Staruszek porządkował właśnie swój poemat o Stefanie Batorym. Brakło mu kilku pieśni do końca.

— Patrz, nie dośpiewałem — mówił do księdza Macieja, który wraz z majorem przyszedł — tchu mi zabrakło.

A dowiedziawszy się, o co chodzi, uścisnął rękę szaraczka i z widocznym ukontentowaniem z nim rozmawiał. O cenę nie było targu, chodziło tylko o pokrycie długów.

Po chwili rzekł Dębicz do szaraczka:

— Tylko ja chciałbym zaraz to zakończyć, bo mi jakoś spieszno.

Jerzy zadrżał na te słowa, a ksiądz Maciej

uśmiechnął się, że staruszek tak prędko dobry interes chwytą.

Dyonizy Crerepańkowski miał jakoś wszystko przy sobie, i wykazy i dokumenta, a będąc inrystą, jednym zamachem napisał kontrakt, który Jerzy i ksiądz Maciej jako świadkowie podpisali. A jako człowiek uczciwy, dobił zaraz trzosa, małą zwyżkę, która od długów pozostała, na stole położył i wszystkich uprzejmie pożegnał.

Staruszek był jakoś weselszy po tym akcie, mówił o Dąbczynie, żałował, że hrabia Leon w tak krytycznej chwili odjechał, potem przeszedł na Augustyną i mówił długo o jego wyznaniach. Ale w głosie staruszka było coś nienaturalnego, jego uśmiech był czasem tak bolesny, jakby go wewnątrz kto za serce szarpał.

W południe przyjechał sąsiad, ubolewał nad nie szczęściem Czarnowód i wymówił nieuważnie, że Warner nabywa ten majątek za pośrednictwem niejakego Czerepańkowskiego. Major zbladł, Zuzanna zapłakała, ksiądz Maciej uciekł prędko do swojej tabakierki, a Jerzy z trwogą patrzył na twarz staruszka.

Po twarzy staruszka przemknęło uczucie boleści, ale wnet wypogodziło się jego oko, jego usta poczęły się znowu uśmiechać.

— I cóż pomożesz — ozwał się do majora — oni i na nasze cnoty spekulują i na nich zarabiają!

Potem wszystkich wyprosił od siebie i długi czas sam był w izdebce.

W południe wypił filiżankę rosółu i kazał krzesło swoje toczyć przez wszystkie pokoje. W każdym kącie zatrzymywał się chwilę i mówił do obecnych:

— Na to nie ma ceny!... To można tylko sercem widzieć! Tanio sprzedaliśmy domek ojczysty.

W sali przed drzwiami zatrzymał się i rzekł do Zuzanny:

— Widzisz Zuzienko ten szczerb na tych od drzwiach? Ach, to było tak dawno! Byłem dzieckiem i bawiłem się w króla Bolesława. Uderzyłem blaszanym pałaszem!...

Potem wytoczono go na dziedziniec. Oglądał drzewa i o każdym coś powiedział. Wszędzie miał pamiątki staruszek. Wiedział, którego dnia jakie drzewo sadzone. A w twarzy jego był taki spokój głęboki, taka pogoda duszy, że wszyscy, prócz Jerzego, cieszyli się, że staruszek tak łatwo przeboleł tak wielkie nieszczęście.

Wreszcie kazał się zatoczyć do ogrodu, naprzeciw kościoła bożogrobców. Niebo wypogodziło się, jasne słońko świeciło na ziemię. Wody jeziora były czyste i spokojne. Staruszek patrzył na nie z uśmiechem wewnętrznej rozkoszy.

Nagle zmarszczył brwi. Przy kościółku snuli się jacyś robotnicy z różnymi narzędziami. W dali stał lud zgromadzony.

— Cóż to jest?—zawołał starzec i pokazał ręką na ruiny klasztoru.

— To robotnicy z fabryki — odparł ksiądz Maciej.—Kosciółek groził upadkiem, więc nakazano go rozebrać. Warner zakupił materyał z niego.

— Z domów bożych stawiają fabrykil—zawołał staruszek i westchnął.

Po chwili ozwał się znowu:

— Patrz, księżu Macieju! Już krzyż pod młotem upada!... Czemuż to nie miało się stać jutro?...

Otarłszy łzy z oczu, rzekł:

— Już pójdę, bo mi tu duszno... A ty, Zuzienko; nie czujesz tego pyłu z domu bożego?

Ksiądz Maciej spojrział na Zuzannę, która z wielkiem wzruszeniem mówiła:

— Czuję, drogi drogi dziaduniu, czuję! Ten obraz Matki bolesnej cudownie uzdrowił mnie, gdy byłam w wielkiem utrapieniu. Odtąd zwykłam codziennie na „Ave Maria“ przed nią się modlić.

Ksiądz Maciej zamyślił się, ale staruszek przerwał mu, mówiąc:

— Księżu Macieju, nie opuszczaj mnie dzisiaj. Zaprowadzisz mnie do grobowca Dębiczów. Dawno już tam nie byłem.

Wszyscy sprzeciwiali się temu; ale staruszek błagał, aby jego woli zadość uczynić.

Groby Dębiczów były w piwnicy pod małą kapliczką, która stała na najwyższym punkcie w okolicy. Ostrożnie zanesiono tam staruszką w krzesło. Długo czas był w kaplicy i gorąco się modlił. Poczém kazał się spuścić do grobów.

Każdą trumnę oglądał i o każdym Dębiczu opowiadał coś ciekawego. Wszyscy słuchali go ze łzami... jakieś dziwne przeczucie opanowało serca wszystkich.

Już się prawie zmierzchać zaczęło, gdy jakiś szmer głuchy doszedł z daleka. Jerzy wyjrzał oknem i zobaczył liczne światła przy kościółku bożogrobców. Stary kucharz nadbiegł z wiadomością, że lud okolicz-

ny zgromadził się w kościółku, pozapalał ofiarne świece i robotników z fabryki poodpędział.

Rozjaśniła się twarz staruszka i wszystkich obecnych.

Staruszek mówił:

— Wiara jest to klejnot ludu. Mędrcy chcą go zbawić swoją teorią, a nie wiedzą, że to wszystko jest w wierze. Dla tego tylko wiarą trafisz do niego!

Jerzy zamyślił się głęboko. Od wód jeziora zabrzmiała pieśń „Bogarodzico dziewico“. Staruszek słuchał chwilę z uśmiechem na twarzy, a potem rzekł:

— Stara to pieśń nasz! Tę pieśń śpiewali nasi ojcowie przy każdej uroczystości!

Nastąpiło długie milczenie. Wszyscy słuchali z rozrzewnieniem tych pięknych, chóralnych głosów. Staruszek spuścił głowę i zdawał się zasypiać. Nagle podniósł się w górę i zawołał:

— Co tam za światło?... widzicie? Aniołowie zstępują z nieba... słyszyście ich hymn niebieski?... Jak miły, jak słodki... dusza się rozplywa... płynie w błękitne podwoje niebios...

I zamilkł, jakby nagle usnął.

Krzyk przerażenia rozległ się po ciemnych ścianach. Wszyscy rzucili się do Jerzego, aby go ratował. Ale Jerzy stał na miejscu i nie ruszył się.

Po chwili rzekł:

— Serce pękło!

Przeszła noc straszna i okropna, nastąpił dzień pełen łez i boleści. Żałoba i niema rozpacz ścisnęła wszystkim usta. Poglądano tylko po sobie, ale nikt

słowa nie powiedział. Górnicki w coraz gorszą zapadał gorączkę. Jerzy i ksiądz Maciej nie odstępowali smutnych i strapionych. A nad wodami jeziora coraz liczniejsze wznosiły się głosy; coraz więcej z okolicy zgromadziło się ludu, zapalono świece, zbierano składki na odbudowanie kościołka. Staruszek z twarzą spokojną leżał na katafalku i zdawał się uśmiechać, słysząc pieśń „Bogorodzico-dziéwico“....

Inaczéj mijał ten dzień w Mogiłach. Robotników moc, krzyk i hałas, kupy kamieni i cegieł, jakby drugi Babilon budowano. Już kilka kominów, wysokich jak wieża, wznosi się po nad ziemię, a z jednego buchają białe kłęby pary, jak z czeluści piekła. Jest to pierwszy oddział fabryki, przerobiony z dawnego dworu.

Szczęśliwy negocyant obchodzi warsztaty wszystkich rzemieślników i zaciera ręce, że robota tak szybko postępuje. Liczy w duchu ogromne zyski i śmieje się z dwóch bankrutów, których tak zgrabnie w łapkę złapał i krew z nich wyssał. Liczy intraty Radziejewa i Czarnowód i rozmyśla na projektami zawiązania wielkiego towarzystwa na akcye, którego celem ma być zakupowanie dóbr większych w Poznańskiem i sprzedaż drobnemi kawałkami. Gdy w dali na widnokręgu ujrzeni wieże Dąbczyna, uśmiecha się do siebie i głaszcze po sercu.

Na obiad przyjechał Otton. Był bardzo smutny i zamyślony. Stary negocyant pogniewał się trochę na niego i powiedział mu, że ma głupie serce, kubek w kubek podobne do nieboszczki matki, która była rodem z Poznania. Później odjechali Walter i Matylda. Negocyant cieszył się nimi, opowiadał im wiele o Ra-

dziejewie i Czarnowodach, które dla nich przeznacza. Przyobiecał za kilka dni zawieść ich do Czarnowód i dobra oddać w ich ręce. Śmiał się ze starego Dębicza, który mu nie chciał dóbr sprzedać, a sprzedał najętemu przez niego palestrantowi o kilka tysięcy talarów niżej ceny.

I tak szczęśliwy, taki wesół był stary negocyant! Opowiadał dzieciom o olbrzymich planach na przyszłość, co za miliony zostawi im pośmierci, jeżeli jeszcze dziesięć lat popracuje na tym padole płaczu. Pogniewały go trochę raporta robotników z klasztoru bożogrobców, że lud nie da im zakupionych przez niego materiałów rozebrać; ale napisawszy do władzy o asystencji, uspokoił się i wnet przy swoich planach górnołotnych zapomniał o téj bagatelce.

Po obiedzie użył przechadzki, rozmawiał z dziećmi, a gdy się zmierzchać zaczęło, odszedł do swojej kancelaryjki, tymczasowo urzędzonej, w której miał jeszcze tego dnia poczynić niektóre ekspedycje w interesach bankierskich.

Już dobrze było z wieczora, gdy maszynista dał mu znać, że właśnie na próbę puszczone w ruch ogromne koło zębate, którego przeznaczeniem było rozdzielać włókna lnu na małe strzępki.

Negocyant zamknął stolik i poszedł za maszynistą długim, ciemnym kurytarzem. Zeszli po schodach do podziemnego sklepienia, w którym widną była część téj ogromnej, piekielnej maszyny!

Widok tego ruchu, przy którym żadnej ludzkiej ręki nie było widać, miał w sobie coś przerażającego. Jakaś tajemna siła poruszała te koła olbrzymie. Mrowie przeszło po ciele negocyanta. Maszynista posta-

wił światło na ziemi i odszedł na piętro, aby tam coś poprawić. Negocyant sam jeden został w podziemiu. A w koło niego wszystko się ruszało i żyło, a przecież nie było ani żywego ducha!

Jakaś dziwna trwoga opanowała jego duszę. Światło, wychodzące od ziemi, tak dziwnie oświecało te koła olbrzymie i nieustannie się krzyżujące!

W tém ktoś wszedł po schodach. W pół cieniu poznał negocyant swego rudego satyra. Jakieś nieprzyjemne uczucie wstrząsło nim.

— Co jabym dał za to — pomyślał sobie — gdyby te satyry i karyatydy z mego domu znikły. One mi zatruwają życie!

I w samą rzecz Link wyglądał dzisiaj jak prawdziwy satyr. Twarz miał mocno czerwona, kapelusz na bakier, ubiór powalany, a usta wykrzywiły się jakimś szatańskim uśmiechem.

Oddawszy pokłon pryncypałowi, rzekł do niego głosem niezwykłym:

— Wielkie dzieło skończone... współpracownik spodziewa się sowej nagrody.

Dziwnym wydał się ten ton negocyantowi. Wstrząsł się z gniewu, ale nic nie powiedział.

— Z Czerepańkowskim skończono... wziął odstępnego tysiąc.

— Dobrze... czegoż stoisz... czego chcesz.

— Czego ja chcę? — odparł Link, a woń wódczana buchnęła na całe podziemie — hml! czego ja chcę?.. Ja chcę być porządnym człowiekiem. Chcę pić dwa razy na dzień kawę, jeść pieczeń cielecą z mieszaną sałatą, palić cygara z Hawanny, chodzić w długim

kapotroku à la mode, i czytać codziennie „Kreuzzeitung“. Już mi się sprzykrzyło to psie życie!

— Czyś oszalał?—krzyknął negocyant.

— Bynajmniej—odparł spokojnie agent. —Nigdy nie miałem więcej rozumu, jak w tej chwili.

— Nie chcesz już służyć?

— Chcę być „małym kapitalistą“.

— A pieniądze gdzie?

— Będę miał nieśmiertelnych dziesięć tysięcy talarów. To bardzo skromnie. Do tego rentę tysiąc dwieście talarów, to jest tyle, ile potrzeba na porządne życie: na kawę, pieczeń z mieszaną sałatą, kapotrok, Havanna i „Kreuzzeitung“.

— A gdzie masz te pieniądze?

— W żelaznej skrzyni kantoru „Goliat et Compagnie“... bardzo dobrze ulokowane.

— Pijaku, upiłeś się!—krzyknął w złości negocyant!

— Ależ nader rozsądnie mówię! Co? tysiąc dwieście renty dożywotniej i dziesięć żelaznego funduszu!

Stary negocyant wstrząsł się ze złości, przystąpił do agenta i chwycił go za klapę surduta.

— Pijaku! Co mówisz! Idź, aby nikt głupiej mowy twojej nie słyszał!

Agent odparł z wielkim spokojem:

— Dotąd nikt naszej mowy nie słyszy. Jesteśmy w piwnicy i koła do tego warczą. Nawet obaj powinniśmy sobie życzyć, aby nas nikt nie słyszał!

Jakaś dziwna myśl przebiegła przez głowę ne-

gocyanta. Odsunął się od olbrzymiego koła i podejrzliwem wejrzeniem zmierzył pijanego agenta.

— Idź precz!—rzekł do niego dziwnym głosem.

— Tak, teraz mam iść precz, gdy pieczeń gotowa? — odparł agent, zataczając się aż pod same koło.

— Milcz, pijaku—krzyknął negocyant i cały poczerwieniał.

— Właśnie dla tego, abym milczał, chcę dziesięć tysięcy żelaznego funduszu ze skrzyni żelaznej i tysiąc dwieście renty.

— Łotrzel! Ja ci dam dożywocie w kryminale!—wołał chrypliwym głosem negocyant.

— To ja łotrem, a ty, stary szachraju, czém jesteś?—krzyknął oburzony agent, aż piana usta mu okryła.—Ja łotr, prawda, bom przysiągł, a któż mi zapłacił za tę przysięgę? Mnie w kryminale źle nie będzie, ale ty—pan milionowy!...

Trupia bladość okryła twarz negocyanta. Podniósł wyschłe ręce, skurczył palce na kształt pazurów i krzyknął:

— Milcz, przeklęty łotrzel! Jutro się rozmówimy!

— Ja zaś mam wielką ochotę dzisiaj interes ukończyć. Chcę już od jutra być porządnym człowiekiem. Tu mam wszystko gotowe, tylko podpisz.

Mówiąc to, sięgnął do kieszeni po papier i tak mocno się zatoczył, że głową uderzył o koło, które obracało się zwolna, ale z ogromną siłą.

Oczy negocyanta zaświeciły dziwnym blaskiem, usta jego zadrżały dzikim uśmiechem.

— Idź precz! —rzekł z cicha: jak człowiek, który walczy z jakąś straszną zmorą.—Idź, łotrzel!

— Ja łotr, ja?—krzyknął wściekle agent — ja, który tylko dla ciebie pracowałem! A ty, który lichwą i naprzód wyrachowaną spekulacją zabijałeś ludzi, sierotom odbierałeś ostatni przytułek... ty mnie łotrem nazywałeś!...

Twarz agenta paliła się, na usta wystąpiła piana. Stary negocyant z piekielnym uśmiechem patrzył na koło, które tylko na kilka cali obracało się od głowy agenta z głuchym szumem. A w podziemiu nie było ani żywego ducha!...

W tém na schodach pokazała się jakaś straszna, blada mara. Negocyant zbladł, kurcz przestachu wykrzywił mu usta. Wyciągnął rękę do widma i krzyknął:

— Górnicki?

— Ha, ha, ha!—piekielnym śmiechem wrzasnął agent, który widmo miał za plecyma—ha, ha, ha! toż i ty już widzisz go! Ja go widuję codziennie, co nocy, rozumiesz, co nocy! O północy przychodzi do mnie i kładzie się na mnie trup, zimny jak lód! brr...

— Precz!—wołał negocyant z obłąkanemi oczyma, odtrącając agenta i marę od siebie.

— Ha, ha, ha! Otóż ze mną łatwiejsza sprawa. Zapłać, a pójdę. Ale on... on nigdy od ciebie nie odejdzie... tak samo jak i odemnie... rozumiesz?... nigdy nie odejdzie!...

Negocyant wyteżył oczy, patrzył na stojącą na schodach marę, a przestrzeń podziemia zaczęła się wypełniać jakiemiś strasznemi marami, które coraz bardziej zbliżały się do niego! W powietrzu latały jakieś gady skrzydlate, plugawe, a gdy oddychał, wciągał je w siebie, w piersi... krew paliła się w nim!...

— Skończmy interes!—wołał agent—zanim się poschodzą wszyscy, których zabiłeś! Za chwilę przyjdzie i Dębicz!...

Na kurytarzu ozwały się jakieś dziwne głosy, wołające:

— Warner, Warner!

Pot śmiertelny wystąpił mu na czoło.

— Słyszysz?—zawołał z szatańskim śmiechem agent—to oni przychodzą!

— Milcz!—wrzasnął w śmiertelnej trwodze negocyant i pchnął ręką przeciwnika.

Pijany agent zatoczył się... ciężka żelazna kolba dotknęła się jego głowy... chwyciła... zgmiotła...

Biała mara znikła nagle ze schodów... negocyant wybiegł na kurytarz. Tam mnóstwo ciemnych postaci cisnie się do niego... chwytają go za poły, wołają po imieniu... negocyant rzuca się jak wściekły i ucieka.

Była to deputacya ludu, która chciała kościółek ocalić. Ale negocyant widzi same piekielne mary, słyszy ich dzikie, szalone głosy i ucieka. Skrył się pod krzakiem bzu. A tam widzi ogromne, żelazne koło, widzi krew i tułów bez głowy... widzi mary piekielne. Liście żółkły upadły... negocyant skoczył i dalej ucieka! Obejrzał się po za siebie, a tam z olbrzymiego komina bucha para, a w białych olbrzymich kłębach unosi się ku niebu tułów bez głowy!... Negocyant uciekł, aby to wszystko jak najprędzej za sobą zostawić!

Wyszedł na drogę. Droga ładna, równa, wysadzona topolami. Negocyant idzie tą drogą i macha rękoma, bo coś za nim goni. Wiatr zimny, jesienny,

a jego krew pali się w żyłach. Tam daleko widzi dworek jasno oświecony. Tam go coś ciągnie... tam spocznie i wolen będzie od mar. Zbliża się, patrzy przez okno... a tam... leży Dębicz na katafalku!... Koło niego palą się świece... a tam z daleka od jeziora brzmia jakieś dziwne, stłumione głosy!...

Krzyknął i upadł na ziemię.

Z dworku wybiegli major, Jerzy, ksiądz Maciej i Zuzanna. Poznali negocyanta. Jerzy uratował mu życie, ale rozumu już mu nie uratował. Negocyant obłąkaném okiem patrzył przed siebie.

Wkrótce przybyli Otton i Walter. Opowiedzieli całe zdarzenie. Link przypatrując się maszynie, nieostroźnie zbliżył się do koła i głowę stracił. Na ten widok okropny stracił zmysły biedny negocyant.

Górnicki wrócił z nocnej wycieczki, którą był w gorączce uczynił z tęsknoty za swoim domkiem rodzinnym, ale nic z téj wycieczki nie pamiętał. Mówił tylko, że miał sen okropny.

W kilka dni po tych smutnych wydarzeniach, zgromadzili się osieroceni „spirytualiści“ wieczorem w pokoju majora. Ksiądz Maciej czytał coś z księgi Joba i stosownie do tego czynił objaśnienia. Major uśmiechał się do swoich myśli; zdawało się, że wcale nie uważa na to, co się czyta. Zuzanna, czarno ubrana, siedziała ze złożonemi do modlitwy rękoma. Jerzy stał w najciemniejszym kącie pokoju i był mocno zamysłony.

Wreszcie skończył ksiądz Maciej czytanie, a roz-

mowa przeszła na ostatnie wypadki. Mówiono o kościółku bożogrobców, który od zatruty uratowano. Uczyniono bowiem składkę, kilku obywateli i kilku mieszczan z Dąbczyna zajęli się tą sprawą i uzyskano od władzy pozwolenie restauracyi. Dopiero wtedy odstąpił lud i rozszedł się spokojnie.

Ksiądz Maciej mówił wiele, jaką potęgą jest wiara u ludu. Jerzy z wielką uwagą mu się przysłuchiwał. Jakieś piękne, błogie uczucie rozjaśniło mu twarz.

Major uśmiechał się ciągle do siebie. Zabolało to jakoś księdza Macieja. Zapytał się, o czém teraz myśli, że taki kontent?

— A jużci nie będę taką babą, jak wszyscy jesteście—odpowiedział z uśmiechem.—Trzeba coś robić, o coś się postarać. Wszak za kilka tygodni wypędzą nas z tego domku!

Gdy go ksiądz Maciej zapytał, co robić zamysła, opowiadał długo i szeroko o wszystkich swoich planach, do których już w duchu się uśmiechał. Najprzód zdecydowany był zaciągnąć się do jakiego automatu. Całe swoje nieszczęście przypisał temu, że porzucił zawód wojskowy, w którym spodziewał się dobić jeneraństwa. Bił się tylko z myślami, czy ma się zaciągnąć do jakiego europejskiego potentata, czy popłynąć do Brazylii. Potém był znowu za legią cudzoziemską w Algierze, ale wkrótce i to mu się nie podobalo, wolałby służyć w Hiszpanii. A gdy się wszyscy dziwnie na niego spojrzeli, rozgniewał się, że go mają za starego, za inwalidę, a on jeszcze taki krzepki, taki zdrow! Na dowód tego wyzwał wszystkich, aby się z nim na rękę próbowało.

Humor ten pocziwego majora wszystkich zasmucił. Major jednak rozdał się na seryo, że go uważają za inwalidę. Zaczął mówić o swojej młodości, jak to on umiał pannom głowy zawracać, jak jedna Francuzka szalała za nim, jak książę Józef brał go zawsze ze sobą, bo obaj byli najprzystojniejsi żołnierze w całej armii.

Książd Maciej uśmiechnął się na to, a major tak się tym śmiechem obraził, że aż Zuzanna musiała tę sprawę załagodzić. Ale major nie zapomniał urazy. Mówił, że wprawdzie teraz wygląda trochę na mazgaja, ale temu winne te szmaty cywilnego ubioru. Zapewniał wszystkich, że w mundurze wcale mu lepiej. I aby dowieść tego, poszedł do swojej garderóbki, dobył stary mundur, który starannie przechowywał i od stóp do głowy ubrał się po dawnemu.

Gdy wszedł do pokoju, wyprostował się jak świeca, wyciągnął szyję, spiętą szerokim, włosiennym halsztykiem i począł z marsowym akcentem przechadzać się po pokoju. Pukał po piersiach wysoko sklepionych i gniwał się, że go uważają za niezdolnego do służby wojskowej.

Wszyscy patrzyli po sobie z boleścią. To dziwne zachowanie się majora trwożyło ich.

Wreszcie mówił cichym głosem, że się na wielką wojnę zanosi. Właśnie czytał dzisiaj w gazecie o tém. W takim razie spodziewał się, że się w jakim autoramencie umieści i jeszcze do wysokich dosłuży stopni.

Zuzanna ze łzami w oczach patrzyła na niego.

Wreszcie pożegnano się do jutra. Major ucało-

wał żonę i powiedział jój dobranoc. Został w swoim pokoju, mówiąc jój, że ma dzisiaj wiele jeszcze pracować.

Za kilka godzin wszedł służący, aby mu świecę odmienić. Major siedział w starym swoim mundurze przy stoliku. Jedną ręką podparł głowę, drugą trzymał na mapie i palcem wskazywał na Brazylią. Ale był siny i zimny. Śród rojeń młodocianych tknęła go apopleksya.

Gdy się o tém ostatniém wydarzeniu dowiedziano w kamienicy o śmiejących się karyatydach, zamyslił się nagle Walter, a po chwili rzekł do żony:

— Kochana Matylde, my tam nie będziemy szczęśliwi, my zostaniemy tutaj. Niech Otton weźmie sobie ten majątek.

A gdy piękna Matylde z zadziwieniem na niego spojrzała, mówił dalej:

— Z razu myślałem, że my, idąc tam na wschód, niesiemy im błogie światło naszej cywilizacyi. Tymczasem oni tam u siebie mają święty ogień, który ich może wyżej stawia nad sztuczne teorye i systemata. Oni mają miłość pamiątek rodzinnych i strzechy ojczystej, a na téj miłości gruntują się wszystkie cnoty tak pojedynczych ludzi, jak i całych narodów. Nie odbierajmy im tego kęsa ziemi, bez którego nasza ojczyzna będzie zawsze wielką i wspaniałą, a byłaby pierwszą na świecie, gdyby ich cnoty miałal... Matylde, my zostanmy tutaj, ja będę czytał ich książki i będę o nich pisał dla naszych. Piękną i wznios-

łą musi być ich literatura, jeżeli takie cnoty są między nimi.

Piękna Matylda ucałowała zamyślane czoło młodego uczonego i rzekła ze słodkim uśmiechem:

— Tyś odgadł moje myśli, mój drogi Walterze. My zostaniemy tutaj i będziemy pielęgnowali naszego nieszczęśliwego ojca.

VII.

Jakże smutną, jakże nudną była teraz samotna izdebka naszego bohatera! Tak bolesne wypadki wstrząsnęły jego duszą, która zwolna zasnuła się w kłębku swoich marzeń i świat rzeczywisty z oczu straciła. Zdawało mu się, że się budzi z jakiegoś długiego snu i powoli oczy otwiera.

Wszystkie jego marzenia wydały mu się mrzonką dziecięcą. Marzył o poświęceniu się, ale nie myślał o tém, że każde poświęcenie się musi przynieść korzyść tym, dla których poświęcamy się. Myślał, że gdy wejdzie w birecie i płaszczu doktorskim między lud, on go zaraz otoczy i słuchać będzie mądrój jego nauki. Tymczasem próba ta, która tyle lat mozołu kosztowała, nie udała się — lud nie uznał nauki i cofnął się przed nią do swoich odwiecznych tradycyj. A biędny marzyciel pozostał sam, jak głos wołającego na puszczy.

W koło niego łamały się brzegi ziemi ojczystej i ginęły w toni bezdennój. Miasta, wsie i lud odrywały się od łona matki i wszystko ginęło w odmęcie

obcego żywiołu. On chciał stanąć na téj strasznej linii, chciał walczyć, jak walczyli niegdyś rycerze kresowi. Całe życie swoje włożył w tę myśl piękną, wzniosłą: i cóż ma dzisiaj czynić, gdy w koło niego łamie się wraz z ludem ład ziemi rodzinnej? A ten lud tak obojętny na wszystko!

I stanął mu przed oczyma kościółek bożogrobców i widział lud mnogi, który z murów święconych nie dał upaść krzyżowi. I przypomniał sobie ostatnie słowa starego Dębicza, że w wierze ludu jest wszystko, że to klejnot jego.

I długo, długo myślał nad tém.

Przyszło mu na myśl, że pół serca, pół duszy nie można poświęcać. Kto rozgorzał ogniem szlachetniejszych uczuć, ten powinien z serca swego uczynić Bogu całopalenie, powinien duszę swoją wnieść do ofiary, podobnej owój na górze Herebu.

Jerzy marzył o swojej miłości i zdawało mu się teraz, że idąc do szlachetniejszych celów swoich, zboczył z drogi. Serce całą siłą było przeciw temu, ale wewnątrz duszy odzywał się głos: Poświęć uczucia serca twego, bo w moim zakonie jam tylko jest miłością!

Miałże zrzec się serca Janiny? Miałże dla swojej wysnionej mrzonki czynić nieszczęśliwą tę biedną, słabą istotę?...

Przyszło mu na myśl posłannictwo Ottona. On mógł zrzeczeniem się swojej miłości uczynić tę rodzinę szczęśliwą, przywrócić jej utracony majątek, a tém samém doprowadzić do tego, żeby ziemia rodzinna nie utraciła nic z swego brzegu! Wszak Leon wyraźnie

mu powiedział, że wtedy kochać zacznie, gdy on przestanie!...

Ach? biedna Janina! Jakże to słabiej i sercem tylko żyjącej kobiecie wytłumaczyć, że dla wyższych, szlachetniejszych celów można oderwać się od jej serca, można jej nie kochać! Jakże ona temu uwierzy, jakże wytrzyma ten cios bolesny?...

Długo bił się z podobnemi myślami nieszczęśliwy marzyciel. Ludzie, którzy długi czas oderwani od świata, rozpalali serce swoje wyższem, szlachetniejszém pragnieniem, nie mogą już wrócić do mętnej, chłodnej rzeczywistości. Dla nich tylko czysta, eteryczna atmosfera. Szczęśliwi, jeżeli znajdą taki zawód życia, w którym oddychać mogą tą czystą, eteryczną atmosferą. Biada im, jeżeli jej szukają przy kwiatach ziemskich!

Jerzy wstał z dumań swoich z twarzą wypogodzoną. Snać musiał znaleźć dla siebie tę czystą, duchową atmosferę.

On poświęcił swoją miłość.

Pozostała jednak druga część do spełnienia tego poświęcenia. Potrzeba było Janinę z tą myślą z wolna oswoić i wymódl na jej sercu drugą część tego poświęcenia się. Trudne to było zadanie z sercem kobiecém, które pęka, gdy się mu miłość odbierze!

Jerzy wyjechał do Drezna.

Był wieczór pogodny. Na ulicy jeszcze pełno życia, pełno ruchu. Przed jasno oświeconym hotelem stanął Jerzy i spojrzał w okna pierwszego piętra. Jakże smutne czeka go tam spotkanie! Ona otworzy mu swoje ramiona, jej serce uderzy do niego, a on ma dla niej słowa lodu, ma jej powiedzieć, że dla niej

w tój miłości nie ma szczęścia, bo ta miłość byłaby samotną!

Serce biło mu głośno w piersi, ręce jego drżały, gdy drzwi otwierał.

W salonie jasno i wesoło. Liczne zgromadzenie bawi się wesołą rozmową. Margrabina wita go uprzejmie, Janina cudownie piękna! Nigdy nie była tak piękną w Dąbczynie. Rumieniec szczęścia jaśnieje na jego pięknej, bladłej twarzy. Ale ten ogień jój oczu jakiś zimny. Pyta go, czy czas słabości wydał mu się długi, czy się nie nudził, a gdy on odpowiada, ona odwraca się i słucha wesołych dowcipów tam z drugiego kąta salonu. Biedny marzyciel zebrał wszystkie promienie swojej duszy gorącej i rzucił je długim, wymownym spojrzeniem w te czarne, niby gorejące oczy. Zrozumiała to spojrzenie, spuściła oczy, a lekki uśmiech zadowolenia mignął koło jój ustróżanych. Ale wkrótce przybrała wyraz obojętności i zimnej grzeczności; z tym wyrazem oddaliła się od niego.

Otoczyło ją zaraz grono młodych kawalerów. Byli to ludzie świetnego urodzenia i wielkich majątków. Wesołą, żartobliwą prowadzili rozmowę. Janina jaśniała między nimi świeżością twarzy i umysłu. Biedny marzyciel pomyślał sobie, że w obec tak liczного zgromadzenia Janina tai swoje uczucia, i czekał sposobności, zobaczenia jój taką, jaką ją widział w snach swoich.

Janina miała coś zagrać. Wybrała ten sam utwór Chopina, który niegdyś Jerzego w taki wprowadził kłopot i tyle szczęścia mu zwiastował. Chciał korzystać z tój sposobności. Zbliżył się do Janiny i ofiarował jój, jak niegdyś, swoją usługę. Janina uśmiechnę-

ła się, podała mu ten sam arkusz nót, który wtedy tak niezgrabnie z ręki jej się zawsze wysuwał, ale podała mu dzisiaj tak zręcznie, że ich ręce bynajmniej się nie dotknęły. Przy odwracaniu kart nachylał się Jerzy aż do jej ślicznych warkoczy, ale tym razem nic nie usłyszał od niej! Sztukę odegrała Janina z wielką precyzją, jak wytrawna artystka.

Jerzy stanął na boku. Na jego twarzy malował się smutek. Janina spojrzała kilka razy z ukosa na niego. Korzystając ze sposobności, zbliżyła się i rzekła głośno:

— Pan jeszcze nie mówiłeś mi nic o biednej Tereni.

Odstąpiła kilka kroków i usiadła. Jerzy wziął krzesło i przysiadł się do niej. Serce zadrżało mu w piersi.

— Chciałam z panem na osobności mówić — zaczęła Janina cichym głosem — ale mi się nie udało.

Jerzy obejrzał się w koło i gniewał się, że w tej chwili nie są sami.

— Najprzód muszę pana bardzo ładnie przeprosić za to, jeżeli kiedy bawiąc się z panem, byłam zbyt roztargnioną. Już to jest w moim temperamencie, nie tać nikomu moich przyjaznych uczuć. I często i otwarcie to okazuję, czy to spojrzeniem, czy ściśnięciem ręki. Jest to niedobry zwyczaj, przyznaję się do tego, ale już siebie nie odmienię.

Jerzy obejrzał się znowu w koło, ale tym razem z inném wcale uczuciem.

— Dla tego proszę pana — mówiła dalej głosem błagającym — gdy się już może na zawsze rozłączamy,

abyś nie chciał mieć jakiego żalu do mnie, bo mnie by to bolało.

— Ja, żalu do pani?—jąknął nieszczęśliwy mąż, który na inną odpowiedź nie miał konceptu w tej chwili.

— Tak jest, abyś pan nie miał żalu do mnie. Bo panowie to zaraz inaczej wykładacie sobie podobne zachowanie się kobiety, nie prawdaż?... A ja tylko przyjaźń mogę panu ofiarować.

Tu przerwał im rozmowę jakiś młody człowieczek z lornetką u szyi, odprowadzając Janinę do grupy matron starszych, między którymi toczyła się jakaś ważna debata.

Jerzy został sam na krzeselku. Siedział jak przykuty, aż zrobiono mu uwagę, że siedzi na drodze i wszystkim zawadza. Wstał nagle i wymknął się z salonu. A za nim wyszła myśl smutna i zabijająca: Ona cię nie kochała!

Przed bramę zajechał właśnie jakiś pyszny angielski ekwipaż. Wszystko błyszczało od srebra. Na drzwiczkach jaskrawymi farbami malowane były herby.

— Czyj to ekwipaż?—zapytał Jerzy stangreta.

— Pana barona—odpowiedział z dumą stangret.

— Jak się nazywa ten baron?

Stangret zmierzył dziwnie Jerzego, jakby chciał powiedzieć: Jak można tak głupio się pytać! Ale wnet namyślił się i rzekł:

— Pan baron Otton Warner.

Tego samego wieczora w ciemnym dworku Czar-uowód siedział ksiądz Maciej i z wielką siłą rozkręcał swoją tabakierkę, co zawsze oznaczało, że jest w kłopotcie. Przy nim siedziała Zuzanna z zapuchniętymi od płaczu oczyma. Była czarno ubrana, a w rękę trzymała Złoty Ołtarzyk, z którym właśnie zastał ją ksiądz Maciej.

— Wspomniałaś mi pani o swoich zamiarach—mówił ksiądz Maciej, biorąc sporą szczyptę tabaczki.

— Ślubowałam sobie przywdziać sukienkę Tercyarki—odparła młoda wdowa.

— Tercyarki!—zawołał ksiądz Maciej i upuścił tabakierkę na ziemię.

— Czy ten ślub jest nierozsądny z mojej strony?

— Nie, o tém nie mówię... ale dla młodej osoby takie śluby są zawsze niebezpieczne. Kto się poświęca, ten powinien być pewnym siebie. Od ludzkiej natury mocniejszą jest zawsze pokusa świata.

— Ksiądz Maciej zna mnie od dziecka.

Ksiądz Maciej podjął tabakierkę i zaczął się nią bawić. Chciał on coś na to odpowiedzieć, ale jakoś nie mógł z samym sobą się zgodzić. Po chwili rzekł:

— Otóż najlepiej, jeżeli nad naszym przeszłym życiem zastanowimy się, czy mamy dosyć siły w duszy do poświęcenia się, czy kiedy powziętych ślubów nie złamaliśmy. A to będzie miarą naszych ślubów na przyszłość.

Zuzanna zarumieniała się i spuściła głowę. Ksiądz Maciej pilnie w nią się wpatrywał. Na jego twarzy malowała się trwoga. Drżącym głosem mówił dalej staruszek:

— 'Bóg bowiem nie pragnie od nas poświęcenia

się. On zna, że jesteśmy słabi i ułomni. Dla tego w chwili uniesienia nie trzeba przysięgać, nie trzeba ślubować. Serce nasze zbyt często pragnie żyć na ziemi. Bóg mu tego wcale nie wzbrania. Ale są chwile, w których ono zasypia. W takich chwilach nie trzeba czynić żadnych ślubów. Bo gdy się serce zbudzi, wtedy łamiemy śluby nasze i stajemy się grzesznikami. W smutku i żalu często zasypia to serce... czekajmy, może ono się zbudzi i zechce jeszcze użyć świata.

— Nie, nigdy! Moja dusza przeboleła tak wielkie nieszczęścia, tyle w życiu zaznała uczuć, że to niczem nie da się zatrzeć... kochałam najgodniejszego człowieka, którego obraz zostanie aż do grobu między mną a światem!

Ksiądz Maciej rozkręcał tabakierkę, a przed jego oczyma mignęła łódka biała i ruiny klasztoru.

— Mąż pani był najgodniejszym na świecie człowiekiem — ozwał się po chwili — ale dajmy na to... pani byłaś tak młodą, a on wiekiem nierówny...

Szkarłatny rumieniec okrył twarz biednej wdowy, łzy puściły się z jej oczu. Przeląkł się ksiądz Maciej i chciał zboczyć.

— Hrabia Leon przyjechał — rzekł w nadziei, że rozmowę na inny przedmiot zwróci — hrabia Leon przyjechał i... nawet, jak słyszałem, był z kondelencją...

Zuzanna otarła łzy, złożyła ręce na piersi jak pokutnica i rzekła:

— Księżu Maciej! Zgrzeszyłam, że przed spowiednikiem moim tak długo kryłam się z moim sercem. Dzisiaj wyznam wszystkie winy moje.

Ksiądz Maciej otworzył tabakierkę, ale z bojaż-

ni, aby jakiego słowa nie uronił, nie sięgał do niej.
Zuzanna mówiła:

— Wielką prawdę powiedziałeś, księże Macieju, że z sercem i ślubami musi być kobieta bardzo ostrożną. Wychowana w zasadach nieboszczyka dziadka, przyjęłam rękę mego męża, bo zdawało mi się, że godniejszego nad niego nie było człowieka. I tak też było w istocie. Ale nadszedł czas, w którym poczęłam coraz większy w sercu mojem czuć niepokój. Modliłam się i płakałam. Mój mąż ubóztwiał mnie, czcił mnie jak świętą, ale jego serce nie mogło żyć razem z mojem, które zapragnęło gorętszej, młodzieńczej miłości, pragnęło szalów i uniesień. Przybyła do tego i pokusa, i grzecznymi słowami rozgrzano serce moje. W końcu zjawia się człowiek, który od razu robi na mnie dziwne, niezatarte wrażenie! Pokusa szepcze mi do uszu: Z nim byłabyś szczęśliwsza! A te słowa jak gady wsysają się w serce moje i męczą i szarpią je!... W téj ciężkiej boleści mojej przyszedł mi na myśl cudowny obraz Bogarodzicy w kościółku bożogrobców. Kazałam się zmierzchem zawieść na łódce... modliłam się długo i gorąco, i nagle gdy zadzwoniono na „Ave“, uczułam się spokojną, a nawet szczęśliwą. Odtąd codzienie modłę się przed tym obrazem, gdy dzwonią na *Ave Maria*.

Twarz księdza Macieja zajaśniała dziwną radością. Wstał z krzesła, wznosił ręce ku niebu i uroczystym zawołał głosem:

— O! dziękuję ci, wielki Boże, że w ostatek życia mego pocieszyłeś mnie! Spokojnie umrę, bo wiem, że ta dusza jest czysta jak anioł!

Młoda kobieta nie rozumiała tej gorącej modlitwy księdza Macieja i mówiła dalej:

— Dzisiaj był u mnie hrabia Leon i ofiarował mi szlachetne serce swoje. Nie przyjąłam jego ofiary.

— Jakto, pani odmówiłaś mu?—zawołał śpiesznie ksiądz Maciej.—To była przedwczesna odpowiedź.

— Postanowienia mego nie zmienię — odparła ze spokojem młoda kobieta.—Wybierając Tadeusza na męża, poświęciłam dla cnót jego ziemską część serca. To poświęcenie złamałam późniejszym pragnieniem. Dzisiaj należy je uzupełnić... i całe serce aż do grobu poświęcić temu, od którego za życia chciało się odwrócić!

— Tego ani kościół, ani Bóg nie wymaga—wtrącił ksiądz Maciej.

— Ale przyjmie łaskawie ślub biednej sieroty i przebaczy jej.

Zuzanna wzniosła oczy do nieba. W tej twarzy pięknej, młodej kobiety nie było już nic ziemskiego. Był to anioł boży, którego opiece porucza Bóg biednych i sieroty.

Gdy Jerzy do swojej samotnej izdebki powrócił, zastał tam Leona, który niecierpliwie czekał na niego.

— Straszne rzeczy stały się tutaj!—zawołał Leon, ściskając mu rękę.—Wieść o moim bankierze była fałszywą.

— Do tego, co wiesz, dodam ci jeszcze, że się rozczarowałam — odparł Jerzy z bolesnym uśmiechem.— A więc podług układu, masz się zacząć kochać!

— Cóż, kiedy na nieszczęście dostałem odkosza!—rzekł Leon w cierpkim humorze.

— Odkosza?... Od kogóż?

— Od wdowy!

— Oświadczyłeś się majorowej?—zawołał zdziwiony Jerzy.

— I najniezgrabniej w świecie. Powinien bym był przecież to przewidzieć!.. Ale nie, takiej kobiety nie znałem nigdy... nie miałem o niej wyobrażenia. Takiej kobiety szkoda na tak mglistą planetę, jak nasza ziemia!

Jerzy zapomniał o swojej boleści i zdziwiony spojrział na Leona. Ów zimny Leon był dzisiaj w jakiejś gorączce. Chodząc szybko po pokoju, mówił dalej:

— Tę jedną kobietę mógłbym kochać... ale nie, nie byłem jej godzien. Gdybyś ją widział modlącą się! Patrzyłem na nią z po za drzew, gdy się modliła przed kościołkiem bożogrobców! To był anioł!

— Leonie!—zawołał szybko Jerzy—Bóg odsłonił ci duszę tej kobiety na to, abyś uwierzył w czystą, wzniosłą miłość kobiecego serca!

Leon zatrzymał się nagle przed Jerzym i rzekł do niego:

— A ty, który dotąd byłeś aż nadto wiernym, czy po twojem rozczarowaniu się nie staniesz się sceptykiem? Czy będziesz kochał jeszcze?

— Będę kochał—odparł spokojnie Jerzy—tylko z tą różnicą, że będę kochał więcej ludzi!

— Jakto? Zapiszesz się do filantropów?

— Zmienię mój zawód po raz drugi — pójdę na teologią do Rzymu.

— Na teologią!

— Dziwi cię to? Gdybyś to wszystko widział i uczuł, co ja w tych dniach widziałem! Wierzaj mi! Gonimy za mrzonkami; marzymy, że znajdziemy gdzieś daleko za pomocą idei i różnych systematów! A tymczasem tutaj gubimy coraz więcej ziemi, którą wraz z mieszkańcami pochłania obcy żywioł! Cóż nas tutaj ocalić może? Oto wiara nasza, wiara, która jest drogą tak nam, jak i ludowi, na wszystko inne obojętnemu!

Leon myślał chwil kilka nad tém, co mu Jerzy powiedział, i rzekł po chwili:

— W samą rzecz, gdy się nad tobą zastanawiam, to widzę, że nie mogłeś lepszego wyboru stanu zrobić. Dla tak niepraktycznych marzycieli, jakim cię poznałem, którzy pragną gorzeć płomieniem ofiar i poświęceń, jest to jedyny stan, w którym szlachetniejszą część tego ognia w swoim sercu wypalić można. Prawdziwie, kapłaństwo jest to wielki, wzniosły, idealny zawód życia, w którym może znaleźć pokarm tyle dusz poetycznych, walających się nieraz ze złamanymi skrzydłami w kale rzeczywistości, od której ode-rwać się nie mogli.

Twarz Jerzego pokraśniała natchnieniem. Uściśnął Leona i rzekł:

— A teraz ty musisz się kochać!

— Kochać? Mógłbym kochać... ale nie ma kogo!

— Janinę!

— Janinę?... Na pierwszym wieczorze poznałem was oboje do gruntu. Wiedziałem, że się to tak skończy, ale nic nie mówiłem, bo zakochany musi się sam wyleczyć.

— A twój pojedynek?

— Soroka opowiedział mi waszą rozmowę w pawilonie. Poznałem cię jako człowieka niepraktycznego i chciałem cię zasłonić. Janina należy do rzędu tych kobiet, które tylko wtedy kochają, gdy są w złym humorze, mają jakieś zmartwienie, kaprys lub spazmy sercowe. Ich dusza zimna i spokojna nic o tém nie wie. Czasami wzniosą się nawet do namiętności, gdy wybrana przez nich ofiara jest obojętną na ich wdzięki. Ale stygną nagle, gdy ją ujrzą u nóg swoich.

Jerzy spojrzał po za siebie, na tyle marzeń i snów daremnych. Leon mówił dalej:

— Kochać mówisz?... Nie mam kogo kochać. W kraju mi smutno i nudno. Spieniężyłem cały mój majątek, wyjadę za granicę i będę się bawił pieniędzmi, jak się dzisiaj bawią.

— Jakto, wyjeżdżasz z kraju?

— Coś cięży nademną, coś mi tu duszno. Muszę zaprawdę wierzyć w przekleństwo dziadka. Na kresach, na Ukrainie nie mogę przedsięwziąć żadnej wyprawy, bo nie ma przeciw komu!

Jerzy myślał chwilę, a potem rzekł:

— Posłuchaj mnie, Leonie. Nasze kresy zmieniły się. Od Dniepru i stepów ukraińskich przeniosły się nad Wartę i Noteć. Tu stać i o posiadłość naszą walczyć należy. Gdy tu zatkniesz sztandar twojej wyprawy, dziad zdejmie przekleństwo swoje i będziesz szczęśliwy!... Kup Dąbczyn, kupuj, co możesz!

— A tobie dać prezentę na probostwo!—dodał z uśmiechem Leon i zaczął chodzić po pokoju.

Długi czas chodził zamyślony. Słowa Jerzego poczęły nabierać wielkiej wagi. Wreszcie zatrzymał się i rzekł:

— Myśl bardzo szczęśliwa... ale do zupełnego szczęścia daj mi żonę, daj mi kochankę!

Jerzy był w jakimś dziwném natchnieniu.

— Dać ci żonę?—odrzekł—i ta by się znalazła. Wiesz całe zdarzenie z biedną Terenią. Ale czy wiesz, co to za istota? Jaka jest jój choroba?... Ta sierota nigdy nie zaznała miłości, ani przywiązania. Jój dusza marzyła od kolebki o tém uczuciu, wyrobiła w sobie to uczucie w ogromne, ludzkie serce przechodzące pragnienie, i to poróżniło jój ducha z sercem, poważniło rozum z uczuciem. Ale miłość może ją uzdrowić.

— Ależbo ona kocha Warnera!

— To jest złudzenie, a nic więcej. Kochała junkra, kocha Warnera i gdy ty do niej się zbliżysz, odda ci całą duszę.

— Ta idyotka, jak widzę, nie jest niczém inném, jak tylko kobietą bez maski!—odparł z cierpkim uśmiechem Leon.

— Wszak twoje doświadczenia nie stanowiły całej prawdy o kobietach?

— Masz słusność, masz słusność—podchwycił szybko Leon—będę jeszcze dalej doświadczał.

Za kilka dni wyjechał Jerzy do Rzymu. Jego serce nie mogło jeszcze przeboleć tylu marzeń i snów udaremnionych. Podróż i nowy zawód życia może go zupełnie uleczyć. Sąsiedzi różnie tłumaczyli sobie te szczególne dziwactwa Jerzego. Kobiety przypisywały je zawiedzionej miłości, mężczyźni fałszywej bigoterii, a byli nawet i tacy, którzy w tém widzieli py-

chę i dumę. Ze wszystkich przyjaciół i znajomych odprowadzali go najdaléj hrabia Leon i Mietlica.

Hrabia Leon wrócił do Dąbczyna i zaczął traktować z margrabią o kupno majątku. Przy tém prosił go, aby mu wolno było odwiedzać samotną idyotkę, której studyum było dla niego nader ciekawém zadaniem.

Przy piérszém widzeniu się mówiła mu biedna sierota o swojej gorącej miłości dla junkra, ułożyła z tego cały romans i opowiedziała w końcu ze łzami, jak ją kochać przestał i nieszczęśliwą od siebie odepchnął. W opowiadaniu biednej sieroty było tyle zapалу dla junkra, tyle uczucia dla jego długiéj, wychudléj figury, że dla Leona ani najmniejszej nie było nadziei. Pożegnał ją uprzejmie, odszedł do swego pokoju i całą noc spał jak najspokojniéj.

Nazajutrz odwiedził znowu biedną idyotkę. Opowiadała mu znowu o Ottonie, którego całą duszą ukochała, i znowu długi z tego ułożyła romans. Płakała rzewnemi łzami i przyciskała rękę do piersi, aby serce z niej się nie wydarło. Jeszcze mniej było tego dnia nadziei dla Leona. Mimo to zjadł wieczerzę z dobrym apetytem i spał tak smacznie jak nigdy.

Przez cały tydzień słuchał z cierpliwością spowiednika wszystkich wyznań biednej sieroty. Dowiedział się przy tém od niej, że nie ma szlachetniejszej duszy na świecie od junkra, który tylko nie rozumiał jéj dobrze, a gdy z kolei o Ottonie mówić zaczęła, wpadała w zachwycenie, wyliczając jego dobre przymioty. Hrabia Leon słuchał tego wszystkiego z zimną krwią, potwierdzał jéj zdanie, a przy tém miał wcale dobry apetyt i spał spokojnie.

Gdy się wszystkie wyznania idyotki wyczerpały i konwersacya nudną być zaczynała, zaproponował jój Leon, że jój coś przeczyta. Terenia lubiła książki. Leon czytał jój jeden i drugi wieczór, na trzeci opowiadał jój coś o swoich przygodach w świecie, na czwarty pytał się troskliwie o jój zdrowie, mówił coś o nudotach życia, jeżeli je człowiek sam jeden przebywa.

Za tydzień już nie mówiła idyotka ani o junkrze, ani o Ottonie. Z coraz większém zajęciem wpatrywała się w twarz Leona, jój oczy z każdym jego słowem nabierały większego blasku.

Pewnego dnia przyszedł do niej Leon. Biedna sierota była blada i zmęczona, a cały czas patrzyła na niego jak w tęczę. Przy pożegnaniu wspomniała mu z zarumienieniem, że miała noc bezsenłą.

Leon wrócił do swego pokoju—ale wieczery nie jadł i miał także noc bozsenną.

W kilka miesięcy później pisał do Rzymu:

„Kochany Jerzy! Zdanie twoje o biédnej sierocie było prawdziwe. Jestem szczęśliwym. Anioł nawrócił mnie i zniknął odemnie... a ziem-ska istota otworzyła mi serce i ramiona swoje. Kocham i jestem kochany, jak tylko kobiéta kochać może. Dąbczyn kupiłem... przyjeżdżaj na probostwo.

Post scriptum. Janina idzie w zapusty za mąż—za „barona“ Ottona Warnera. Pocziwy to chłopiec i ma miliony. Połubiłem go.“

EPILOG.

Najbardziej z wszystkich ugiął się pod ciosem tych smutnych wypadków poczciwy Mietlica. Biędny prostaczek nie miał się na czém oprzeć. W szale boleści zwątpił o Bogu, bluźnił samemu sobie, wybił żonkę i byłby może na luterską wiarę przeszedł, gdyby ksiądz Maciej nie był go w samą porę zgromił. Potém postanowił zostać pustelnikiem, jak to w dawnych czasach praktykowano. Uciekając tym sposobem od świata i żonki, wybrał już był sobie wśród błot wielko-polskich mały ostrów, gdzie chciał sobie szalas z chrustu wystawić. Ale domek zegarmistrza nie dał mu potrzebnego do takiego życia pokoju. Na nieszczęście kupił go na licytacji na spółkę z Jerzym. Do tego młody Warner, porządkując papiéry ojca, znalazł w nich zapisane dwa tysiące talarów Jerzemu do wiadomego mu użytku. Stary negocyant w jakiejś szczęśliwej chwili zapisał to, ale dla okągłości liczby urwał pięćset talarów. Jerzy nie chciał tego przyjąć i po długich targach przeniósł wreszcie tę sumę na rzecz domku zegarmistrza. Taki skład rzeczy wywołał Mietlicę z błot dąbczyńskich i pogodził go ze świa-

tem i żonką. Wziął się zaraz do murowania nowego domu. I gdy już właśnie, przy pomocy Grzanki, mury na pięterko pociągnął, wrócił zégarmistrz w téj saméj granatowéj czamarze i czapce trójkgraniastéj, i tak jakos zdrów i wesół wyglądał, jakby dopiéro wczoraj się rozstał ze swymi przyjaciółmi. Dwa dni płakali przyjaciele za tymi, którzy pomarli, a przez trzy dni następne cieszyli się, że ich Bóg wszechmocny znowu razem sprowadził.

— Wierzaj mi Jakubie — mówił zégarmistrz, ociérając łzy — nie bardzo to źle się stało, że człowieka przytrzymali. Już to Bóg tak zrządza, że nie ma złego, coby na dobre nie wyszło. Dotąd myślałem, że wszystko to, co dawne i nasze, jest już najlepsze na świecie. Jest trochę w tém prawdy, ale nie zupełnie. Powinniśmy kochać to, co ojcowie nasi kochali — ale nie powinniśmy zamykać oczu, gdy nowe rzeczy widzimy. Myślałem dotąd, że nie ma nic nad nasze zégary z kukułką. Otoż siedząc w więzieniu z tamtejszym zégarmistrzem i rozprawiając z nim o naszym kunszcie, przekonałem się, że i oni mają wiele dobrych i pożytecznych rzeczy i wymysłów. Ich zégarki nowoczesne są lepsze od naszych gratów. Otoż jeżeli nieszczęście jakie między nich nas zaprowadzi, powinuiśmy z tego korzystać i ich dobre pomysły sobie przyswajając. Obaczysz, jaki ja teraz sklep z zégarami założę! A ty Grzanka — mówił daléj mieszczanin — musisz w tym domku także mieć sklep porządny na twoje żaby i baranki. Mój nieprzyjaciół z tłustym brzuchem może zbankrutować.

— Ba! — ozwał się Mietlica — a ja co będę robił? Ja nic nie umiem!

— Ty, Jabubie—odparł zégarmistrz—musisz być razem z nami. Ten domek należy do nas trzech. Jest na rogu ulicy, Grzanka wystruga ci misterną wiechę, będziesz miał szynk!

— Szynk!—krzyknął Mietlica — ba, ale wachmistrz od ułanów...

— Każda praca jest uczciwa i nie hańbi człowieka!—odpowiedział mieszczanin, a wiarus podkreślił wąsa i uśmiechnął się do złotój wiechy, którą widział przed oczyma duszy.

Nazajutrz przyprowadził Mietlica Sorokę i zapoznał go z Wojną. ~~Po kilku tygodniach wysypał Sorokę i zapoznał go z Wojną.~~ Po kilku tygodniach wysypał Soroka własnymi rękoma na granicznym kopcu Dąbczyna kilkanaście taczek ziemi, przeżegnał kopiec i nazwał go mogiłą Soroki. Na tym szczególnym chrzcie byli: Wojna, Mietlica i Grzanka.

Kilka lat minęło od tego czasu. Hrabia Leon krząta się koło gospodarstwa, a gdy zmęczony do zamku powraca, wychodzi mu naprzeciw piękna, młoda kobieta z dwojgiem dzieci na ręku, podobnych do aniołków. Leon całuje żonę oraz dzieci i pisze co tydzień do Rzymu, że jest najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Słabe serce Tereni oparło się na silnem ramieniu męża—sięrota odzyskała zdrowie i jest bardzo rozsądną matką, oraz najtkliwszą żoną.

Na odnowionej wieży zamkowej powiewa chorągiew kresowego rycerza. Von der Mark sprzedaje swoje posiadłości. Hrabia Leon dopomaga mieszczanom dąbczyńskim i właśnie myśli o zawiązaniu na ak-

cye wielkiego towarzystwa obywateli poznańskich, któreby miało za cel skupować na subhastach dobra ziemskie i wydzierżawiać je podupadłym dawnym właścicielom ziemskim. Górnicki, który szczęśliwie przebył gorączkę nerwową, jest u niego rządcą.

Otton zatrzymał Czarnowody i Radziejewo, wystawił pałac i przywiózł z Drezna Janinę. Wszedł w spółkę z Leonem i dokończył fabryki w Mogiłach, z której spodziewają się znaczного dochodu. Przeszedł na wiarę Janiny i liczy się do polskich obywateli ziemskich.

A w kamienicy o śmiejących się karyatydach smutno i głucho. Z nad okien zdjęto napis „Goliath et Compagnie“, brama prawie zawsze zamknięta, negocyantów nie widać przed nią, tylko lud przechodzący widzi czasem za kratą wykrzywioną twarz nieśczęśliwego obłąkańca.

Matylda kocha Janinę jak siostrę i często odwiedza ją w Czarnowodach. Kilku rzeczy tylko nie może zrozumieć. Dziwi ją, jak kobieta może być szczęśliwą bez kuchni i spiżarni, i jak może mieć przyjemność w towarzystwie ospowatego pułkownika od dragonów, który jest tak nieznośnie wysoki. A gdy dziwny wypadek zrządził, że u wód X**, dokąd z Janiną przybyła, pojawił się także ów ospowaty pułkownik, nie mogła Matylda tego przenieść na sercu, aby bratu swoich uwag w tym względzie nie udzielić. Ale szczęśliwy mąż uśmiechnął się na te uwagi siostry swojej z pobażaniem, nazywając je zabytkami mieszczaństwa.

Na ulicy Podzamczój są w nowym domku dwa porządne sklepy i szynk pod złotą wiechą. Na jednym stoi napis: Wojna, zegarmistrz, a nad nim Opatrzność

boska. Z drugiego sklepu, z pomiędzy żabek i baranków, wychodzi co wieczora, gdy dzieci ze szkoły idą, mieszczanin w porządnój kapocie, wepchnie żakowi grosz do ręki i każe mu sobie napis nad tym sklepem przeczytać. Żak chowa grosz do kieszeni, czyta: „Grzanka“ i ucieka. A mieszczanin stoi w zachwyceniu i mówi do siebie:

— Héj, Grzanka! Gdyby to Zwiebak i Butterbrod widzieli ten sklep twój!

Słychać, że sąsiad z tłustym brzuchem bankrutuje. Hrabia Leon często gęsto idąc ulicą Podzameczą, wstąpi do domku zégarmistrza. Zégarmistrz kilka razy dał się z tém słyść, że mu jakoś nudno bez gospodyni w domu. Ale Mietlica odradza mu zawsze, że jeżeli Bóg dobry wziął do swego przybytku jego Basię, to nie trzeba drugi raz tentować miłosierdzia bożego.

A tymczasem śpią umarli spokojnie i cieszą się z tego, co się tam nad nimi dzieje. Przybył do nich margrabia i radzi przyjęli go między siebie. Zginął on potém w pojedynku, gdy mu honor nakazywał stanąć w obronie zelżonej naszej przeszłości.

Margrabina, wyczerpawszy wszystkie namiętności serca i duszy, przywdziała sukienkę Tercyarki. Zeszły się z Zuzanną u jednej mety, chociaż tak różnemi szły drogami. Czarna szata okrywa ich serca, w których tylko Bóg czyta. A wierzymy, że jest sprawiedliwy i miłosierny.

I z różnych stron, gdy ozwie się dzwonek na „Ave Maria“, wznoszą się naraz z trzech serc, pragnących wielkiej, gorącej miłości, trzy pieśni do Przystej Panny — jedna z nad Tybru, gotującego się do

służby bożej kapłana, druga nad Wartą duszy pokutującej, a trzecia nad Notecią, czysta i wzniosła, jak pieśń anioła.

A Bóg z radością patrzy z nieba na tych, którzy dobrą, i na tych, którzy lepszą część życia sobie obrali.

K O N I E C



420
London
1850

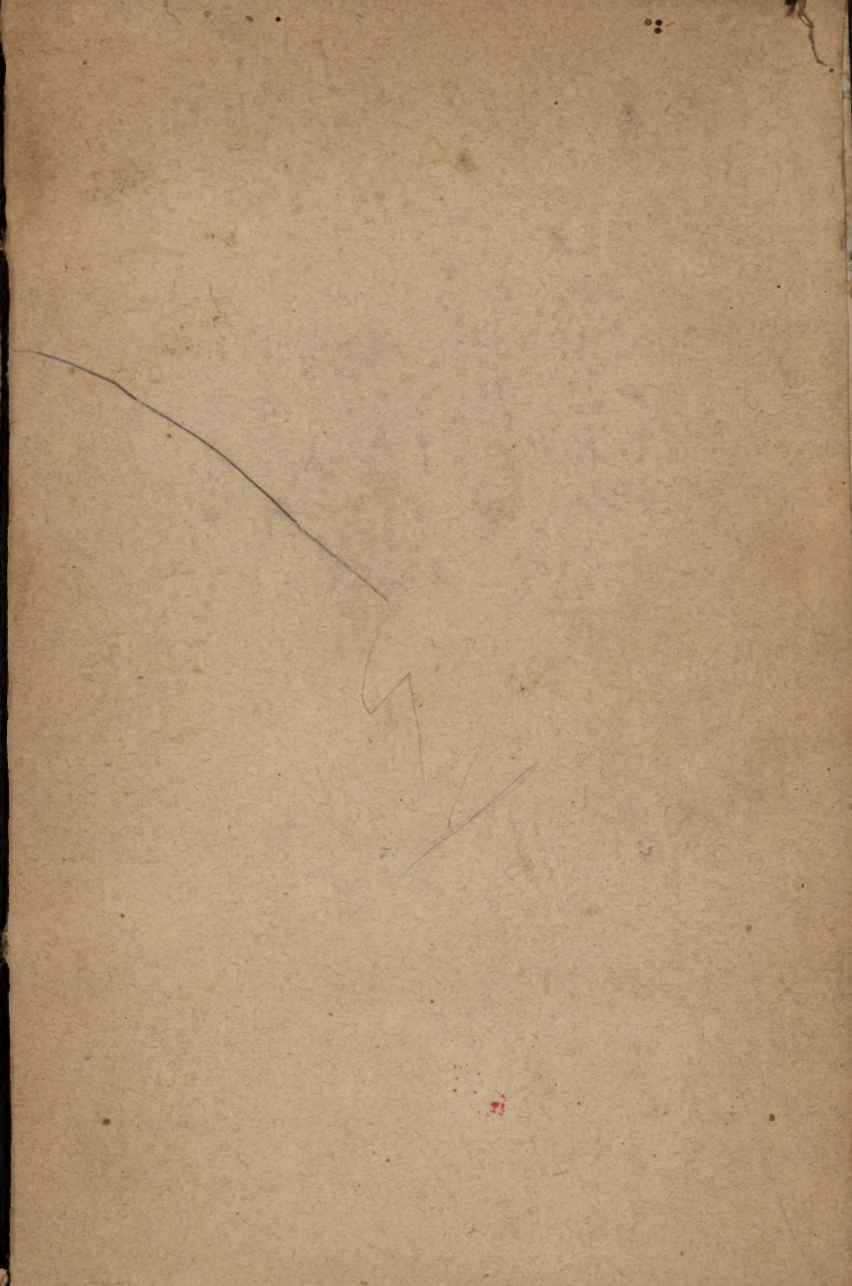
25 5

25

5 0

12





Biblioteka UJK Kielce

UJK



0472169